

Julius Hollenberg

... **A NIE PRZYWYKNIESZ - ZDECHNIESZ**

... a nie przywykniesz, zdechniesz !

October 29, 1990

Julius Hollenberg

Jakthundsgate 101  
722 46 Västerås  
SWEDEN

---

## SPIS ROZDZIAŁÓW

Od autora .....	1
Wstęp .....	3
Lwów 1939 - 1940 .....	13
Fiakrem na Dworzec Główny .....	19
Pasażerowie "ciepłuszki" .....	23
Jedziemy w nieznane .....	31
Rosja jest wielka .....	43
Zaczynamy nowe życie .....	59
Trzeba się przyzwyczajać .....	67
Nasza mała społeczność .....	77
Aby do wiosny .....	89
Odcięci od świata .....	109
Sabotażyści .....	117
Sowiecki chrzest .....	123
Tak zwana wolność .....	147
Jedziemy do ciepłych krajów .....	155
Taszkent - miasto chleba .....	169
Wędrowki po "Dachu Świata" - Pamirze .....	177
Dziwne spotkania .....	185
Nasi gospodarze .....	195
Liczenie owiec nie na sen .....	201
Koniec niewoli i początek dojrzałości .....	205

Kiedy przed dwudziestu laty, zachęcony przez moje dzieci, zacząłem spisywać moje wspomnienia z okresu deportacji na Syberię, starałem się przedstawić swoje wrażenia z przeżytych "przygód" tak, jak je wówczas absorbowałem, to znaczy zaobserwowane oczami 15-16 letniego chłopca.

Czytając je obecnie stwierdziłem dwa interesujące elementy, cechujące mój opis wydarzeń, wskutek których odzwierciedlenie ich nie jest w pełni adekwatne.

Po pierwsze założona przeze mnie zasada autentyzmu wrażeń pozbawiła wspomnienia głębszej analizy tego, co stało się udziałem mojej i setek tysięcy innych deportowanych z dawnych polskich terenów rodzin.

Po wtóre, zanotowane wrażenia nie ukazują w pełni tragizmu sytuacji, w której znaleźliśmy się my i inni dzielący nasz los. Przeciwnie, czytając ponownie to, co wówczas napisałem, skonstatawałem ze zdziwieniem, że w opisanych przeżyciach dominują momenty humorystyczne, które - choć autentyczne - nie były oczywiście powszechnym atrybutem naszych doznań w opisanym okresie.

Widocznie jest cechą ludzkiej natury bezwiedne wymazywanie ze swojej świadomości przeżyć najbardziej ponurych. W każdym razie tak miała się sprawa ze mną, kiedy spisywałem dawne przeżycia.

Z przytoczonych wyżej powodów, zdecydowałem jednak niczego nie zmieniać i niczego nie poprawiać.

Czy słusznie - zdecyduje czytelnik.

J.H.

### Ucieczka przed wojną

Ojciec mój był znanym wśród znajomych optymistą. Nawet w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku, kiedy cały świat oczekiwał z dnia na dzień wybuchu wojny między Niemcami i Polską, ojciec zgodził się na opuszczenie rodzinnego domku letniego w swoim ulubionym Kazimierzu nad Wisłą dopiero po kategorycznym oświadczeniu matki, że jest ona zdecydowana wrócić do Lublina sama z "dzieckiem", t.j. ze mną, czternastoletnim wówczas chłopakiem, żeby przygotować na wszelki wypadek zapasy żywności. Zdecydowana postawa matki przeważała i rodzina powróciła do domu, gdzie matce udało się w rekordowo krótkim czasie zapelnąć domową spiżarnię i piwnice wiktuałami, które starczyłyby na wyżywienie rodziny przez długie miesiące. Całej tej wyteżonej działalności towarzyszyły pośmiewuszki ojca, którego optymizm, mimo gromadzących się nad polskim niebem chmur politycznych, nadal nie opuszczał.

Nic więc dziwnego, że kiedy, gołąc się 1-go września rano, ojciec zobaczył wylatujące w powietrze na widocznym w oddali cmentarzu kamienie nagrobne i usłyszał towarzyszące temu widowisku wybuchy, to jego komentarz brzmiał:

- No popatrzcie co ci idioci z Ligi Obrony Powietrznej wyczyniają.

Ćwiczenia są oczywiście konieczne, ale żeby dewastować cmentarze!

Dopiero dźwięk syren alarmowych nakłonił ojca do włączenia radia z którego dowiedzieliśmy się, że przed kilkoma godzinami wojska hitlerowskie napadły na nasz kraj, a wybuchy nie były ćwiczeniami, tylko skutkami pierwszego nalotu lotniczego na nasze miasto.

Potem wydarzenia zaczęły się toczyć błyskawicznie. Pierwsze dni były dla mnie fascynujące. Primo, nie trzeba było wracać do mającej właśnie rozpocząć nowy rok nauczania szkoły. Secundo, już od pierwszego dnia zaczęły się dziać niezwykle, dla niezbyt sobie zdającego sprawę z powagi sytuacji wyrostka, ciekawe wydarzenia. Jak na przykład zbombardowanie przez Niemców leżącej na skraju miasta fabryki samolotów. Jakżeż tu było nie pojechać i nie obejrzeć czegoś takiego! Oczywiście ja i moi koledzy nie mogliśmy sobie tego odmówić i cała paczka wybrała się tam na rowerach. Eskapada trwała dość długo, a w międzyczasie do matki zadzwonił ktoś z jednego ze szpitali, że właśnie przywieziono tam rannego w czasie nalotu chłopca, który prosił o zawiadomienie jej. Powiedzieli też że rana jest poważna a chłopiec nazywa się Tolek. Kiedy biedna matka, półprzytomna ze zdenerwowania dotarła do szpitala, będąc stuprocentowo przekonana, że chodzi o mnie i że moje imię Julek przekręcono, okazało się, że żadnego Julka w szpitalu nie było. Dopiero po pewnym czasie do świadomości matki dotarło, że wiadomość mogła dotyczyć syna zamieszkałego w Warszawie przyjaciółki, który miał na imię Anatol, a którego w domu nazywano Tolkem. I tak też rzeczywiście było. Na szczęście okazało się, że rana nie była groźna. Doznał on jej w czasie rowerowej wędrówki do naszego miasta, dokąd matka wysłała go naprzód, bojąc się, że Warszawa z dnia na



dzień może być zajęta przez Niemców. Wkrótce też pojawiła się reszta rodziny Tolka i w kilka dni potem, po jego wyjściu ze szpitala, wszyscy oni ruszyli dalej na wschód. Było to niestety nasze ostatnie spotkanie z tą rodziną, która - o czym dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie - została w całości zamordowana, chyba w celach rabunkowych, w czasie noclegu w jakiejś ukraińskiej wsi.

Przewalający się przez nasze miasto potok uciekinierów, głównie z Warszawy ciągle się zagęszczał i u nas w mieszkaniu nocowało czasem po kilka rodzin. Po paru dniach okazało się, że resztki władz centralnych w Warszawie zarządziły ewakuację instytucji, której dyrektorem w jej lubelskim oddziale był mój ojciec, do jednego z miast na Wołyniu. Zdecydowano, że mimo trudności w zdobyciu benzyny, będziemy się ewakuować własnym samochodem. Zaczęły się szybkie przygotowania. Oczywiście można było zabrać tylko rzeczy najniezbędniejsze. Matce trudno było rozstać się z wszystkimi tak żmudnie zgromadzonymi zapasami żywności. A już zupełnie nie wchodziło w rachubę pozostawienie pupila rodziny, kudłatego owczarka australijskiego imieniem Mikus.

Jedynym sposobem zaopatrzenia się w benzynę było stanie w ogromnej kolejce do chyba już wówczas jedynej sprzedającej paliwo stacji. Poprzedzająca wyjazd noc, spędzona w tej kolejce stała się dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Tak się złożyło, że po kilku spokojniejszych dobach, właśnie tej nocy miasto stało się obiektem silnych nalotów lotnictwa niemieckiego. Stacja benzynowa usytuowana była zdala od centrum miasta i ani jedna bomba nie spadła w bezpośredniej bliskości oczekujących w kolejce, ale następujące po sobie naloty, widok wybuchających bomb i coraz to nowych pożarów sprawiał na oczekujących w kolejce takie wrażenie, że panowała absolutna cisza, a ludzie byli zupełnie ośpiali. Tylko raz wybuchła awantura, gdy któryś z oczekujących zapalił papierosa. Stojący w pobliżu rzucili się na palacza krzycząc, że naprowadzi na nas niemieckich pilotów, a ktoś gotów był nawet podejrzewać, że biedny delikwent celowo dawał sygnały. Co chwila szerzyła się wieść o tym, że benzyny zaraz zabraknie i że czekanie jest bezcelowe.

Dobrze po północy rozpoczął się kolejny nalot i tym razem bomby zaczęły spadać w okolicy dzielnicy w której my mieszkaliśmy. Przerażeni patrzyliśmy na wybuchy, a ponieważ matka pozostała w domu, ojciec postanowił wracać tam natychmiast. Udało mi się jakoś przekonać go, że po pierwsze jest on niezbędny w kolejce, a po drugie - wobec braku jakichkolwiek środków komunikacji -, że ja dobiegnę do mieszkania szybciej niż on. W końcu ojciec zgodził się i ja ruszyłem biegiem w stronę naszej dzielnicy. Był to napewno najdłuższy i najszybszy bieg w moim życiu. Rzeczywiście ten ostatni nalot spowodował duże zniszczenia w bezpośredniej bliskości naszego domu. Z przerażeniem stwierdziłem że w miejscu, gdzie mieszkał mój najlepszy przyjaciel leżała już tylko ogromna masa płonącego w dalszym ciągu gruzu. W tym domu - jak się potem okazało - nie przeżył prawie nikt. Tuż obok naszego domu płonął budynek, w którym także mieszkali moi szkolni koledzy. Akcja ratunkowa była już w toku. Ja jednak skierowałem się do naszej posesji. Już z daleka zobaczyłem, że była ona nietknięta. Po chwili byłem już w ramionach matki, która, jak się okazało - przetrwała nalot razem z sąsiadami w piwnicy. Żeby się więcej nie rozstawać i

jaknajszybciej powiadomić ojca pojechalismy natychmiast spowrotem na rowerach .

Nad ranem wróciliśmy już wszyscy tryumfalnie do domu z pełnym bakiem benzyny, mającym zabezpieczyć naszą "ucieczkę od wojny", a w kilka godzin po tym, zostawiwszy pod opieką sąsiadów mieszkanie wraz z całą jego zawartością, udaliśmy się w drogę na wschód.

Któż mógł wtedy przypuszczać, że dane mi będzie zobaczyć mieszkanie ponownie dopiero po pięciu latach, w dniu wyzwolenia Lublina od niemieckich okupantów i że jedyną pamiatką po przedwojennym życiu naszej rodziny będzie przybita na drzwiach wejściowych i wielokrotnie zamalowana "mezuzah". W tym wrzesniowym dniu, rozstając się z całym swoim mieniem, chyba wszyscy, nie tylko optymistyczny ojciec wierzyli, że będzie to rozstanie krótkotrwałe.

O tym, jak wielki rozkład i chaos panowały w państwie przekonaliśmy się już wkrótce. Prowadząca na południowy wschód szosa zapchana była doszczętnie przez odstępujące jednostki wojskowe i ewakuującą się ludność cywilną. W nieprzerwanym potoku pojazdów samochodowych i konnych widać było wszystko, czym można się było poruszać. W pamięci mojej pozostały m.in. takie wehikuly jak stara dworska kareta, konny karawan i wozy cyrkowe. Tłok sprawiał że samochody mogły poruszać się tylko z taką szybkością, na jaką pozwalał potok innych pojazdów, a także piesi i rowery. Nic więc dziwnego, że z takim trudem zdobyty zapas benzyny topniał błyskawicznie.

Chaos panujący na szosie pogłębiały następujące dość często po sobie alarmy, spowodowane bądź to rzeczywistymi, bądź też wyimaginowanymi nalotami lotniczymi. Tych ostatnich było nie mało, ale te niezbyt liczne prawdziwe powodowały i tak duże straty w ludziach. Dla mnie ogromnym wstrząsem był widok zabitych ludzi i koni leżących po obu stronach szosy, których pogrzebanie nikomu z przerażonych i spieszących się uciekinierów nie przychodziło do głowy. Raz tylko widzieliśmy, jak któraś z cofających się jednostek wojskowych taką akcją zainicjowała i zmusiła pewną ilość ewakuujących się młodych mężczyzn do udziału w niej.

Dla ojca mego, humanisty, wierzącego w ludzkie ideały i w zalety zachodniej cywilizacji, fakt masowego mordowania niewinnej ludności przez niemieckich pilotów był chyba szokiem największym.

W końcu, posuwając się w zółwim tempie, dotarliśmy do mostu na rzece Bug. Most strzeżony był przez oddział wojska, którego dowódca ustalał kolejność przepuszczania pieszych i pojazdów. Oczekiwanie w ciągłym strachu, spowodowanym częstymi nalotami, trwało całą dobę. Dla nas oczekiwanie to było tym nieprzyjemniejsze, że wędrujący pieszo i na rowerach ludzie byli nieprzychylnie nastawieni do jadących samochodami, a miary dopełniał biedny Mikuś, którego widok często wywoływał komentarze w rodzaju:

- Patrzcie, tu ludzie giną a burzuje pieski samochodami wywożą!  
To też kiedy kierujący potokiem ludzkim oficer oświadczył, że wszystkie samochody rekwirowane są na potrzeby wojska i kazał opróżnić wóz, byłem chyba nawet zadowolony, tym bardziej, że benzyna była i tak na ukończeniu. Na szczęście stojący opodal z zaprzężoną w parę koni furą człowiek zgodził się doładować na swój pojazd część naszego bagażu, a ewakuacyjne papiery



ojca pomogły w uzyskaniu zezwolenia na przekroczenie mostu. Tak nastąpiło rozstanie ze stanowiącym kilka lat wcześniej przedmiotem mojej młodzienczej miłości rodzinnym Chevroletem. Odtąd wędrówka odbywała się już konnymi wehikułami.

Człowiek, który zgodził się wziąć nas przy moście był jak się okazało właścicielem małego, wiejskiego młyna, a celem jego wędrówki było położone niedaleko za rzeką Bug miasteczko, w którym mieszkała jego rodzina. Zanim jednak tam dojechalśmy, trzeba było gdzieś po drodze zanoćować.

I wtedy po raz pierwszy nie udało się dostać noclegu w żadnym z domów przepelnionej przez uciekinierów wsi. Trzeba było zadowolić się użyczoną przez jakiegoś gospodarza stodołą. Uprzedził on, że z uwagi na szczury i myszy lepiej będzie spać na t.zw. górcie na którą wchodziło się po drabinie. Już bardzo szybko okazało się jednak, że nie doceniał on akrobatycznych zdolności tych miłych zwierzątek, w których licznym i bardzo ruchliwym towarzystwie przyszło się spędzić tą pierwszą noc w prymitywnych warunkach. Dla matki mojej było to duże przeżycie. Nie wiedziała biedna że w porównaniu z sytuacjami, które przyszło się później przeżyć rodzinie w jej wojennych losach, można było tą górkę w stodole uważać za prawdziwą idyllę.

Następnego dnia młynarz dotarł do swojej rodziny i tu zaczęły się komplikacje, bo ani on, ani żaden sąsiad nie chciał się zgodzić na dostawienie rodziców i mnie do Łucka, który obraliśmy sobie za najbliższy cel wędrówki, bo rodzice mieli tam znajomych i w nadziei, że chodzą stamtąd pociągi, które umożliwią ojcu dotarcie do wymarzonego miejsca ewakuacji. Sytuacja wydawała się zupełnie beznadziejna, ale oto zdarzył się cud. Ojciec prowadził mianowicie przez szereg lat, aż do objęcia swego ostatniego dyrektorskiego stanowiska kancelarję adwokacką. Od jej zamknięcia minęło sporo lat, ale świat jest mały, a Bóg czuwa nad swoimi owieczkami, więc zdarzyło się co następuje. Do rodziny młynarza przyszedł wieczorem zarządca pobliskiego folwarku. Witając i zapoznając się z ojcem długo mu się przypatrywał, a przepytawszy raz jeszcze o nazwisko oświadczył:

- Pan mecenas sobie mnie nie przypomina, ale pan mnie bronik, kiedy zostałem bezpodstawnie oskarżony o nadużycie przy dostawach zboża dla wojska, a mój ówczesny adwokat zaprzepścił sprawę w pierwszej instancji. Na szczęście zwróciłem się do pana przed rozprawą w sądzie apelacyjnym i pan mnie uratował.

Kiedy dowiedział się o naszych problemach, natychmiast zaofiarował się sam dowieźć nas do Łucka i rzeczywiście, mimo lamentów żony zarządcy, na drugi dzień ruszyliśmy w drogę folwarczną bryczką. Ten odcinek drogi wrył się mocno w moją pamięć. Najpierw natknęliśmy się przy dość bezludnej drodze na trupy czworga ludzi, w tym dwojga dzieci. Początkowo myśleliśmy, że to kolejne ofiary nalotów, ale z bliska okazało się, że wszyscy zostali zamordowani w bestialski sposób. Ja zauważyłem, że rządca miał jakiś komentarz na końcu języka, ale go nie wypowiedział. Potem, w czasie ulewnego deszczu dogoniliśmy furkę, na której siedział, nakryty jakąś płachtą człowiek. Jak się okazało, był to uzbrojony w karabin starszy wiekiem policjant, który eskortował zawierającą powiatową kasę, okutą drewnianą skrzynię właśnie do Łucka. Dowiedziawszy się o wspólnym celu



podróży zaproponował żeby jechać razem. Ale w kilka godzin później karawana napotkała podążające w przeciwną stronę resztki jednostki wojskowej, od której dowiedzieliśmy się, że w ciągu tej nocy na teren wschodniej Polski wkroczyły jednostki sowieckie. Był to 17-ty dzień września i wiadomość była zgodna z prawdą. Byliśmy wszyscy zaszokowani i nie wiedzieliśmy co mamy dalej robić. Żołnierze opowiadali, że już w pierwszych godzinach po wkroczeniu Rosjanie zaczęli masowo aresztować ludzi, związanych z polskimi władzami państwowymi i samorządowymi. Mimo to ojciec postanowił kontynuować podróż w kierunku miasta, które stanowiło jego ewakuacyjne przeznaczenie. Natomiast policjant, dowiedziawszy się o rozwoju wypadków, zrozumiał bezcelowość swojej misji i postanowił zawrócić do swojego miasteczka. Przedtem jednak zaproponował nam i wojskowym podzielenie się wieszoną przez niego kasą. Jakoś nikt nie miał głowy ani ochoty żeby to zrobić i co się z tymi pieniędzmi stało nie wiadomo. Pewnie stały się one łupem okupanta. A szkoda, bo miały one jeszcze przez pewien czas wartość obiegową.

Wraz ze zbliżającą się nocą pojawiły się na horyzoncie łuny pożarów.

Wy tłumaczenie tego zjawiska dostaliśmy przejeżdżając przez najbliższą wieś, zamieszkałą przez polskich wieśniaków. Pożary były, jak się okazało skutkiem podpałek takich właśnie wsi przez zamieszkałych we wsiach sąsiednich, nacjonalistycznie nastrojonych chłopów ukraińskich, dla których wieść o wkroczeniu wojsk sowieckich na te tereny stała się hasłem do rozpoczęcia regulowania dawnych waśni narodowościowych drogą samosądu. Wtedy nasz rządca przyznał, że on już ujrzawszy trupy zamordowanej rodziny przy drodze zrozumiał, czyją padła ona ofiarą.

Cały następny dzień upłynął nam na ostrożnym posuwaniu się w kierunku Łucka, do którego dotarliśmy - pamiętam - wcześniej rano po niespokojnej nocnej wędrowce. Nocnej, bo jak nam się i chyba słusznie wydawało, łatwiej było po ciemku uniknąć napaści.

Miasto do którego wjechaliśmy robiło dziwne wrażenie.

Na wszystkich większych ulicach rozstawione były posterunki żołnierzy sowieckich. Wojskowych pełno było wszędzie, a ilość ich, jak zauważyliśmy ciągle się zwiększała. Wieloma ulicami ciągnęły transporty. Rządziej były one zmotoryzowane. Główną ich część stanowiły tabory konne. Nawet w porównaniu z armią polską, która nie należała przecież do nowoczesnie wyposażonych, to wojsko robiło wrażenie niezwykle ubożego i zacofanego.

Samochody ciężarowe, nawet te nieliczne, modelem swoim przypominały wczesne lata trzydzieste, tabory konne wyglądały ze swoimi zabiedzonymi końmi raczej na chłopskie pojazdy z najbiedniejszych okolic wschodniej Polski, a ubiory żołnierskie z długimi, u dołu wystrzępionymi brudnoszarobrazowymi szynelami i przepoconymi czapkami-pierogami sprawiały, że żołnierze wyglądali niezdarnie i niechlujnie.

Po drodze do mieszkania przyjaciela mego ojca, w którym mieliśmy się zatrzymać, byliśmy wielokrotnie kontrolowani. i znowu powodem wielkiego niepokoju matki stał się nasz pies Mikuś i jej dwa futra. Bojąc się że te dwa atrybuty mogą z nas w oczach kontrolujących zrobić wielkich burzujów, matka ukryła i psa i futra na dnie furmanki, pod innymi pakunkami. Okazało się to skuteczne wobec Rosjan, ale nieomal skończyło się tragicznie dla Mikusia, którego po dotarciu do miejsca przeznaczenia wyciągnęliśmy

spod innych ładunków nawpół-uduszonego.

Nasz czas przybycia do miasta rankiem okazał się zbawienny jeszcze i dlatego, że w czasie kilku ulicznych kontroli udało nam się poza drobniejszymi "upominkami" dla kontrolujących- przejechać bez większych trudności. Już później dowiedzieliśmy się, że wiele osób przybyłych do miasta nocą pozbyło się przy okazji takich kontroli co cenniejszych rzeczy ze swego bagażu.

Jakoś jednak dotarliśmy pod poszukiwany adres i tu okazało się, że przyjaciel mego ojca, który był do wybuchu wojny prokuratorem, wolał nie narażać się na spotkanie z okupantami, a jeszcze bardziej z ich miejscowymi zwolennikami i wybrał szybkie ulotnienie się w niewiadomym kierunku. Szczęśliwie zostawił dla nas klucze, u sąsiadów i wkrótce już mogliśmy zażyć zasłużonego wypoczynku, a głównie kąpieli w tym przejściowym schronieniu.

W czasie oględzin mieszkania okazało się, że jego właścicielka była niemniej przewidująca jak moja matka i nie gorzej jak ona zacpatrywała swoją spiżarnię. Mnie w zachwyty wprawiły, szczególnie dziesiątki równiutko na półkach ustawionych słoików z konfiturami. I tu nastąpiło straszne rozczarowanie, bo matka orzekła iż to nie nasze i że nie mamy prawa z tego korzystać. Ponieważ także i ojciec wierzył w krótkotrwałość dobrowolnego wygnania właściciela mieszkania, przyszło mi zrezygnować z tych dobroci, choć przyznać muszę, że ten i ów słoik pozbył się w późniejszych dniach sporej części swojej zawartości przy mojej pomocy.

Rozpoczęły się dni rozważań: co dalej?. Jasne było, że kontynuowanie podróży do miejsca ewakuacyjnego przeznaczenia ojca stało się bezcelowe. Z komunikatów radiowych wynikało, że bronią się już tylko ostatnie ogniska oporu, ale rząd opuścił już kraj i cały aparat państwowy przestał działać.

Widziało się to zreszta wyraźnie i w naszym mieście, gdzie faktyczną władzę przejęły natychmiast komendantury wojskowe armii sowieckiej, którym wydatnie pomagały zadziwiająco szybko zorganizowane władze miejscowe, złożone z przychylnie do okupantów odnoszącej się części miejscowej ludności. Oczywiście główną rolę w tych władzach odgrywali ludzie wywodzący się z tych warstw społeczeństwa, które w przedwojennej Polsce stanowiły t.zw. mniejszości narodowe. Dla mnie, 14-letniego chłopca wszystkie te problemy brzmiały trochę abstrakcyjnie, ale utkwiły mi w pamięci wściekłe uwagi mego ojca skierowane pod adresem tych, którzy tak szybko zdecydowali się na współpracę z władzami sowieckimi.

Trzeba było podjąć jakąś decyzję odnośnie dalszych planów. Bardzo szybko stało się jasne, że optymistyczne nadzieje na szybkie zakończenie wojny i powrót do domu wzięły w łeb. Trzeba było zacząć myśleć o znalezieniu jakiegoś źródła utrzymania. Trzeba było także zdecydować się, czy miasto naszego tymczasowego schronienia ma się stać bardziej permanentnym miejscem zamieszkania, czy też powinniśmy jechać dalej, a jeśli jechać, to dokąd. Zaczęły w tym czasie chodzić słuchy, że istnieje możliwość wydostania się na zachód przez Wilno. Inną alternatywą było udanie się do Lwowa, w którym zamieszkiwała cała rodzina ojca. Mówiono też, że otwarta jest nadal granica z Rumunią. I wreszcie istniała także alternatywa powrotu do okupowanego już przez nazistów naszego miasta rodzinnego.

Wszystkie te alternatywy były wszechstronnie rozpatrywane w czasie



wielogodzinnych dyskusji, w których prócz rodziców udział brali także przypadkowo spotkani dawni znajomi, którzy w czasie ucieczki, podobnie jak my utkwili w Łucku.. Pamiętam, że ojciec był za tym, żeby jechać do Wilna i stamtąd próbować wydostać się dalej. Matka, która była większą realistką i zdawała sobie sprawę z bardzo ograniczonych zasobów finansowych rodziny, a ponadto mniej od ojca nienawidziła i bała się Rosjan, była za udaniem się do Lwowa, gdzie dzięki szerokim znajomościom rodzinnym wierzyła w możliwość jakiegoś urzędu. Ja raz tylko zostałem dopuszczony, a właściwie sam wmieszałem się w dyskusję, gdy rozpatrywano była ewentualność powrotu do Lublina, znajdującego się pod okupacją niemiecką.

Mimo młodego wieku byłem dobrze zorientowany w stosunku hitlerowców do ludności żydowskiej i dlatego panicznie bałem się upokorzeń, jakie nas, ludzi pochodzenia żydowskiego spotkać mogli od tamtej władzy. Bałem się głównie właśnie upokorzeń, bo w tym czasie nie było jeszcze oznak późniejszego barbarzyństwa hitlerowców, a to, co wiedzieliśmy o obozach koncentracyjnych, t. zw. kryształowej nocy i innych ekscesach, wydawało się wówczas nie takie znów straszne.

Ale i to, o czym wiedzieliśmy wystarczyło do kategorycznego oświadczenia, że jeśli rodzice zdecydują się wrócić, to ja z nimi nie pojedę. W tym czasie wydawało mi się pozostanie na wschodzie wiele mniej groźne od znalezienia się pod władzą nazistów. Nie wiele jeszcze wiedziałem o tym, co potrafi władza sowiecka. Ogromnym wstrząsem stało się dopiero przeżycie *jakiś* *dobrze* jednego z następnych dni.

W pobliżu naszego mieszkania, w zarekwirowanym budynku jakiejś instytucji rozlokował się (pewnie dlatego, że posesja ogrodzona była wysokim murem) miejscowy oddział Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, osławionego N.K.W.D. Nieraz widzieliśmy doprowadzanych tam przez żołnierzy aresztowanych ludzi. Zauważyliśmy także, że największy ruch pojazdów wjeżdżających i opuszczających budynek miał miejsce w godzinach nocnych. Na chodnikach wzdłuż okalającego posesję muru ustawiono zapory i pieszym wolno było poruszać się tylko po drugiej stronie ulicy. I właśnie przechodząc tamtędy usłyszałem kiedyś najpierw nieludzkie wycie katowanego człowieka, a potem rozróżniłem w jego krzyku słowa: "nie bijcie! za co bijecie?". Krzyk, który zresztą nagle się urwał był tak straszny, że krew we mnie zamarła. Chciałem uciekać, ale stałem przez moment zamarły.

Dopiero po chwili odzyskałem zdolność poruszania się i szybkim krokiem oddaliłem się od budynku, podczas kiedy fantazja tworzyła w moim mózgu obraz tego, co się rozgrywało wewnątrz domu. Potem już nigdy nie chodziłem tamtędy. Wówczas to, po raz pierwszy w mojej wciąż jeszcze chłopięcej duszy zaszła jakaś przemiana i od tego dnia moje spojrzenie na naszych "wyzwoliciele" uległo zasadniczej zmianie, co zresztą już wkrótce odbiło się na naszych późniejszych losach. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Wynikiem długotrwałych dyskusji było postanowienie ażeby próbować ~~nie~~ wydostać się na Zachód lub do Skandynawii przez Wilno. Żeby to jednak zrealizować, trzeba było zmobilizować zasoby materialne. Tymczasem niemal wszystkie rezerwy rodziców wysłane były wcześniej przez jakąś okazję do siostry ojca we Lwowie. Postanowiono więc, że matka uda się tam w najbliższych dniach (bo właśnie uruchomione zostały dość prowizoryczne połączenia kolejowe), a my z ojcem poczekamy w Łucku. I kto wie, jak

potoczyłyby się nasze losy gdyby plany te zostały zrealizowane. Być może udałoby nam się, podobnie jak wielu innym, o czym dowiedzieliśmy się już po wojnie, wydostać ~~z~~ już wówczas z sowieckiego "raju". Ale przeznaczenie, które tym razem wystąpiło w postaci nowej władzy zdecydowało inaczej. Dokładnie tego dnia, w którym matka próbować miała dostać się na pociąg do Lwowa, wyrwał nas wczesnym rankiem ze snu łomotanie do drzwi i kiedy wystraszeni otworzyliśmy je, do mieszkania wkroczyło kilka umundurowanych i uzbrojonych osób w towarzystwie dwóch cywilów. Jeden z tych ostatnich, mówiący po polsku zażądał wylegitymowania się. W tym czasie umundurowani "goście" zaglądali do wszystkich kątów mieszkania, widocznie w poszukiwaniu ewentualnie ukrywających się tam innych osób. Kiedy okazało się, że byliśmy jedynymi lokatorami mieszkania. między cywilem i moim ojcem wywiązał się następujący dialog:

- A gdzie jest prokurator ?
- Jaki prokurator ?
- Nie udawajcie wariata! Pytam o właściciela mieszkania
- A, to co innego. Nie wiedziałem, że on jest prokuratorem. A gdzie jest nie wiem.

Patrzałem na ojca najpierw ze zdziwieniem, a potem, kiedy pojąłem jego taktykę, z podziwem, bo wiedział on oczywiście doskonale, że jego dawny przyjaciel, właściciel mieszkania był prokuratorem.

- To co wy tu właściwie robicie, jeśli nie znacie lokatora ?
- Poznaliśmy go przypadkowo w drodze w czasie naszej ucieczki od nadciągających Niemców i kiedy dowiedział się, że jedziemy do Łucka, zaproponował nam tymczasowe zamieszkanie tutaj.
- Aha, tymczasowe. To znaczy, że ma zamiar wrócić ?
- Widocznie. Tak go zrozumiałem
- Kiedy ?
- Tego nie wiem, ale jeśli panu na spotkaniu z nim zależy, to zaraz po jego powrocie zawiadomię go żeby się z panem skomunikował.
- Obywatelu! Skończcie z kpinami, bo zaraz was zawiozę tam gdzieście jeszcze nie byli !
- Nie rozumiem o jakich kpinach pan mówi - ojciec zachował

przynajmniej zewnętrznie, całkowity spokój.

- No, dobrze. Teraz uważajcie. To mieszkanie zostaje od zaraz zarekwirowane. Macie dwie godziny na zabranie swoich manatków i wyniesienie się. I uważajcie. My kontrolujemy żebyście nie zabrali niczego, co nie wasze.

Widocznie według eksmitującej nas władzy do mieszkania należały również pozostawione przez właścicieli ich osobiste rzeczy, a także, czego ja najwięcej żałowałem, zgromadzone przez panią domu i niemal przez nas nie tknięte wiktuały w spiżarni.

Ojciec próbował jeszcze tłumaczyć, że zupełnie nie mamy dokąd się przenieść, ale w tym momencie rozszelony czymś Mikuś zaatakował nogawkę ojca interlokutora, który rozwścieczony, wyrzucił z siebie:

- Ja widzę, co z was za ptaszki! Burzujskie mordy, co z pieskiem od wojny uciekają ! Ciekawe, czegoście tak ze swojego domu nawiali. Pewnie macie tak samo nieczyste sumienie jak nasz pan prokurator, co i mnie kiedyś oskarżał !



Tu, widząc, że sprawa przyjmuje niebezpieczny obrót, wtrąciła się matka:  
- Właściwie to my i tak zamierzaliśmy w najbliższych dniach wyjechać do Lwowa. Możemy ten wyjazd przyspieszyć.  
- No to już! Pakować się! Zostawiam tu dwóch milicjantów żeby pilnowali co wynosicie. A jak za dwie godziny wrócę, ma nawet ślad po was tu nie zostać.

I tak skończyły się nasze marzenia o Wilnie i wydostaniu się na Zachód. Jedyne co nam pozostało to jazda do Lwowa, gdzie obecność rodziny ojca i naszych rezerw materialnych dawała nadzieję na stworzenie jakiegś - jak wierzyliśmy - tymczasowej egzystencji, "przeczekania", jak to się wówczas nazywało.

Nasi wartownicy naprawdę nie musieli pilnować co zabieraliśmy, bo nie byliśmy w stanie wziąć nawet połowy naszych własnych rzeczy, a kiedy chcieliśmy się zwrócić do sąsiadów o przechowanie reszty, ci, pewnie wystraszeni, woleli nawet nie otwierać drzwi.

Tak więc, obciążeni kilkoma walizkami i nieodłącznym Mikusiem, znaleźliśmy się wkrótce dosłownie na ulicy, a po kilku godzinach, wyzwoleni z zapasu gotówki, która poszła na zdobycie miejsca w pociągu, podążaliśmy jednak w stronę Lwowa.

Był to koniec pierwszego etapu naszej wojennej gehenny - ucieczki od działań wojennych. Etap drugi miał nas od tych działań - tym razem wbrew naszej woli - oddalić o wiele tysięcy kilometrów.

We Lwowie znaleźliśmy schronienie u krewnych mego ojca. Ciotka oddała nam całe swoje mieszkanie, w którym ojciec, nie przepadający za "wyzwolicielami" urządził sobie stosunkowo spokojny azyl.

Trzeba było jakoś przetrwać, to też matka, która znała z lat szkolnych język rosyjski urządziła się na pracy w charakterze sekretarki w t.zw. Kulttorgu, a ja zacząłem naukę w szkole.

O dziwo i nam i większości przyjaciół moich rodziców wciąż jeszcze - o święta naiwności ludzka - wydawało się, że wszystko to nie będzie trwało długo i że wkrótce znajdziemy się w swoich domach. Wszak przed kilkoma miesiącami władze sowieckie rejestrowały ludzi z Polski zachodniej i centralnej, którzy wyrazili chęć powrotu do swoich właściwych miejsc zamieszkania przed wybuchem wojny. My również zdecydowaliśmy się na taki krok. po długotrwałych dyskusjach, do których i ja w związku z moimi poprzednimi sprzeciwami zostałem dopuszczony, a potem po wielodniowym wyczekiwaniu w kilometrowej kolejce, zarejestrowaliśmy się jako chętni do powrotu. A że od czasu zawarcia umowy Ribbentrop-Mołotow stosunki między oboma okupantami ziem polskich układały się jaknajlepiej, przeto - rozumowaliśmy - pozwolą nam chyba powrócić do rodzinnych stron.

Naiwni! Nie przypuszczaliśmy, że właśnie listy osób zarejestrowanych na powrót posłużą N.K.W.D. jako wykazy przymusowych podróżników w kierunku o 180 stopni różnym od zamierzonego.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Na razie pojawiły się na naszym rodzinnym horyzoncie inne chmury. Oto bowiem po paru miesiącach od naszego osiedlenia we Lwowie, władze uznały, że mieszkanie nasze dla jednej rodziny to burżuazyjny zbytek. W rezultacie pojawił się u nas wkrótce sublokator. I to nie byle jaki!. Był nim niezbyt młody oficer. Czapka z niebieskim denkiem i czerwonym otokiem zdradzała jego przynależność do formacji N.K.W.D. a dwa prostokąty na kołnierzu - stopień majora.

Nie wiele jeszcze wówczas wiedzieliśmy o tym resorcie, choć po czystkach w latach trzydziestych fama jego była dość głośna. Ja poza tym miałem świeżo w pamięci przeżycie z usłyszanym w Łucku krzykiem katowanego człowieka, a we Lwowie chodziły słuchy o wielu aresztowaniach i i nagłym znikaniu różnych ludzi.

Sam major jednak nie sprawiał zbyt groźnego wrażenia. Miał dość poczciwie wyglądające, lekko zezujące oczy i nie był zbyt rozmowny. Wprawdzie na wstępie zastrzegł sobie by pod żadnym pozorem nie wchodzić do jego pokoju, bo może to być niebezpieczne, ale po pewnym czasie wyjaśnił nam dlaczego zmuszony był grozić. Otóż według jego relacji wróg klasowy czyhał na "wyzwolonych" terenach na przedstawicieli władzy, którzy w związku z tym musieli być na baczności. No i dlatego zdarzyło się jego koledze zastrzelić w nocy człowieka, u którego stał na kwaterze. Zastrzelił go w "obronie

własnej", gdy tamten wszedł w nocy na palcach do jego pokoju. Okazało się potem, że wszedł po swój woreczek z tytoniem do fajki, który na nieszczęście leżał w pokoju sublokatora. A że było późno, wołał wejść cichutko, bez pukania. No i kosztowała go ta nieostrożność życie.

Rzecz jasna, że po takim wyjaśnieniu omijaliśmy drzwi do pokoju naszego sublokatora z daleka. I wszystko może jakoś by się ułożyło, bo major rzadko bywał w domu i z kuchni nie korzystał, gdyby nie niespodziewany przyjazd pani, a raczej towarzyszki majorowej. Od dnia jej przyjazdu wszystko zaczęło się w naszym mieszkaniu zmieniać. Majorowa reprezentowała sobą typ mocno odmienny od żon wyższych oficerów, z którymi danym było spotykać się moim rodzicom. Chociaż właściwie popełniła ona chyba mezalians, a już napewno zniosła wielkie poświęcenie, gdy zdecydowała się zamienić szerokie - jak mawiała - łany Ukrainy na jej zdaniem wstrętny Lwów. W swoim kołchozie, gdzie pełniła odpowiedzialną funkcję kierowniczkę chlewni, była osobą znaną i cenioną. Za osiągnięcia w dziedzinie hodowli świń wyróżniono ją wyborem, a właściwie wyznaczeniem na członka rejonowego komitetu partii, potem doczekała się także odznaczenia w postaci orderu "Czerwonego sztandaru pracy".

Otóż właśnie ten order, który nota bene w piątek i świątek zdobił bujną pierś naszej współlokatorki, stał się przyczyną naszego wielkiego niepokoju. A było to tak:

Ojciec mój, który z uwagi na swoją antypatię do "wyzwolicieli" starał się jak mógł unikać zetknięć z nowymi sąsiadami bywał często nagabywany do rozmowy przez panią majorową. A że był prostolinijny i nie lubił owijać w bawełnę swoich prawdziwych sądów, przeto często dochodziło do utarczek i słownych spięć. Pamiętam pierwsze z nich.

Po Lwowie krążyły wówczas różne złśliwe dowcipy o braku okrziesania nowych władców. Powtarzającym się często dowcipem było opowiadanie, jak to Rosjanie kupowali od cwanych sprzedawców końcówki do lewatyw z kranikiem, które zachwalano jako nowoczesne cygarniczki, w których kraniki służą do zamykania dopływu dymu. Przysłowiowa stała się nawet fraza sprzedawców, którą zachwalali oni swój towar: "o, widzisz, chcesz - palisz, a nie chcesz - nie palisz", której to frazie towarzyszyło otwieranie i zamykanie kraniku na końcówce. Jeden z naszych znajomych zaklinał się nawet, że on sam wyjaśniał swojemu współpracownikowi, niefortunnemu nabywcy takiej "cygarniczki", że został on potrójnie nabity w karafkę. Bowiem końcówka - jak wyjaśniał - nie służyła do przepuszczania dymu tylko wody, kierunek przepływu był odwrotny do demonstrowanego przez sprzedawcę, a już całkowicie odwrotna była część ciała dla której końcówka była przeznaczona.

Ile w tym było prawdy nie wiem. Inna natomiast historyjka o tym, jak to panie przybyłe ze wschodu masowo wykupywały w sklepach resztki pozostałych tam jeszcze z polskich czasów, milanezowych koszul nocnych by używać ich jako sukni balowych, stała się najautentyczniejszym wyczynem naszej majorowej. Powróciwszy kiedyś z częstych zresztą wizyt na jednym z placów, gdzie mieszkańcy Lwowa sprzedawali swoje używane rzeczy by zdobyć środki na utrzymanie, a złodzieje pozbywali się skradzionych przedmiotów, pokazała nam współlokatorka z dumą swój



nabytek w postaci długiej do kostek, haftowanej milanezowej koszuli, którą oczywiście zaprezentowała jako suknię. Początkowo nie bardzo chciała nawet wierzyć w wyjaśnienia matki co do istotnego przeznaczenia ubioru. Echa tej historii powracały do nas wielokrotnie w formie dowcipu. Tak to tworzą się kawały na kanwie prawdziwych wydarzeń. Kto jednak wie, czy takich przypadków rzeczywiście nie było więcej?

W każdym razie majorowa, jak każdy człowiek ośmieszony, zapalała od tego czasu silną niechęcią do tych, którzy byli jej - jak się jej wydawało - poniżeniami świadkami. Ale prawdziwa wrogość narodziła się w niej po historii z orderem.

Pamiętam dialog między moim ojcem i majorową dokładnie. Było to pod wieczór i ojciec nalewał sobie w kuchni herbatę, a obok przygotowywała kolację współlokatorka. W pewnej chwili z patelni, na której smażyła boczek przysnął tłuszcz tak nieszczęśliwie, że jedna kropla poplamila tkwiący jak zwykle na piersi majorowej order. Wówczas to właśnie wywiązał się ów dialog, który - jak sądziliśmy - mógł sciągnąć na nasze głowy duże kłopoty.

- Tak, tak, ordery lepiej jest nosić od święta, a nie do pracy przy kuchni, zauważył ojciec.

- Ludzie radzieccy zbyt wysoko cenią sobie odznaczenia nadane przez Radę Najwyższą, by miały one gnić gdzieś w szufladach, odparła majorowa.

- A za cóż to właściwie pani towarzyszka - był to ulubiony zwrot mego ojca - otrzymała ten order?

- Za to, że stosując nowoczesne metody chowu udało mi się wychodować maciorę, która dała 22 prosiaki w jednym miocie!

I wtedy właśnie pękła bomba.

- No to dlaczego nie przypięli orderu świni? zapytał z głupia frant ojciec.

Tego było majorowej za wiele.

- Ech wy polskie kontry - co w jej języku oznaczać miało kontrrewolucjonistów - wrzasnęła. - Czekać, ja wam pokażę! Tu wam nie pańska Polska! Zobaczycie, co to znaczy władze radziecką obrażać!

Widocznie identyfikowała siebie z władzą. Ale nam wcale nie było do śmiechu. Już w tym bowiem czasie wielu lwowian siedziało w więzieniach za bardziej błahę przewinienia, niż obraza władzy radzieckiej. Pełną parą odbywało się też wywożenie, czyli deportowanie rodzin byłych osadników wojskowych, urzędników państwowych i innych gdzieś na wschód. To też od tego dnia żyliśmy w ciągłym niepokoju, a pogawędki ze współlokatorami skończyły się.

Wiosną 1940 roku wywózki najpierw samotnych mężczyzn, a potem całych rodzin, stały się zjawiskiem masowym.

W stan alarmowy postawiła naszą rodzinę krótka, wypowiedziana ze złym błyskiem w oku uwaga majorowej, że teraz już niedługo "zobaczą niektórzy gdzie białe niedźwiedzie zimują".

Było jasne, że major musiał w listach sporządzanych przez jego instytucję natknąć się na nasze nazwisko, a kto wie - przypuszczaliśmy



- czy sam go tam nie wstawił. Widocznie nie miał przed żoną tajemnic, a ta nie mogła sobie odmówić przyjemności ujrzenia naszych wypłoszonych twarzy. No i muszę przyznać, że zemsta była celna. Wrażenie było silne, tak silne, że po rozważeniu wszystkich aspektów sprawy zdecydowano, że ojciec, jako najbardziej narażony, nie będzie przez pewien czas nocował w domu. Decyzja ta okazała się niestety w skutkach tragiczna.

Był to koniec czerwca i właśnie zaczęły się wakacje. Byłem jeszcze w takim wieku, że wszystko, co rozgrywało się wokół mnie nie robiło na mnie zbyt wielkiego wrażenia. Zanim pochłonięty byłem poznanymi wówczas tajnikami brydża. Seanse brydżowe przeciągały się niemal codziennie do późnej nocy.

W jednym z ostatnich dni, a właściwie nocy czerwca wracałem właśnie do domu, gdy uwagę moją zwrócił niezwykle dla tej pory ruch na ulicach. Jezdnie zatłoczone były wojskowymi samochodami ciężarowymi, dorożkami i chlopskimi furmankami. W pierwszej chwili sądziłem, że to jakieś ćwiczenia wojskowe, ale już po kilku minutach zorientowałem się, że chodzi tu o coś zupełnie innego. Idąc ulicami spostrzegłem, że z bram domów wyprowadzają żołnierze N.K.W.D., milicjanci i jacyś ludzie z czerwonymi opaskami na rękach całe rodziny i ładują je na pojazdy, które następnie odjeżdżają dokądś eskortowane. Podczas mojej wędrówki byłem kilkakrotnie zatrzymywany i legitymowany. Szczególną uwagę zwracano przy tym na mój t.zw. odcinek zameldowania, który każdy zobowiązany był nosić przy sobie.

Oczywiście po dotarciu do domu opowiedziałem o tym rodzicom. Całą resztę nocy spędziliśmy potem na nasłuchiowaniu, czy na schodach nie słychać kroków idących po nas żołnierzy. Ale ta noc minęła spokojnie. Rano dowiedzieliśmy się, że w ciągu nocy wywieziono w nieznanym kierunku dziesiątki tysięcy rodzin, lub samych tylko mężczyzn. Kryteria którymi kierowano się deportując bądź to całe rodziny, bądź też tylko ich głowy, były niezrozumiałe i do dnia dzisiejszego pozostały dla mnie tajemnicą.

Tego właśnie dnia pożegnał się z nami ojciec, który - jak sądziliśmy wówczas - na kilka dni przeniósł się do zamieszkałej pod Lwowem rodziny. Ktoż mógł przypuszczać, że żegnając się z nim wówczas, żegnaliśmy się już na zawsze!

Następna noc minęła spokojnie, ale rano wiadomo już było, że wywózki odbywały się z takim samym nateżeniem.

Ponieważ wywożeni mogli zabierać ze sobą tyle bagażu, ile sami udzwignęli, przeto zaczęliśmy z matką na wszelki wypadek odkładać rzeczy, które naszym zdaniem byłyby najprzydatniejsze tam, gdzie mogliśmy się znaleźć. Niestety powszechne było wówczas przekonanie, że wojna nie potrwa długo, a wobec tego lepiej będzie "lepsze rzeczy" zachować na potem. Dlatego też matka postanowiła spakować tylko gorsze z posiadanych dwóch futer. Uważaliśmy, że praktyczniej będzie wyekwipować się raczej po sportowemu.

Kolejna noc zaczęła się spokojnie. Około północy matka i ja zasnęliśmy, to też nie słyszeliśmy kroków na schodach, których tak nasłuchiwaaliśmy przez dwie poprzednie noce. Zbudził nas dopiero o

drugiej w nocy ostry dzwonek do drzwi, które prawie natychmiast otworzyła majorowa. Była ona kompletnie ubrana, co wskazywało na to, że nasi współlokatorzy byli poinformowani o tym, co miało nastąpić.

Natychmiast też do naszej części mieszkania wkroczył oficer i dwaj żołnierze w czapkach takich samych jaką nosił "nasz" major.

- Wstawać i ubierać się! Pojedziecie z nami, brzmiała komenda. Byliśmy na to pdczęści przygotowani. Sądziliśmy jednak, że nieobecność ojca pokrzyżuje plany naszych gości. I rzeczywiście, gdy matka powiedziała, że ojciec wyjechał, a bez niego przecież nie mogą nas zabrać, wydawał się oficer nieco speszony. Kazał się nam jednak ubierać i pakować rzeczy. Sam zaś znikł z pokoju. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy telefonował po instrukcję, czy też otrzymał je od naszego współlokatora. Niestety decyzja z którą wrócił była jaknajgorsza.

- Pojedziecie sami, a gospodarz - jak się wyraził - dojedzie później.

Matka próbowała jeszcze protestować, mówiąc, że sami dobrowolnie nigdzie nie pojedziemy, ale miało to tylko ten skutek, że oficer kazał żołnierzom wyprowadzić nas na siłę. W końcu, zdając sobie sprawę z beznadziejności oporu, zaczęliśmy pakować nasze rzeczy.

W czasie pakowania walizek oficer zauważył mój blok rysunkowy z różnymi moimi szkicami, wśród których był też charakterystyczny, wąsaty profil Piłsudskiego. Rysowanie tego profilu było moim starym przyzwyczajeniem. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że poza imieniem, łączyło polskiego marszałka ze Stalinem także podobieństwo profilów. A ze zdolnościami do rysunku nigdy się nie wyróżniałem, wystarczyły moje nieudolne bazgroły by rozwścieczyć oficera N.K.W.D. W rezultacie usłyszeliśmy, że

- Polski "panicz" karykaturuje towarzysza Stalina! Ciekawe, ciekawe!

Na nic przydały się wyjaśnienia. Moje rysunki zostały skonfiskowane i włożone do teczki z naszymi aktami, którą oficer stale trzymał pod pachą.

Kiedy wkrótce potem z dwiema walizkami opuszczaliśmy mieszkanie, mignęła nam w szparze drzwi rozjaśniona tryumfalnym uśmiechem twarz pani majorowej. Ten widok i wystraszone twarze innych lokatorów naszego domu, widoczne z za zamkniętych okien w chwili, gdy pod eskortą dwóch uzbrojonych w karabiny z długimi bagnietami żołnierzy armii "wyzwolicielki" opuszczaliśmy nasze lwowskie mieszkanie, na zawsze wryły się w moją pamięć.

## Fiakrem na Dworzec Główny

Czerwona Armia nie była w 1940-ym roku na tyle zmechanizowana, by użyczyć bratniej organizacji N.K.W.D. środków transportowych dla przewiezienia dziesiątków tysięcy ludzi wraz z ich - skromnym wprawdzie, ale mimo to - bagażem z mieszkań na dworce kolejowe.

Zbierano więc wywozonych na ciężarówki, które krążyły nieprzerwanie między dworcami i dzielnicami mieszkalnymi. Trzeba przyznać, że przy tej okazji maszyna władzy pracowała bardzo sprawnie. Widać było, że nie była to pierwsza tego typu akcja. Zdając sobie sprawę z niewystarczalności swego transportu mechanicznego, naczalstwo zadbało zawnazu o zmobilizowanie dostatecznej ilości innych środków transportowych.

Turkotały więc po lwowskim bruku swymi żelaznymi obęczami na kołach, załadowane po brzegi ludźmi, chłopskie furmanki. A że i tego było za mało, zmobilizowano do akcji pocziwych dorożkarzy, czyli po lwowsku "fiaków".

My pojechalismy na Dworzec Główny takim właśnie fiakrem. Uonorowano nas eskortą jak się patrzy. Na stopniach dorożki, po obu jej stronach stali wojacy z przewieszonymi przez ramię karabinami.

Jadąc tak ulicami Lwowa w potoku pojazdów wypełnionych ludźmi, mijalismy domy, w których mieszkali nasi krewni, przyjaciele i znajomi. Wielu było wśród nich - jak my - uciekinierów z okupowanej przez Niemców części Polski, czyli t.zw. "bieżenców". Zastanawialismy się ilu z nich spotkał ten sam los, co nas. Później okazać się miało, że niemal wszystkich.

W drodze oprzytomnilismy trochę po pierwszym szoku i myśli nasze opanowało znalezienie sposobu... nie, nie uciezki, bo to było zupełnie nie możliwe, ale sposobu powiadomienia ojca o tym co nas spotkało. Jedynym ratunkiem wydawał się być dorożka. To też w pewnej chwili matka zwróciła się do niego:

- Błagam pana, niech pan zawiadomi mego męża, że nas zabrali i dokąd pan nas zawiózk. On pana za to...
- Mołczać! przerwał jej jeden z eskortujących - Rozgawariwać nie położono!

Matka, która dobrze władała językiem rosyjskim usiłowała mu coś wytłumaczyć, ale ponowne "mołczać", tym razem poparte wymownym ruchem sciągania zawieszzonego na ramieniu karabinu, zmusiło ją do zamilknięcia.

Siedzieliśmy przez chwilę zrozpaczeni i nie zwrócilismy uwagi na to, że nasz woźnica zaczął podśpiewywać pod nosem. Dopiero po chwili zorientowalismy się, że słowa jego piosenki są inne, niż te, które wiązały nam się w pamięci ze śpiewaną melodią. Zrozumieliśmy, że nasz cwany fiakier zauważył wcześniej, że konwojenci nie mieli nic przeciwko matki konwersacji ze mną i dlatego podśpiewywał sobie w takt starej wojskowej piosenki "Legiony to...":

- Ta gadaj pani do chłopaka



gdzie stary jest, jak znaleźć go.

Pojadę tam jak tylko puszcza,

Nie bójcie nic! Załatwię to!

Widać chłop był łebski i miał lwowski humor. Na szczęście nasi strażnicy nie grzeszyli nadmiernymi zdolnościami lingwistycznymi i nie zorientowali się jaka była treść "piosenki". Skorzystaliśmy z tego i po chwili pomiędzy matką i mną wywiązał się taki dialog:

- Juleczku, jak się właściwie nazywa miejscowość, w której jest teraz tatuś?

- Winniki

- A jak się nazywa ciocia u której on mieszka?

- Gersonowa

- Oczywiście Gersonowa, a ja zupełnie zapomniałam!- Ciocia, to była matki siostra.

- Tam zdaje się zmienili nazwę ulicy, co? Dawniej to pamiętam, że adres był Paderewskiego 5. A teraz?

- Teraz to jest Lenina 5.

- Lenina 5? To łatwo zapamiętać!

Przez cały czas naszej rozmowy nasz dorożkarz kiwał głową, dając nam do zrozumienia, że zapamiętał potrzebne dane. Nagle ja zorientowałem się, że nie podaliśmy jeszcze nazwiska ojca i kontynuując dotychczasową metodę zapytałem:

- A pamiętasz jak się tato nazywa?

Na co mama bardzo wyraźnie odrzekła:

- Oczywiście, Karol Hollenberg!

W tym momencie jeden z eskortujących wybuchł gwałtownym śmiechem. Widocznie zrozumiał treść mojego pytania i odpowiedzi matki, które wydały mu się kompletnie idiotyczne.

- Słuchaj - rzekł do swojego kompana - ten dureń pyta matkę, czy pamięta jak się jego ojciec nazywa!

- A może ona tego nigdy i nie wiedziała? odparł "dowcipnie" drugi.

Rozumiałem już wtedy na tyle po rosyjsku by pojąć co powiedział i odruchowo szarpnąłem się w jego stronę chcąc jakoś zareagować. Ale w tym momencie ręka matki zacisnęła się na mojej, a jej krotkie

- Spokój!

powstrzymało mię.

Eskortujący zauważyli mój ruch. W ich oczach dostrzegłem coś, jakby zawód, że matce udało się uspokoić mnie jednym słowem. I tylko jeden z nich skomentował:

- Widzisz go szczeniaka, jaki honorowy!

W tym momencie odezwał się niby do swojej klaczy dorożkarz:

- Wio! Bujaj się stara, bo musimy jeszcze dziś pchać się do Winnik.

Odetchnęliśmy z ulgą. Sądziliśmy, że uda nam się przy pomocy fiakra połączyć się z ojcem. Nie chcieliśmy zwracać się z tym do Rosjan z obawy, że jak to się już poprzednio zdarzało, mogliby oni ojca potraktować jako samotnego mężczyznę i posłać wprost do lagru, a nie z nami na przesiedlenie.

Po pewnym czasie, już przebywając na zesłaniu, dowiedzieliśmy się listownie od ojca, że dorożkarz słowa dotrzymał, ale zjawił się w



Winnikach dopiero gdy Rosjanie go zwolnili, to jest po 24 godzinach. Ojciec pojechał natychmiast na Dworzec Główny, ale nasz transport już dawno odjechał.

Tymczasem jednak dotarliśmy do dworca. Nie wiem, czy każda dowożona tam rodzina miała z góry przeznaczone miejsce w określonym pociągu, czyli "eszalonie", jak Rosjanie nazywali tego typu transporty, czy też wypełniano pociągi w miarę napływu "podróżnych". Ale szybkość, z jaką nastąpiło przekazanie nas przez dotychczasowych aniołów stróżów ich kolejnym następcom zdawałaby się wskazywać - mimo niewątpliwego doświadczenia w tego typu akcjach - na ten drugi wariant.

W czasie, gdy nasi konwojenci załatwiali formalności, mieliśmy okazję przyjrzeć się, co działo się na dworcu.

Przez jego teren przepływała ogromna fala ludzka. Bez przerwy zajeżdżały przed główne wejście, które było zamknięte dla normalnego ruchu, pojazdy mechaniczne i konne, po brzegi wypełnione dorosłymi, dziećmi i bagażem. Przyglądając się temu bagażowi skonstatowałem ze zdziwieniem, że część przymusowych podróżnych wyposażyla się jedynie - jak można było sądzić z eleganckich naogół walizek - w odzież i ewentualnie trochę pościeli. Tymczasem drugą część wywożonych, niewątpliwie rodziny biedniejsze, starała się zabrać wszystko, co się dało. Ci taszczyli miski, wiadra, garnki i inne przedmioty domowego użytku oraz tłumoki z pościelą. Ich walizkowy bagaż przedstawiał się natomiast dużo skromniej.

Pamiętam, że w swojej młodzieńczej naiwności uśmiechałem się ironicznie, patrząc na wieloosobowe rodziny objuczone ogromnymi nieraz tobołami. Przyszłość miała pokazać, że ci właśnie z których się śmiałem byli daleko bardziej praktyczni i ich przygotowanie do twardego życia na zsyłce było nieporównanie lepsze aniżeli tych, którzy wierząc w magiczną moc wypchanych portfeli, jechali jedynie z niewielkimi walizkami.

Nie zdawaliśmy sobie wówczas zupełnie sprawy z tego, że w tym dziwnym kraju, do którego nas wieziono wszystko było inne niż w cywilizowanym świecie, w jakim dotąd żyliśmy, a okolice w których mieliśmy się znaleźć były dziczą, nawet na warunki Sowieckiej Rosji.

Nieprzerwany potok ludzki, konwojowany przez żołnierzy w złowrogich niebiesko-czerwonych czapkach płynął pod nieoszlonym szkieletem okazałej i najładniejszej chyba w przedwojennej Polsce, a teraz nawpół zniszczonej hali Dworca Głównego. Potok ten posuwał się kilkoma szeregami wzdłuż peronów dworca, w dwóch kierunkach od wejścia. Potem, gdzie już poza halą rozdzielała się zwarta dotąd masa ludzi na kilka strumieni, które płynęły w kierunku niewidocznych z miejsca, w którym staliśmy, bocznic. Ale oto nadszedł czas włączenia i nas do tej posuwającej się ciżby. Jeden z naszych eskortujących powrócił właśnie w towarzystwie innego żołnierza z tej samej formacji i wskazując palcem na nas powiedział:

- Wot oni - i dodał - a wot dokumenty. W pamięć wrył mi się jeszcze krótki nawrót strachu, kiedy na samym wierzchu przekazywanych do rąk naszego nowego "opiekuna" papierów spostrzegłem kartkę z tym, co nazwno karykaturą Stalina. Zaoszczędzilibyśmy sobie napewno wiele

nerwów, gdybyśmy wówczas wiedzieli, że nigdy więcej papierek ten nie miał większego wpływu na nasze losy, choć raz jeszcze, w przyszłości wypłynął przy okazji oskarżenia mnie o sabotaż. Ale o tym mowa będzie potem.

Byliśmy może spóźnieni, albo też w naszym przyszłym eszalonie brakowało trochę ludzi do kompletu. Tak czy inaczej, nie przyłączono nas do kolumn maszerujących w kierunku gdzieś dalej od dworca osobowego stojących, pustych jeszcze zestawów wagonów. Żołnierz, który nas przejął powiedział krótko:

- A nu dawaj!-

i uprzedziwszy nas lojalnie o tym, że próba ucieczki może się źle skończyć, poprowadził nas do stojącego przy końcu jednego z peronów, pełnego już - jak się wkrótce okazało - pociągu.

Stojący na peronie oficer wskazał ręką jakiś wagon, jakieś ręce pomogły nam wwindować bagaż, a potem siebie samych do środka i drzwi wagonu zasunęły się za nami ze zgrzytem.

- Hulaj synu stąd. Ładuj się gdzieindziej. Tu już nie ma miejsca.
- Jaki? Przecież tu jest najluźniej- próbowałem protestować.
- Spierdalaj gówniarzu pokim dobry! - brzmiała grzeczna odpowiedź.

W tym miejscu wtrąciła się matka

- Daj spokój Juleczku - powiedziała szybko. Zostaniemy tutaj na dole.

Wówczas z przeciwległej górnej półki odezwał się głos kobiety:

- Zostawcie państwo walizki na dole, a sami chodźcie tu do nas. Jakoś się pomieścimy!

Skwapliwie skorzystaliśmy z zaproszenia i po chwili siedzieliśmy już na górze, dziękując kobiecie, która nas zaprosiła. Zaraz też nastąpiło wzajemne przedstawienie się. Okazało się, że pani, która zaofiarowała nam miejsce na górnej półce była krakowianką i nazywała się Polakowa. Poza nią w wagonie znajdował się jej mąż, starszy człowiek, przed wojną poważny przedsiębiorca, właściciel dwóch tartaków i przetworni tłuszczu. Na resztę rodziny składała się ich córka z mężem, p.Fabianem, adwokatem, a zarazem - skrzypkiem - amatorem, oraz ich dziecko, dziewięcioletnia córeczka. Jako bardzo - przed wojną - dobrze sytuowana rodzina, posiadali państwo Polakowie w Malopolsce jakąś posiadłość wiejską. Przed wkroczeniem Niemców, z tej właśnie posiadłości fernal Kazio zawiózł rodzinę ich własną bryczką do Lwowa i tam już z nimi pozostał. Teraz Kazio, już jako nieodłączna część rodziny Polaków, zajął wraz z nią miejsce w wagonie. Drugim, że tak powiem dodatkiem do rodziny była Francuzka, mademoiselle, jak ją nazywano, będąca wychowawczynią małej Fabianówny. Również i jej wypadło dzielić los całej rodziny w tej niedobrowolnej "przeprowadzce". Na tym lista lokatorów naszej górnej półki zamykała się. Jak później dowiedzieliśmy się, to bądź co bądź lepsze, bo spokojniejsze i bliżej okien położone miejsce zawdzięczała rodzina Polaków temu, że zostali oni do wagonu przyprowadzeni jako pierwsi.

Jako druga została do wagonu doprowadzona rodzina Aszerów. Składała się ona ze starego pana Aszera, zasuszonego starszego człowieka z żydowskimi ortodoksyjnymi pejsami i brodą, jego żony oraz syna i synowej z pięcioletnim wnuczkim Beniem. Rzecz jasna, że po przybyciu do wagonu wybrali oni miejsce na przeciwległej górnej półce. Jednakże nie długo mieli tam zabawić. Bo oto wkrótce doprowadzono następną rodzinę. Byli nią Szafirowie z dwiema córkami w wieku 5 i 8 lat. Pan Szafir zorientował się szybko, że zajęte już miejsca na górnych półkach były lepsze. Przez chwilę wahał się ponoć kogo by tu wyrzucić. Prawdopodobnie rola Kasia zdecydowała, że wybór padł na Aszów. Szafir kazał im poprostu przenieść się nadół. Obie panie Aszerowe protestowały głośno, a młodszy Aszer usiłował też protestować czynnie, gdy przy pomocy żony Szafir zaczął zrzucać ich bagaż z górnej półki. Interwencja ta została jednak brutalnie przerwana, bo Szafir wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot, który po sekundzie okazał się być wielkim, sprężynowym nożem. Pani Aszerowa krzyknęła:

- Aron, zostaw tego bandytę! - i cała rodzina przeniosła się na podłogę wagonu, by być jaknajdalej od Szafira - na naszą stronę.

Ten "ostrzy argument" w rękach Szafira był - jak nam opowiedziała pani



Polakowa - jeszcze kilkakrotnie użyty przy próbach sforsowania górnej półki przez następnych współpodróżnych. Szafir postanowił, że na jego półce jechać będzie tylko jego rodzina i wolę swoją przeprowadzić.

Ale powróćmy do dalszych pasażerów wagonu.

Pod nami, poza Aszami, miejsce zajęły jeszcze dwie rodziny. Tylko ironia losu zetknąć mogła na małym skrawku brudnej podłogi wagonu dwie rodziny tak bardzo różniące się od siebie swoją przeszłością. Były to dwa małżeństwa.

Jedno, to państwo Kostopolscy. On, były oficer legionów, a późniejszy wysoki urzędnik sanacyjny, szlacheckiego pochodzenia i bardzo prawicowych poglądów. Ona - z domu hrabianka, która dużo więcej czasu spędzała na francuskiej Riwierze, niż w kraju, a ostatnie lata przed wojną, gdy mąż pełnił z ramienia rządu polskiego ważne funkcje w wolnym mieście Gdańsku, najczęściej - jak sama opowiadała - spotkać ją można było na terenie europejskiego wówczas kurortu Zopott, t.j. Sopotu.

Drugie małżeństwo, to stary działacz komunistyczny Frydman z żoną, równie zapaloną idealistką, jak on sam. Frydman należał do najbardziej aktywnych działaczy Komunistycznej Partii Polski i ani przejście przez obóz w Berezie, ani wieloletni wyrok od odsiadki którego uwolniła go dopiero wojna, ani gruźlica, której się w więzieniu nabawił, nie zdołały zachwiać jego ideowej żarliwości. Również żona jego miała za sobą wyrok za komunizm. Do dziś pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego tacy ideowi komuniści - a Frydmanowie byli tylko jednymi z wielu - zostali wywiezieni przez Rosjan razem z nami.

Na tych dwóch kontrastowych małżeństwach wyczerpuje się lista "pasażerów" z podłogi wagonu pod naszą półką.

Podłoga pod Szafirami okupowana była również przez trzy rodziny.

Pierwszą z nich byli państwo Aleksiejewiczowie z dwoma synami. Aleksiejewicz był przed wojną dyrektorem jednego z większych banków. Był to człowiek po pięćdziesiątce, chory na anginę pectoris do tego stopnia, że - jak opowiadała jego żona - do pracy musiał z położonego o kilkaset metrów domu jeździć dorożką, a na pierwsze piętro windą. Żona była cichą i o męża bardzo niespokojną kobietą. Dwaj synowie w wieku 8 i 12 lat byli jedynymi w wagonie osobami zachwyconymi sytuacją w której się znaleźli.

Druga rodzina składała się z około czterdziestoletniej kobiety z piętnastoletnim synem. Pani ta, brunetka o zaciętym wyrazie twarzy i niezbyt rozmowna nazywała się Fikowa i była żoną wywiezionego już wcześniej przez Rosjan do obozu, przedwojennego przodownika policji.

Sąsiadami ich byli państwo Szwarzuchowie, przedwojenni właściciele sklepu szczotkarskiego w moim rodzinnym mieście Lublinie.

Jak z tego krótkiego opisu widać, trzydzieści osób, które los zjednoczył w naszym wagonie, stanowiło doskonały niemal przekrój wszystkich grup społeczności zarówno polskiej, jak i żydowskiej w przedwojennej Polsce.

O przytoczonych tu szczegółach dowiedzieliśmy się naturalnie dużo później, w czasie wielotygodniowej wędrówki, która nas czekała. Pierwsze godziny przebywania w wagonie upłynęły najpierw na cichym rozmyślaniu, a potem na coraz żywszych rozmowach, poświęconych jednemu interesującemu

wszystkich tematowi, a mianowicie co z nami zrobią i dokąd nas wywiozą.

Dla mojej matki i dla mnie najistotniejszym problemem było początkowo, czy ojciec zostanie w porę powiadomiony i czy zdąży dołączyć do nas. Zastanawialiśmy się czy dobrze zrobiliśmy pakując do walizek również część jego rzeczy. Jedyne, z czego mama się cieszyła było to, że przewidująco odesłała naszego Mikusia do ciotki. Gdyby nie to, zostałby on zupełnie sam w mieszkaniu.

Ze strachem wsłuchiwałam się, czy do pociągu naszego nie jest podłączana lokomotywa. Ale tymczasem nic takiego nie następowało, to też przysłuchiwałam się toczącej się w wagonie dyskusji. Była ona co chwilę przerywana głośnym szlochaniem, które doszło do naszych uszu w chwili wsiadania do wagonu i równie głośnymi jękami. Osobą szlochającą była mademoiselle, której system nerwowy zdecydowanie odmówił posłuszeństwa, przyczem żadne uspokajające słowa pań Polakowej i Fabianowej, ani nawet podane przez kogoś, zalatujące walerianą krople, nie były w stanie potoku łez powstrzymać.

Wtórującym jej, nie płaczem co prawda, lecz głośnymi jękami, był starszy pan Aszer. Byliśmy tymi jękami początkowo bardzo wystraszeni, ale widząc, że reszta rodziny nie bardzo się nimi przejmując, przestaliśmy i my stopniowo zwracać na nie uwagę.

Co do czekającej nas przyszłości zdania były podzielone. Odnosnie jednego tylko wszyscy byli zgodni, a mianowicie, że jedziemy na "białe niedzwiedzie". Tym mianem określano daleko na północnym wschodzie położone tereny Związku Radzieckiego, dokąd - jak było wiadomo - zwykli byli zsyłać niewygodnych ludzi najpierw carscy "czynownicy", a potem ich sowieccy następcy.

Bardziej kontrowersyjna była kwestia, czy zostaniemy umieszczeni w zamkniętych obozach pracy, czy też przesiedleni na jakąś głąchą prowincję, gdzie dadzą nam bardziej czy też mniej normalnie żyć i pracować.

Trzecia hipoteza, pośrednia, nikomu do głowy nie przychodziła. a właśnie ona miała się okazać słuszna.

Tocząca się dyskusja nie była ożywiona. Ot, kilka osób powiedziało, jakie było ich zdanie i na tym pewnie by się skończyło, gdyby nagle z ust starszego Aszera, zamiast dotychczasowych jęków nie padło takie zdanie:

- Wszyscy tylko gadają dokąd nas powiozą, a ja się pytam za co starego Aszera chcą wywieźć ze Lwowa? Czy stary Aszer im tu przeszkadza? Czy może Benio im przeszkadza, żeby mu Pan Bóg dał sto lat życia !? Co ja im takiego zrobiłem ???

Przez chwilę panowała cisza. Za co? O tym jakoś nikt nie pomyślał. W ciągu tygodni poprzedzających naszą wywózkę przywykliśmy już do tego, że Rosjanie aresztowali i wywozili ludzi za nic. Ale nagle, spod naszej półki odezwał się głos Frydmana:

- Pyta pan za co? A na powrot do Niemców toś się pan napewno zarejestrował! I chce pan żeby władze tolerowały tutaj na pograniczu takie niepewne elementy, które wolały wrócić tam do faszystów, niż żyć tutaj.

W sukurs Aszowi poszła synowa:

- Kto tu jest niepewny element? Sam pan jesteś niepewny element!  
Ciekawe, że pana też zabrali, chociaż tak pan z nimi trzymasz.  
Widać strzał był celny, bo Frydman się już nie odezwał. Za to odezwał się jego sąsiad Kostopolski.

- Ma pani rację. A poza tym dlaczego niby to pogranicze ma być takim ważnym terenem? Przecież od października zeszłego roku panuje wielka przyjaźń między Związkiem Radzieckim i Niemcami.

- Właśnie. A nie chcieli nas mieć tutaj, to mogli nas puścić tam, dokąd chcieliśmy jechać - dodał Aleksiejewicz.

- A może nas właśnie zawiozą za Bug? - odezwała się Polakowa.  
Znow zrobiło się cicho. O takiej możliwości ludzie nauczeni doświadczeniami ubiegłych miesięcy jakoś nie myśleli.

- My byśmy się tam zawieźć nie dali - stwierdził twardo Frydman.

- Nie zauważyłem jakoś, żeby kogokolwiek z nas pytano o zdanie - wtrącił Aleksiejewicz.

I dyskusja rozgorzała być może na nowo, gdyby w tym momencie nie zgrzytnęła zasuw. Zaraz po tym drzwi się rozsunęły i do wagonu wskoczyło dwóch czerwonoarmistów.

- Zaraz bendziem robić spisek - odezwał się jeden z przybyszów.

- Jaki spisek, co za spisek? Tu nikt nie robi żadnych spisków - wyjąkała przerażona Polakowa.

- Milczeć! - ryknął żołnierz.

W wagonie zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Nie wszyscy widocznie zrozumieli, że za użytym z rosyjska słowem "spiszek", kryje się poprostu spis, lista, którą przybysz zamierzał zestawić.

- Każdy powie swoje imie, imiaotczestwo i familju - dodał żołnierz.  
potem otworzył trzymany w ręku zeszyt, niewiedzieć czemu naślinił czubek ołówka i zbliżył się do starego Aszera, który przestał jęczeć i wpatrywał się w niego przerażonymi oczyma.

Żołnierz stał przez chwilę w wyczekującej pozie, a że Asz<sup>er</sup> się nie odzywał, rzucik:

- Twoje imię?

- Moje? - upewnił się Aszer, pewnie zaskoczony, że do niego, poważnego ojca rodziny może taki smarkacz zwracać się tak bezceremonialnie.

- Koniecznie! - żołnierz był już podenerwowany.

- Izak - odparł Aszer

- Imiaotczestwo - padło kolejne pytanie.

- Czego on chce? zwrócił się Aszer do żony

- On pyta o imie pańskiego ojca - wtrącił się Frydman.

- Na co jemu potrzebny mój ojciec? On już nie żyje od trzydziestu lat, niech mu ziemia lekką będzie.

- On tylko chce wiedzieć imię pana ojca - powtórzył jeszcze Frydman.

- Jakub - powiedział wreszcie Aszer

Żołnierz zanotował i zapytał:

- Familja?

- Jest tutaj. Cała familja jest tu razem ze mną - odparł Aszer. - O tutaj siedzą.

- On pyta o nazwisko - podpowiedział znow Frydman.

- Mój dziadek był Aszer, mój ojciec był Aszer, to i ja jestem Aszer.



Z następnymi poszło nieco gładziej. Przy naszym nazwisku okazało się, że nie ma w alfabecie rosyjskim odpowiednika litery H, wobec czego Hollenberg przerobiono na Gollenberg i tak już miałem się nazywać przez wszystkie spędzone w Rosji lata.

Kolejne nieporozumienie wynikło przy rodzinie Polaków, gdy głowa rodziny na pytanie o nazwisko odparł:

- Polak -

- Wiem, że ty Polak, ale jak się nazywasz?- wykrzyknął żołnierz.

Potem zadaniem ponad siły okazało się zapisanie po rosyjsku francuskiego imienia i nazwiska naszej mademoiselle. Dopiero pomoc drugiego, bardziej trochę rozgarniętego żołnierza pozwoliła przebrnąć przez tę barykadę.

Ale najtrudniejszym orzechem do zgryzienia okazał się Szafir. Gdy doszło do nazwiska oświadczył on:

- Może być Szafir.

- Co znaczy może być? Tak się nazywasz, czy nie?

- Ostatnio tak.

- A jak się nazywałeś przedtem?

- Sporo tych nazwisk było.

- A jakie jest prawdziwe?

- Ja już sam nie wiem.

- Dawaj dokumenty!

- A bo ja mam?

- Jak nie podasz nazwiska, to pójdziesz pod sąd.

- Patrzcie kogo on straszy! Jak Szafira sądzili pierwszy raz toś ty pod stołem siedział!

Sluchaliśmy tej wymiany zdań z zapartym tchem. Po ostatniej tyradzie rozwścieczonego Szafira, większość sądziła napewno, że to się dla niego źle skończy. Niektórzy chyba myśleli o tym z satysfakcją.

Ale okazało się, żeśmy się mylili. Żołnierz napisał "Szafir", plunął na podłogę wagonu, a że była to ostatnia już rodzina, prędko zapisał resztę i wyskoczył na peron, żegnany drwiącymi uśmiechami państwa Szafirów.

W tym momencie do rozsuniętych jeszcze drzwi wagonu podeszła szybko Frydmanowa i zaczęła coś eicho mówić do żołnierza po rosyjsku, którym to językiem władała, jak się okazało biegle. Ze sposobu mówienia zorientowaliśmy się, że wolałaby, by to co mówiła nie dotarło do uszu osób w wagonie. Scena ta wzbudziła powszechne zainteresowanie. Wszyscy zamilkli i widać było, że chcieliby usłyszeć, o czym mówiła Frydmanowa.

Ciekawość naszą zaspokoił bardzo szybko sam żołnierz, który wskazując palcem na sterczący w podłodze wagonu blaszany lej powiedział:

- A ot masz toaletę - poczym ze śmiechem zasunął drzwi wagonu.

Usłyszeliśmy jeszcze szcęk rygla i oddalające się kroki żołnierzy, poczym wszystko ucichło.

Frydmanowa stała dalej jak skamieniała przed zamkniętymi drzwiami. I dla niej i dla pozostałych stało się jasne, że nas z wagonów już nie będą wypuszczać i że odtąd jesteśmy zdani na korzystanie z tego, co żołnierz nazwał toaletą. I stało się coś dziwnego.

Chociaż bowiem od przybycia do wagonu pierwszych rodzin minęło już ładnych parę godzin, nikt jakoś dotąd nie odczuwał potrzeby użycia

toalety. Ale scena z Frydmanową wywołała u ludzi jak gdyby reakcję łańcuchową. I nagle wszyscy, jeden przez drugiego zaczęli mówić, że trzeba żądać wypuszczenia do toalety dworcowej. Ktoś nawet podszedł do drzwi i zaczął w nie bić pięściami i wołać:

- Otworzyć! Otworzyć!-

Po chwili bezładnej gadaniny w wagonie rozległ się głośny głos Fabiana:

- Ludzie, uspokójcie się! I tak nas nie wypuszczą. Trzeba to jakoś osłonić, bo wcześniej czy później będziemy musieli z tego korzystać.

- Boleczku, ale przecież na postojach nie wolno - powiedziała jego żona.

- To czekaj aż ruszymy. Ja nie myślę! - warknął rozeźlony jej prostodusznością Fabian i zwrócił się do wszystkich:

- Może ktoś z państwa ma coś, co nadałoby się na zasłonę?

Moja matka zadeklarowała ofiarowanie na ten cel prześcieradła i zaraz też zaczęła go szukać. Drugie prześcieradło ofiarowała Polakowa. Teraz wyłonił się problem - jak zawiesić prześcieradła. Na chwile zapanowało kłopotliwe milczenie, ale Kazio-fornal, który dotąd siedział całkowicie zobojetniały powiedział nagle:

- Dawajta to płótno, to przyczepię.

Poczem ze swego drewnianego kufereka wyciągnął młótek i gwoździe, ale okazało się że do sufitu sięgnąć nie mógł, a niczego, na czym mógłby stanąć nie było. Wtedy młody Fik i ja próbowaliśmy unieść Kazia, ale było to ponad nasze siły. Widząc to zlął ze swojej półki Safir i chcąc widocznie popisać się swoją siłą, skomenderował:

- Ano spieprzać! Ja go sam potrzymam.

I już szykował się do uniesienia w górę Kazia, który stał w wyczekującej pozie z młótkiem w ręku i gwoździami w ustach, gdy nagle rozległ się głos Szafirowej:

- Heniu! Chodź tu spowrotem w tej chwili! My tej dziury nie potrzebujemy. My mamy nocnik!- i wskazała na naczynie, na które tymczasem siadła już młodsza córka Szafirów Idka.

Henio zawahał się przez moment, ale widocznie respekt przed żoną przeważył, to też odwrócił się od Kazia i powrócił na półkę.

Ale Kazio uswiadomił sobie właśnie, że jego własny drewniany kuferek będzie świetnym podwyższeniem. I rzeczywiście po paru minutach nasza toaleta osłonięta była bielutkimi zasłonami.

- Smierdzieć z tego i tak będzie - powiedział Kazio i powrócił na swoje miejsce.

- Odgłosów to też nie wytlumi - dodał ktoś "dowcipnie".

Ale tak, czy inaczej, ustęp nadawał się przynajmniej do użytku. Tylko o dziwo nikt nie mógł się zdecydować pierwszy na użycie go. Nawet Frydmanowa, która napewno odczuwała gwałtowną potrzebę, gdy zwróciła się do żołnierza, teraz wyczekiwała. Całej tej błahej przecież historii poświęcam być może zbyt wiele miejsca, ale ciekawe i charakterystyczne wydają mi się reakcje ludzi na nowowytworzone, nieoczekiwane sytuacje.

Oto przez pół godziny trzydzieści zgromadzonych w wagonie osób, dotkniętych wspólnym nieszczęściem skupiło całą swoją uwagę na problemie nie najważniejszym być może, ale tak dalece życiowym, że pozwolił ludziom oderwać się od wypełniających ich umysły trwożnych myśli.

Panujące w wagonie milczenie przerwało nagle, poprzedzone charakterystycznym stukiem zderzaków szarpnięcie tak silne, że kilka stojących na podłodze wagonu osób utraciło równowagę.

- Podłączyli lokomotywę - powiedział ktoś głośno, chociaż wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, co szarpnięcie oznaczało.

- Zaraz napewno pojedziemy- dodał.

Teraz myśli wszystkich powróciły do spraw ważniejszych. Ten sygnał, zwiastujący rychły odjazd oznaczał, że już wkrótce rozpocznie się nowy etap naszego życia, którego zapewne nikt z nas nie umiał sobie nawet wyobrazić. Kilka osób, w tym także moja niezwykle dotąd dzielnie trzymająca się matka, zaczęło płakać, a łkanie mademoiselle stało się tak histeryczne, że ktoś podał jej jakieś uspakajające krople. Ja starałem się jak mogłem pocieszyć matkę, choć zdawałem sobie również sprawę z tego, że szanse na to, by ojciec zdążył do nas dołączyć były nikłe. I istotnie, w chwilę po pierwszym szarpnięciu nastąpiło kilka jeszcze słabszych, które zapewne oznaczały, że zestaw kontrolowano przed drogą, a potem usłyszeliśmy jakieś rosyjskie komendy i żołnierze, którzy dotąd rozstawieni byli co kilkadziesiąt kroków wzdłuż pociągu, pośpieszyli w dwie strony. Później dowiedzieliśmy się, że eskorta jechała w dwóch wagonach, na przedzie i końcu pociągu.

Potem były jeszcze gwizdki i oto pociąg zaczął powoli toczyć się wzdłuż peronu.



## Jedziemy w nieznane

Wszyscy starali się dopchać do małych okienek, by raz jeszcze, choćby kątem oka spojrzeć na Lwów. Nawet Szafirowie byli tak przejęci, że nie zwrócili uwagi na to, że drugie okno na "ich" półce okupowane było przez inne osoby.

Pociąg toczył się powoli wśród rozbudowanej sieci torów, a wszędzie dostrzec było można takie same jak nasz zestawy wagonów, z których okienek wyglądały wylężnione twarze przyszłych przesiedleńców.

Jeszcze znajdowaliśmy się w obrębie miasta, a już niektórzy, bardziej obeznani z geografią okolicy, starali się wydedukować w którą stronę nas wiozą. Było to oczywiście bardzo naiwne, ale - podobnie jak sprawa toalety - stanowiło widocznie podświadomą obronę umysłów ludzkich przed czarnymi myślami. Napewno jednak główną myślą, dużo ważniejszą od zgadywań - dokąd, było - na jak długo.

Mój bardzo jeszcze wówczas niedojrzały wiek powodował, że patrząc na uciekające do tyłu mury miasta odczuwałem poza niewątpliwym strachem także odrobinę zaciekawienia czekającą nas "przygodą". Ale wszyscy dorośli byli ogromnie przygnębieni, choć w głębi duszy zapewne niejednen sądził, iż wszystko to nie potrwa długo. Nikt z nas nie wiedział wówczas, że bardzo wielu towarzyszy niedoli nigdy nie będzie dane powrócić na polską ziemię, a ogromna większość tych, którym to się uda, powróci dopiero w czasie t.zw. repatriacji obywateli polskich z Z.S.R.R. po sześciu latach.

Domy Lwowa dawno już znikły, a wszyscy leżeli nadal wpatrzeni w małe prostokąty okienek. Przez długi czas panowała w wagonie absolutna cisza. Dopiero, gdy pociąg przejechał obok kilku kolejnych małych, podmiejskich stacyjek, odezwał się znowu ktoś lepiej zorientowany:

- No tak, wiozą nas w stronę granicy - powiedział, mając na myśli dawną granicę polsko-radziecką i stwierdzając fakt dla wszystkich nas absolutnie oczywisty.

Znów zapadło na dłuższy czas milczenie. Nie zwróciło też szczególnie niczyjej uwagi to, że Szafirowa, która chciała przez okno wypróbzić nocnik stwierdziła, że wskutek okratowania okienek wagonu okazało się to niemożliwe i w związku z tym jako pierwsza "zainaugurowała" używanie naszej toalety. Tylko Aszerowa, która nie mogła przeboleć przepędzenia ich z górnej pryczy, odezwała się zjadliwie:

- Coś mi się zdaje, że niektórzy nie mieli tego używać!

Szafirowa nic nie odpowiedziała, tylko wściekłym spojrzeniem ogarnęła rodzinę Aszerów.

Ale przykład Szafirowej podziałał i teraz ludzie zaczęli znikać za zastoną jeden po drugim.

Również w innej kwestii miała Szafirowa okazać się inicjatorką. Oto bowiem po jakiejś godzinie od wyruszenia, zaczęła ona z dużego kosza wyciągać wiktuały, a ostry zapach mocno naczosnkowanej kiełbasy, który się przy tym rozszedł po wagonie przypomniał ludziom, że już od wielu

godzin nie mieli nic w ustach.

Po chwili okazało się, że nasi współpodróżni bardzo różnie zaopatrzyli się w żywność na drogę. Pani Pollakowa na przykład zabrała całą dużą walizę jedzenia. Byli jednak i tacy, którzy nie wzięli absolutnie niczego. Do tych ostatnich należeli między innymi Frydmanowie, którzy zapewne nie spodziewali się, że zostaną wywiezieni.

Sprawa żywności dała początek nowej dyskusji, gdy bowiem Kostopolska, zorientowawszy się, że Frydmanowie nie mają żadnego jedzenia chciała poczęstować ich czymś ze swoich zapasów, Frydmanowa, która wciąż jeszcze nie mogła wyzbyć się wiary w słuszność postępowania i prawość tych, których zawsze uważała za swoich ideologicznych towarzyszy, rzekła:

- Dziękujemy bardzo, ale nie widzę powodu do objadania państwa z ich zapasów. W pociągu jest wagon z kuchnią i wkrótce dostaniemy posiłek.

Ktoś przypomniał sobie, że gdy prowadzono go wzdłuż pociągu widział, jak do jednego z wagonów wtaczano wojskową kuchnię polową. Ktoś inny widział, jak ładowano jakieś skrzynki i worki, zawierające zapewne prowiant.

Ale stara Rachela Aszerowa była sceptyczna.

- Już oni nam dadzą- rzekła - poczekajcie! Jeden mój znajomy, co go aresztowali w zeszłym roku, jak przechodził Bug, opowiadał, że go tak tydzień wozili od więzienia do więzienia i tylko strażnicy dzielili się z nim swoim prowiantem, bo go im było żal. Jak go w zeszłym miesiącu wypuścili, to może połowa z niego została.

- A jak nawet dadzą, to kto to będzie jeść? Czy oni pomyślą, że człowiek musi mieć koszer? - dodał jej mąż.

- No, ale nas przecież tydzień nie będą więzić - wtrąciła Polakowa.

- Zdarzało się już w historii, że zesłańcy wędrowali na Sybir rok i dłużej - powiedział jej zięć. Ale Polakowa była optymistką.

- Ale mamy dzięki Bogu połowę dwudziestego wieku - rzekła - i jedziemy pociągiem.

Milcząca dotąd Fikowa spojrzała na nią ponuro i powiedziała:

- Mój mąż przed półrokiem też pojechał takim pociągiem do lagru i w jedynym liście, jaki od niego przyszedł pisał, że więzili ich miesiąc.

W wagonie zrobiło się cicho i wszyscy ną pewno zastanawiali się jak też daleko wylądować można po miesięcznej podróży pociągiem.

Narazie jednak wszystko wskazywało na to, że jazda będzie szybka. Pociąg mijał stację za stacją nie zatrzymując się ani na chwilę. Widać było, że transport nasz został wcześniej zaplanowany i wkomponowany w grafik ruchu pociągów na tej trasie.

Nazwy mijanych stacji potwierdzały, że szybko zbliżamy się do przedwojennej granicy polsko- sowieckiej.

Było już dość późno i na dworze zaczynało się ściemniać. W wagonie zmrok panował już od dawna. Żadnej lampy oczywiście nie mieliśmy.

Ludzie zaczęli powoli szykować się do snu. Dla ośmiu - dziewięciu osób, a tyle było na każdej z prycz z wyjątkiem półki Szafirów, miejsca było bardzo mało. Wszyscy musieli leżeć ciasno obok siebie.

Wywołało to odrazu kilka problemów. Mademoiselle, która przez cały czas siedziała między Fabianem i Kazikiem, nie chciała położyć się w

tej konfiguracji i Połakowa odstąpiła jej swoje miejsce przy oknie.

Również na dole, pod nami nastąpiło przetasowanie. Dziunia Kostopolska miała z jednej strony męża, a z drugiej Frydmana. To jej nie odpowiadało. Gdyby jednak zamieniła się miejscami z mężem, to jej sąsiadem z drugiej strony zostałby Aron Aszer, co również nie było jej w smak. Widząc to Pepa Frydmanowa - widocznie w rewanżu za poczęstowanie kolacją - zamieniła się miejscami z mężem i rozwiązała problem.

W tą pierwszą spędzoną w wagonie noc, ludzie byli jeszcze bardzo skrzępowani. Poza Szafirami, którzy przez cały czas podróży nie rozbierali się wogóle, wszyscy wyczekiwali aż zrobi się zupełnie ciemno, by przebrać się w piżamy i nocne koszule.

Był to koniec czerwca, wyjątkowo w tym roku upalnego i w wagonie panował, mimo nocy upał, to też żadne przykrycia nie były potrzebne. Mimo to jednak większość naciągnęła na siebie, krępując się współpodróżnych, zabrane koce i prześcieradła.

Mnie udało się zasnąć szybko. Zасыpiając widziałem, że matka nie leży, ale siedzi przy oknie i wygląda. Scisnąłem mocno jej rękę, bo wydawało mi się, że to powinno dodać jej otuchy.

Obudziło mnie otwieranie drzwi i jakiś głośny hałas. Usiadłem i stwierdziłem, że ktoś właśnie wrzucił do wagonu dwa wiadra. Matka, która siedziała przy oknie w takiej samej pozycji, w jakiej widziałem ją zasypiając powiedziała, że stoimy na stacji po drugiej stronie dawnej granicy.

Do tego miejsca dojechaliśmy nie zatrzymując się. Widocznie NKWD zależało na tym, by pociągi z wywozonymi ludźmi nie wzbudziły sensacji, zatrzymując się na stacjach leżących na dawnych polskich ziemiach, gdzie ludność jeszcze nie zdążyła przywyknąć do takich widoków.

Drzwi wagonu były nadal otwarte, to też szybko zszedłem z górnej półki, podszedłem do nich i wyjąłem. Zauważyłem, że wzdłuż całego pociągu, rozstawieni co kilkanaście metrów, stali uzbrojeni wartownicy. Pociąg nasz stał na jakiejś małej, zupełnie wyludnionej stacyjce. Od strony lokomotywy szedł jakiś oficer, coś tam wykrzykiwał i wśladał za tym z wagonów, które mijał wyskakiwały po dwie osoby z dopiero co wrzuconymi do wagonów wiadrami i ustawiały się w dwuszereg na małym peronie.

Po chwili oficer zbliżył się do naszego wagonu i skomenderował:

- Dwa czełowieka za wodoj i pajkom!

Zrozumiałem tylko, że trzeba iść po wodę. Nie znałem jeszcze wówczas rosyjskiego na tyle, by wiedzieć, że słowo "pajok" oznacza rację żywnościową. Wiedziony ciekawością szybko chwyciłem jedno wiadro i wyskoczyłem na peron. Mój rówieśnik, Roman Fik był równie ciekaw, jak ja, to też był drugą osobą z naszego wagonu, która udać się miała po wodę.

Wkrótce na peronie zebrali się reprezentanci wszystkich wagonów. Policzyłem szybko wagony i stwierdziłem, że było ich osiemnaście.

Oficer, który przedtem chodził wzdłuż pociągu skomenderował:

- Za mnoj marsz! - i cały pochód ruszył w kierunku niewielkiego



budynku na końcu peronu. Przed budynkiem oficer nakazał zatrzymanie się, a żołnierz, który nas spisywał na dworcu we Lwowie, powiedział swoją kiepską polszczyzną, że teraz jeden przedstawiciel każdego wagonu ma nabrać do jednego wiadra zimnej wody, a do drugiego "kapiatku". Drugi ma wejść do budynku po racje żywnościowe dla wszystkich. Podał nam też numery naszych wagonów. Okazało się, że nasz miał numer siódmy.

Porozumieliśmy się szybko z Romkiem i zdecydowaliśmy, że ja pójdę po wodę, a on po resztę.

Przez cały czas zastanawiałem się, co to jest "kapiatok". Bardzo szybko przekonać się miałem, że słowo to oznacza poprostu wrzątek. Podeszliśmy bowiem do urządzenia, na którym wisiała tablica z tym właśnie słowem. Takie coś widziałem wówczas po raz pierwszy. Później stwierdziłem, że takie kotły z wrzątkiem były nieodłącznym atrybutem każdej sowieckiej stacji kolejowej. Kocioł wyposażony był w kran. Pod nim znajdowało się palenisko, a wewnątrz był wrzątek, którym kolejno napełnialiśmy po jednym wiadrze. Do drugiego wiadra nabieraliśmy zimną wodę z umieszczonego w pobliżu kranu. Eskortujący nas żołnierz odczekał aż wszyscy napełnią swoje wiadra, poczym skomenderował powrot.

Idąc wzdłuż wagonów, w których kolejno znikali ich pasażerowie - nosiwody, oglądałem pilnie widoczne przez otwarte drzwi wagonów twarze w nadziei, że zauważę kogoś znajomego. ale nikogo takiego nie znalazłem. Za to stwierdziłem, że istotnie w jednym z wagonów stała kuchnia polowa, wokół której krzatali się żołnierze w białych czapkach kucharskich na głowach. Po powrocie do wagonu zakomunikowałem o tym głośno współpasażerom.

- A powiedziałam - Frydmanowa zwróciła się co prawda do męża, ale tak, żeby wszyscy słyszeli.

Właśnie nadszedł Romek z workiem na plecach. Po chwili worek był już w wagonie. Romek postawił go na środku, a widząc, że nikt nie kwapi się z pytaniami, powiedział:

- Tam jest po pół kilo, czyli ćwierć bochenka chleba na osobę i po jednej puszcze konserw na dwie osoby. A jakieś gotowane jedzenie mamy dostać na innej stacji.

- Patrzcie, a żołnierzom dają już teraz - zauważył ktoś, kto wyglądał przez nadal otwarte drzwi.

Istotnie, na peronie widać było żołnierzy idących od strony wagonu z kuchnią polową, niosących coś dymiącego w swoich menażkach.

Stało się także jasne, że my niczego więcej nie dostaniemy, bo żołnierze - wartownicy zaczęli zasuwac i zaryglowywać drzwi wagonów. A tymczasem widok noszonego przez nich jada przypominał wszystkim o głodzie. Pierwsza do worka podeszła Szafirowa. Wyciągnęła z niego dwie puszeki konserw i bochenek chleba. Widocznie jednak nie spodobał jej się, bo wrzuciła go spowrotem i zaczęła grzebać w worku, wybierając chyba lepiej wypieczony.

Ktoś nie wytrzymał i powiedział, że ze względów higienicznych lepiej będzie jeśli jedna osoba rozda i ewentualnie pokroi te bochenki, które wymagają podziału. Podjęła się tego Kostopolska. Chleb okazał

się być gruboziarnistym, żołnierskim razowcem, a puszki zawierały jakieś ryby w sosie pomidorowym.

Polak zauważył, że pół kilo chleba dziennie nie zjada cała jego rodzina, na co zaprawiony widać do takich warunków Safir powiedział ze śmiechem:

- Pożyjesz pan trochę na więziennej dietce, to będziesz pan wtrajał nie pół, ale całe kilo dziennie. Jak pan bedziesz miał, bo tu w Rosji to ponoć i ci na wolności w ogonkach za chlebem wystają.

Zrobiło się cicho. Wszyscy zajęci byli zaspakajaniem głodu. Gorzej nieco było z zaspakajaniem pragnienia. Nikt prawie nie miał herbaty, o którą trudno było zresztą także we Lwowie, a już tym bardziej kawy. Niektórzy zabrali trochę cukru. Trzeba więc było pić po prostu "kipiatok". Wówczas jeszcze nikt z nas nie był do tego przyzwyczajony, to też wszyscy krzywili się bardzo, popijając ten pierwszy "kazionny" posiłek okropnie smakującą lurą. Wszyscy zazdrościli więc napewno, gdy pani Aleksiejewiczowa wyciągnęła zabraną ze Lwowa butelkę "Herbatolu", czyli brązowego płynu, stanowiącego namiastkę prawdziwej herbaty, używanego w tym czasie dość powszechnie z braku oryginalnych używek.

W międzyczasie pociąg ruszył. Polakowa zauważyła, że czas się umyć i wraz z synową weszła za zasłonę, zabierając ze sobą wiadro z zimną wodą. Po chwili wyszły stamtąd oświeżone. Skolei umyły się moja matka i mademoiselle, a potem inne panie, zawsze po dwie, bowiem jedna osoba musiała polewać wodę kubkiem, podczas gdy druga się myła.

Oczywiście jednego wiadra wody na długo nie starczyło, to też jedna z kolejnych osób stwierdziła, że następni nie mają się już czym myć.

- To nic. Załadamy wody na następnej stacji - powiedział ktos, a inni specjalnie się jej brakiem nie przejęli.

Ale godzina mijała za godziną, a pociąg wciąż jechał na wschód, zatrzymując się tylko od czasu do czasu na krótko przy zwrotnicach. Jeden z takich postojów, w szczerym polu, na jakiejś bocznicy, trwał dłużej, chyba dwie, trzy godziny. Ale żadnej stacji w pobliżu nie było, to też stojący wzdłuż pociągu na każdym postoju wartownicy byli zupełnie nieczuli na nasze wołania o wodę. A tymczasem pragnienie zaczęło wszystkim mocno dokuczać. We znaki dawał się też przykry "zapach" z naszej nie splukiwanej toalety.

Zrobiło się ciemno i wszyscy ułożyli się ponownie do snu.

Było już nad ranem i właśnie zaczynało świtać, gdy obudziło mnie otwieranie drzwi wagonu.

Jakiś głos krzyknął:

- Obiad! - i na podłogę wagonu żołnierze wstawiać zaczęli wojskowe kociołki, napelnione czymś parującym. Choć pora była dość niezwykła, większość naszych współpodróżnych zabrała się do jedzenia. Zawartość kociołków stanowiła - jak się okazało - ugotowana na gęsto kasza z niewielką ilością wieprzowiny. Jedyną rodziną, która nie tknęła jedzenia byli Aszerowie. Młoda Aszerowa wzięła wprawdzie jedną menażkę i próbowała nakarmić Benia, ale zaspane dziecko nie chciało w

żaden sposób przyjąć pokarmu.

Widząc, że menażki Aszerów stoją nietknięte, ich sąsiadka, Kostopolska zapytała dlaczego nie jedzą. Okazało się, że przyczyną była wieprzowina. Rodzina Aszerów przestrzegła kuchni koszernej.

- Nie wyobrażacie sobie chyba, że tam dokąd nas wiozą będzie koszerne jedzenie - odezwała się Pepa Frydmanowa. A zresztą - dodała - w przymusowej sytuacji wolno odstąpić od zasad koszerności.

Widocznie Frydmanowa znała się nie tylko na klasykach marksizmu, bo poparła ją Leon Polak, mówiąc:

- W czasie pierwszej wojny światowej byłem w obozie jenieckim razem z wieloma innymi, którzy przestrzegali koszerności. A że Moskale ani myśleli organizować koszernej kuchni dla austrijackich jeńców - urządzili Żydzi głódówkę. Rosjanie niczego nie zmienili, ale przystali do obozu wojskowego rabina i ten przekonał jeńców, że w takiej sytuacji wolno im jeść to, co jest dostępne. To i wy teraz też możecie - zakończył.

Widać było, że młodszy Aszer, Aron dał się przekonać. Kiwał potakująco głową, ale patrzył wyczekująco na ojca i menażki nie brał. Zapanowało milczenie, które po chwili przerwała Rachela Aszerowa.

- No Izak, co ty powiesz?

Stary siedział z przymkniętymi oczami, jak gdyby zastanawiał się głęboko, albo odbywał duchową rozmowę z Wyższą Istotą. Po chwili rzekł:

- Wy jesteście młodzi i potrzebujecie jeść. A koszer to i tak nie zawszeście przestrzegali. To i teraz możecie jeść co dają. A stary Aszer w życiu nie jadł niczego trefnego, to i teraz nie będzie. Jak Pan Bóg zechce, to znajdzie się coś do jedzenia i dla mnie. A narazie nie jestem głodny. Stary nie potrzebuje tyle, co młody.

Kilka osób zaproponowało coś ze swoich zapasów. Aszerowa coś tam przyjęła, ale stary jeść nie chciał. Ona sama zaś poprzestała na kawałku chleba. Za to młodzi Aszerowie z ociąganiem, ale zjedli swoje porcje. Aron patrzył jedząc cały czas na ojca, ale ten leżał nadal z zamkniętymi oczami, zatopiony w swoich myślach.

Znowu wywołano dwie osoby z wiadrami po wrzątek i zaraz po ich powrocie do wagonu pociąg ruszył.

Z nazw mijanych stacji, w których powtarzał się przymiotnik "Kijowski", zorientowaliśmy się, że jesteśmy w pobliżu stolicy Ukrainy.

- A może nie powiozą nas na północ, tylko gdzieś do Donbasu - wyraził ktoś podyktowane nadzieją przypuszczenie. - Przecież we Lwowie werbowali ludzi do pracy w tamtejszych kopalniach.

Nie wiem dlaczego praca w kopalniach węgla w Donbasie wydawała się być mniejszym złem niż złowrogo brzmiący dla naszych uszów Sybir.

- Akurat my się nadajemy na górników - powiedział ktoś inny.

- A do czego my się wogóle nadajemy? - zapytał retorycznie Aleksiejewicz.

- Nie bójcie się, już oni was nauczą czegoś pożytecznego -



wtrącił Szafir, któremu sprawiało wyraźną przyjemność straszenie współpasażerów.

Kijowa nie dane nam było zobaczyć. Przejechaliśmy przez jego przedmieścia w nocy. W pamięć wrył mi się tylko długi most kolejowy na Dnieprze. Wiele lat później, w czasie wojny, przeżyłem będąc w wojsku potężne bombardowanie niemieckie tuż koło tego mostu.

Im dalej byliśmy od dawnych ziem polskich, czyli od t.zw.. Zachodniej Ukrainy, tym wolniejsze stało się posuwanie naszego transportu. Coraz dłuższe były postoje na bocznicach. Nieraz też po wiele godzin wyczekiwaliśmy na kolejny parowóz. Zmieniło się nieco również postępowanie naszych konwojentów. Teraz pozwalano nam czasem korzystać z umywalni i ubikacji na małych stacyjkach, na których zatrzymaliśmy się dłużej. W takich przypadkach konwojenci stali nie - jak dotąd - na peronach wzdłuż pociągu, ale nieco dalej, by uniemożliwić komuś z nas wydostanie się poza obręb stacji.

Zwróciło naszą uwagę, że ludność nie była naogół wcale zaintrygowana naszym transportem. Widocznie tego rodzaju widoki należały do zjawisk powszednich. Widać było, że ludzie starają się nawet bez wezwania konwojentów usuwać się jaknajdalej od nas. Nie widziałem ani razu by ktoś próbował nawiązać kontakt z transportowanymi.

Jedna rzecz wszakże nie uległa zmianie. Tradycja pierwszego posiłku ciepłego, który spożyliśmy nad ranem, powtarzała się z doskonałą precyzją. Podczas całej podróży tylko raz albo dwa dostaliśmy gotowane pożywienie w ciągu dnia. Pozostałe posiłki wypadały zawsze nocą, ale i tak było ich nie wiele. Zdarzało się to mniej więcej co drugą - trzecią noc.

Po przeszło tygodniu jazdy stało się jasne, że posuwamy się jednak na północny wschód. W pierwszych dniach drugiego tygodnia podróży minęliśmy nie zatrzymując się nigdzie w pobliżu Moskwy. Było oczywiste, że jeśli celem naszej jazdy jest istotnie ogromna Syberia, to wędrówka może się przeciągnąć jeszcze długo. A tymczasem zaczęły się kłopoty ze zdrowiem niektórych podróżników.

Najpierw zasłabł stary Aszer, który niczego poza chlebem nie brał do ust. Na najbliższym postoju zaalarmowaliśmy konwojentów i w wagonie pojawił się żołnierz z walizką - apteczką. Niestety okazało się, że zawierała ona głównie materiały opatrunkowe i trochę proszków przeciwbólowych oraz kropli uspokajających. Żołnierz - sanitariusz chciał koniecznie zaaplikować staremu walerianę, ale wskutek protestu kilku osób, które uważały, że osłabionemu Aszerowi mogą one tylko zaszkodzić, wzruszył ramionami i odszedł.

Właśnie na tym postoju dostaliśmy poza normalną racją chleba puszki zawierające kraby "Chatka". Widocznie ten popularny również na zachodzie rosyjski artykuł eksportowy nie miał w owym czasie zbytu, bo odtąd aż do końca podróży otrzymywaliśmy - ku radości jednych i rozgoryczeniu innych - właśnie kraby.

Konserwy te, otrzymane zamiast fasowanej przez wiele dni wieprzowiny w puszkach uradowały rodzinę Aszerów. Ale stary stwierdził, że kraby i inne skorupiaki są dopiero trefne i jeść

ich nie chciał. I wtedy syn zdobył się na mistyfikację, podyktowaną koniecznością, którą - wierzę w to święcie - Pan Bog mu napewno wybaczył. Otóż oglądając puszkę stwierdził nagle z radością, że tylko część z nich zawiera kraby, a reszta to morskie ryby. Na szczęście stary, podobnie jak zdecydowana większość z nas nigdy krabów nawet nie widział, to też dał się wreszcie namówić na skonsumowanie konserw.

Następną ofiarą choroby stał się Szwartuch. Wielogodzinne siedzenie na trzęsących deskach wagonu spowodowało, że odnowiły mu się zaleczone niegdyś hemoroidy. Ofiarowane przez współpodróżnych proszki nie odnosiły skutku, to też męczył się biedak okropnie. Żona, obeznana już z dolegliwościami Michała twierdziła, że jedyną rzeczą mogącą złagodzić jego cierpienia była gorąca nasiadówka. Ale choć wrzątek dostawaliśmy naogół raz, a czasem i dwa razy dziennie, realizacja tej leczniczej kąpieli nasuwała duże trudności, wobec braku jakiegokolwiek miednicy. A wiadra używane były do wody pitnej. Biedna Ida Szwartuchowa, widząc męki męża proponowała mu by spróbował użyć jej menażki. Z uwagi na średnicę naczyń była to oczywiście propozycja nierealna i wywołała tylko dodatkowo atak złości u zboląłego Szwartucha, a wesołości u tych, którzy propozycję słyszeli.

Ale wtedy właśnie ofiarowała się z pomocą Szafirowa, której widocznie dokuczył już "bojkot towarzyski". Kiedy na kolejnym postoju otrzymaliśmy wrzątek, podała ona zmaltretowanemu Szwartuchowi wielki, fajansowy nocnik córki, mówiąc:

- Masz pan. W tym się chyba pańska dupa zmieści. Mocz pan. Może pomoże.

Szwartuch znikł zaraz za prześcieradłem i istotnie, jego wzdychania stały się najpierw cichsze, a potem ustały zupełnie.

Ale to fajansowe, niepozorne naczynie stało się po kilku dniach przyczyną awantury, która niemalże nie skończyła się tragicznie. Oto któregoś wieczoru starsza cbreczka Szafirów, po wysiusianiu się do nocnika, nie poszła z nim, jak to zwykła była robić dotychczas, do toalety, ale trzymając naczynie za ucho zamachnęła się i całą jego zawartością suto skropiła siedzących pod naszą półką Aszerów, Kostopolskich i Frydmanów. Tego już było za wiele, to też młodszy Aszer podbiegł do matki, wyrwał jej z rąk nocnik i wlepił solidnego klapsa. Tego skolei nie mógł podarować Szafir. Zsunął się więc na skraj półki i kopnął z całej siły Aszera, który wywalił się jak długi. Wtedy na Szafira rzucili się Frydman i Kostopolski. Zrobiło się straszne zamieszanie. Ktoś walił w drzwi wagonu i wołało pomoc, jak gdyby to mogło być usłyszane przez konwojujących. Szafir szamotał się z dwoma mężczyznami przez krótką chwilę, gdy nagle Kazio, który dotąd przyglądał się scenie z uśmiechem, zeskoczył szybko z półki i podbiegł do bijących się. Jednym szarpnięciem odciągnął do tyłu Kostopolskiego i Frydmana i cicho powiedział do Szafira:

- No, chcesz się spróbować?

Wszyscy zamarli. Ktoś krzyknął:

-Panie Kaziu! On ma nóż!



Ale Szafir widać nie miał zamiaru zrobić użytku ze swego noża. Przez moment patrzył wściekle na Kazia, a potem odwrócił się i położył się na swoim miejscu przy oknie. Również Kazio powrócił bez słowa na swoje miejsce.

Westchnienie ulgi wyrwało się z kilku piersi. Frydmanowa, biała jak płótno powiedziała głośno:

- To przecież bandyta! Na pierwszym postoju zażądam żeby go stąd zabrali!

I istotnie. Gdy po pewnym czasie pociąg stanął i pojawili się żołnierze by wydać posiłek, Frydmanowa zwróciła się do podoficera i opowiedziała o tym, co się zdarzyło. Dodała, wskazując na Szafira, że taki niebezpieczny człowiek nie powinien się znajdować tutaj, tylko całkiem gdzieindziej.

Ale cała jej tyrada wywołała reakcję zupełnie odmienną od zamierzonej. Żołnierze uznali historię z nocnikiem za świetny kawał. Jeden z nich zapytał która dziewczynka to zrobiła, a gdy Frydmanowa wskazała małą, zwrócił się do niej z pytaniem:

- A ty po wsiem machnuła ?, po czym pozostali żołnierze wybuchnęli głośnym śmiechem. Wówczas nie zrozumieliśmy, co ich tak rozbawiło. Dopiero po pewnym czasie opowiedział mi ktoś popularny w Rosji po rewolucji dowcip, do którego nawiązał żołnierz zwracając się do małej. W dowcipie tym jednemu z siedzących zaraz po rewolucji na galerii opery w Odessie marynarzy zachciało się w czasie przedstawienia oddać mocz. Nie namyślając się długo zaczął załatwiać się z góry na siedzących na parterze. Wówczas z foteli parteru miał się rozlec głos:

- A ty po wsiem pomachiwaj! Czewo ko mnie odnomu przistał? Właśnie przypomnienie tego dowcipu tak rozbawiło żołnierzy.

Ale jeden pozytywny rezultat interwencja odniosła, bowiem po wydaniu posiłku, podoficer zwrócił się do Szafira i wyciągnawszy rękę powiedział:

- A nu ka, dawaj noż!

Safir z ociąganiem, bardzo niechętnie wyciągnął z kieszeni swój sprężynowiec i podał go żołnierzowi. Przez cały czas patrzył przy tym wściekle na Frydmanową. Ta jednak była tak dumna z częściowego przynajmniej sukcesu swojej interwencji, że nie dostrzegła ponurego wzroku Szafira.

Trzeba powiedzieć, że po tej historii strach przed Szafirem znikł. Postanowiła to szybko wykorzystać Frydmanowa, to też oświadczyła:

- Tu na dole jest ciasno i duszno. My z mężem przenosimy się na górę.

To mówiąc zebrała energicznie swoje manele i umieściła je na półce Szafirów. Wślaz za tym wwindowała się tam sama, i o dziwo nikt z rodziny Szafirów się nie odezwał. Za żoną wlaź na górną pryczę Frydman i tak już zostało.

Po mniej więcej trzech tygodniach podróży minęliśmy Kazan, a jeszcze kilka dni później transport nasz zatrzymał się na jakiejś boczny w szczerym polu. Parowóz odczepiono, co oznaczało dłuższy



postój. Widocznie konwojenci nasi uznali, że odległość od Lwowa jest już dość bezpieczna, bo wagony otwarto i żołnierze pozwolili nam wyjść na leżącą przy torach ławkę.

Ponieważ był to pierwszy przypadek zezwolenia na masowe opuszczenie pociągu, ludzie rozpoczęli wędrówkę od wagonu do wagonu w poszukiwaniu znajomych. Część wyległa na trawę i rozkoszowała się lipcowym słońcem. Niektórzy, korzystając z tego, że w pobliżu torów przepływała rzeczka, szorowali siebie i prali bieliznę. Młodzież zebrała się w większą grupę i nawiązywała znajomości. Również ja się w tej grupie znalazłem. Już przedtem wpadła mi w oko śliczna, czarnowłosa dziewczyna, Ala. Teraz usiadłem przy niej i w trakcie rozmowy dowiedziałem się, że wychowała się ona w Austrii, w cyrku, a do Polski przyjechała z ojcem po "anschlusie". W cyrku uczyła się na tancerkę i akrobatkę. Istotnie figurę miała świetną. Bawił mi jej miękki akcent, z jakim mówiła po polsku.

W pewnej chwili Ala wskazała na widoczną w oddali, stojącą przy torach ażurową, metalową wieżę i zaproponowała, żebyśmy się przeszli w tamtym kierunku. Nie wiedzieliśmy, czy strażnicy pozwolą nam oddalić się tak bardzo, bo do wieży było około kilometra, ale postanowiliśmy iść aż nas nie nawrócą.

Oddalaliśmy się od pociągu wolnym krokiem. Ponieważ parowozu nie było, nie zachodziła obawa, że pociąg może nagle ruszyć. Jakoś nikt nas nie zawrócił i po pewnym czasie zbliżyliśmy się do wieży na tyle, by móc odczytać umieszczone na jej szczycie wielkie litery, składające się na słowo: E U R O P A.

W pierwszej chwili nie zorientowaliśmy się, co to oznacza i dopiero gdy minęliśmy wieżę i po jej odwrotnej stronie zobaczyliśmy napis: A Z J A, zrozumieliśmy, że znajdujemy się właśnie na granicy dwóch części świata.

Azja nie była wówczas tym, czym jest obecnie w dobie rozwiniętych środków szybkiej komunikacji. Wtedy wydawała się ona czymś niezmiernie odległym, tajemniczym, nieznanym i złowieszcym.

Nic więc dziwnego, że spojrzeliśmy trochę osłupiali na siebie, a potem pomknęliśmy biegiem spowrotem, by swoim spostrzeżeniem podzielić się z pozostałymi.

Przyniesiona przez nas wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy i wywarła na ludziach ogromne wrażenie. Właściwie wszyscy byli pogodzeni z myślą, że jedziemy na Syberię. Większość wiedziała dobrze, że Syberia leży za Uralem, a więc w Azji. A mimo to bezpośrednia, fizyczna bliskość czegoś, co dla wielu ludzi było abstrakcją, wywarła irracjonalnie wielkie wrażenie.

Mnie wieża wryła się mocno w pamięć. O dziwo, miałem się z nią zetknąć ponownie po wielu, wielu latach w bardzo odmiennych okolicznościach. Sądzę, że rzecz warta jest opowiedzenia.

Otóż ponad dwadzieścia lat później towarzyszyłem jako pracownik ministerstwa swojemu szefowi, ministrowi w oficjalnej wizycie, której celem było między innymi zwiedzenie elektrowni atomowej na Uralu. Do Swierdłowska przybyliśmy samolotem, a stamtąd, wraz z oczekującym nas sowieckim wiceministrem energetyki udała się nasza grupa dwoma

samochodami w dalszą drogę do elektrowni. Ja jechałem w pierwszym samochodzie ze swoim ministrem i gospodarzem. Ten ostatni zapytał po pewnym czasie, czy nie zechcielibyśmy trochę zboczyć, by obejrzeć coś ciekawego. Nie ujawnił przy tym, co to miało być. Mój szef zgodził się i wkrótce samochody zjechały na jakąś boczną drogę.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po kilku kilometrach zza lasu wyłoniła się wysoka, metalowa wieża, w której natychmiast rozpoznałem starą znajomą z 1940 roku.

Roześmiałem się i powiedziałem, że tutaj już kiedyś byłem. Rosyjski minister zapytał, czy przyjeżdżałem już kiedyś do elektrowni. Kiedy odpowiedziałem przecząco, spostrzegłem jego nieco zdziwioną minę, bowiem cały obwód swierdłowski należał do terenów, na które cudzoziemców naogół nie wpuszczano. Nasza wizyta była rzeczą dość wyjątkową, a Rosjanie uważali za specjalną kurtuazję ze swojej strony.

Widząc zaciekawienie gospodarza postanowiłem opowiedzieć, w jakich okolicznościach miałem po raz pierwszy okazję zapoznać się z wieżą. Widziałem, że słuchał z zaciekawieniem o tym, jak to tygodniami wędrowaliśmy w bydłowych wagonach i dokąd w końcu trafiliśmy.

Kilka godzin później, w czasie zwiedzania elektrowni, w chwili, gdy nasza grupa słuchała objaśnienia oprowadzającego nas dyrektora zakładu, poczułem nagle, że ktoś ciągnie mnie z tyłu za biały fartuch w jakie ubrano nas przy wejściu do elektrowni.

Ze zdziwieniem skonstatowałem, że to nasz gospodarz, minister kiwa na mnie palcem, zachęcając do wycofania się z grupy. Przyznam się nawet, że zrobiło mi się trochę niewyraźnie, tym bardziej, że już wcześniej mój szef wyraził niezadowolenie z tego, że "ujawniłem" moją przeszłość.

Po chwili jednak spacerowałem już z Rosjaninem po długim korytarzu. Mój rozmówca zapytał mnie najpierw, czy miałem wyrok i jak długo byłem internowany, a gdy mu wszystko wyjaśniłem, obejrzał się, jakby chcąc się upewnić czy nikt nas nie słucha i powiedział:

- Ty bracie nie myśl, że tylko was tak wozili. Ot ja na przykład przez pięć lat zwiedziłem kilkanaście łagrów. A ile kilometrów przejeżdżałem bydłowymi wagonami, tego nikt nie jest w stanie zliczyć.

Nie wiem dlaczego odczułem potrzebę wywnętrzenia się właśnie przede mną. Potem stykaliśmy się jeszcze kilkakrotnie i zawsze przy spotkaniach odnosił się do mnie szczególnie serdecznie. Pewnie zagrała tu jakaś nutka solidarności. Pamiętać należy, że działo się to jeszcze w czasach breżniewowskich. Teraz, dzięki Sołżenicynowi i innym wie cały zachodni świat, że dziesiątki milionów obywateli "pierwszego wolnego państwa socjalistycznego" spędziło w lagrach swoje najlepsze lata.

## Rosja jest wielka

Ale powróćmy do naszego transportu.

Świadomość, że właśnie niedługo przekroczymy progi Azji wywołała - jako się rzekło - silne wrażenie. W stronę wieży wędrować zaczęły coraz liczniejsze grupki ludzi. W końcu nie spodobało się to szefowi transportu. Rozległy się gwizdki żołniezy i idących wzdłuż toru spędzono spowrotem na łąkę.

Postój w tym miejscu trwał cały dzień i całą noc. Dopiero nad ranem przyłączono parowóz i po chwili transport ruszył.

Choć było bardzo wcześnie rano, w wagonie naszym nikt nie spał. Wszyscy cisnęli się do okien. Gdy pociąg, sunąc wolno minął wieżę, ktoś powiedział:

- To już jesteśmy w Azji - i wszyscy wpatrywali się w okolicę, jak gdyby wraz z przejechaniem tej granicy oczekiwali jakiejś nagłej zmiany w wyglądzie krajobrazu.

Nic takiego oczywiście nie nastąpiło. Okolica była pofalowana. Wzgórza porośnięte były głównie lasami iglastymi, przeplecionymi brzozą. Wszystko to robiło całkiem swojskie wrażenie, tylko ciągnące się nieraz kilometrami łąny uprawne, należące do kołchozów i sowchozów, pozbawione tak charakterystycznych dla polskich pól uprawnych gęstych miedz, uświadamiały, że jesteśmy w innym świecie.

I jeszcze jedna cecha różniła mijane pola od tych rodzinnych, które niedawno pozostawiliśmy za sobą. Tam - pamiętajmy, że był to środek lata - zboża były wysokie i gęste. Tutaj natomiast rośliny porastały pola dość rzadko, kłosa były mniejsze od tych na polskich polach, a przede wszystkim rzucała się w oczy bardzo duża ilość chabrów, maków i innych zanieczyszczeń.

Większość pasażerów wagonu stanowiły typowe mieszcuchy. Ale dla wychowanego na wsi Kazia taki widok był czymś nienormalnym, to też przyglądając się mijanej okolicy kiwał najpierw z politowaniem głową, a potem, widząc, że koło niego siedzi również wpatrzony w widoki jego polski chlebobawca, Polak, powiedział:

- Żeby my tak uprawiali pańskie pola, to by nas rządca kijem z majątku wygnał, a pan to by chyba poszedł z torbami.

- Tak Kaziu kochany. To wszystko rezultat tego, że tu nie ma gospodarza od czasu jak ziemie odebrali chłopom.

Tutaj uważał za swój obowiązek wtrącić się do rozmowy Frydman.

- Pan chyba zapomina, gdzie my jesteśmy. To przecież daleka północ, więc zboże nie rośnie tu tak szybko, jak u nas, a poza tym ziemie nie są tu napewno tak urodzajne jak te, których pan był właścicielem.

- Po pierwsze to nie tak dawno jechaliśmy przez Ukrainę i Białoruś, gdzie klimat jest taki sam jak u nas, a nie widziałem żeby zboże było tam lepsze jak tutaj, a po drugie - gdyby to tylko zależało od jakości ziemi, to jak pan wytłumaczy, że na Ukrainie, która ma najlepsze chyba ziemie w Europie panował



dziesięć lat temu taki głód, że ludzie wymierali setkami tysięcy?

- E tam. Te setki tysięcy to wymarły tylko w fantazji zachodnich propagandystów - zakończył dyskusję Frydman.

O tym, że umierały nie setki tysięcy, a miliony ludzi miałem wówczas słabe pojęcie. Co prawda wkrótce już mieliśmy się dowiedzieć o okrutnym losie ludzi podobnie jak my wywiezionych dziesięć lat wcześniej, ale skala popełnianych w tym czasie na narodzie zbrodni stała się dla mnie jasna dopiero wiele lat później.

Wkrótce po przekroczeniu europejsko - azjatyckiej granicy wyczuliśmy jednak jakąś zmianę w zachowaniu naszych konwojentów. Stali się oni jacyś weselsi i nawet bardziej skorzy do rozmowy. Wywnioskowaliśmy z tego, że czują oni zbliżający się kres podróży. Choć warunki, w jakich jechali były o niebo lepsze od naszych, to jednak i im ta miesięczna już jazda dała się napewno we znaki.

Wciąż jednak na zadawane przez nas pytania o cel podróży odpowiadali najczęściej:

- Pożywiom - uwidim, ale czuło się, że kres wędrowki się zbliża.

Krótko po postoju przy wieży minęliśmy Swierdłowsk, a potem zapamiętałem jeszcze zbudowaną w kształcie chińskiej pagody stację, która nazywała się bodajże Nowaja Laja.

I wtedy zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Widocznie coś nie było skoordynowane w NKWD-owskich planach, bo nasze postoje na bocznicach stały się jeszcze dłuższe niż dotąd, a po kilku dniach ku memu wielkiemu zdziwieniu spostrzegłem, że znów przejeżdżaliśmy przez charakterystyczną stację Nowaja Laja w odwrotnym niż poprzednio kierunku.

Stało się jasne, że coś się w planach zmieniło i ktoś pozwolił sobie nawet na dowcip:

- Może wiozą nas spowrotem do Lwowa?

Na to się co prawda nie zanosilo, ale było oczywiste, że coś nie klapowało.

Pewnego dnia na jakiejś bocznicy ustawiono nasz pociąg obok stojącego na sąsiednim torze składu, w którego zakratowanych oknach widać było ludzi. Szybko nawiązał się kontakt i okazało się że "sąsiedzi" wywiezieni byli z Białegostoku jeden dzień po nas. Na Ural dotarli nieco wcześniej, ale od blisko dwóch tygodni transport ich wędrował to tu, to tam, szukając jak gdyby miejsca na wyładunek swojego żywego towaru.

Wiadomość ta przygnębiła wszystkich jeszcze bardziej, bo choć zupełnie nie wiedzieliśmy co nas czeka w miejscu przeznaczenia, wszyscy mieli już zdecydowanie dość podróży. Do pogorszenia nastrojów przyczyniły się również przekazywane po cichu wiadomości o tym, że w czasie nocnych postojów konwojenci wynieśli już chyłkiem kilka osób, które zmarły. Wiedzieliśmy, że niektórych ciężiej chorych przenoszono do pierwszego wagonu, który nazywano izolatką. O tym, że siedem takich osób rzeczywiście zmarło, o czym nie powiadomiono nawet ich rodzin, które przeciwnie, cały czas uspokajano, dowiedzieliśmy się ostatecznie dopiero po przybyciu na miejsce wyładunku.

Na jednym z kolejnych postojów, w czasie wydawania posiłku Aleksiejewicz poczestował podoficera prowiantowego zabraną ze Lwowa wiśniówką i sądząc, że w ten sposób zaskarbił sobie wdzięczność zagadnął, gdzie my właściwie wylądujemy i kiedy. Ale żołnierz albo sam nie wiedział, albo dawka wiśniówki była zbyt mała by przełamać jego zdyscyplinowanie, dość że odparł w sposób charakterystyczny dla sowieckich funkcjonariuszy:

- Pojedziemy, gdzie naczalstwo rozkaże.

Sądząc z jego smutnej miny, bardziej słuszne wydaje się przypuszczenie, że sam nie wiedział, ale Aleksiejewicz nie dał za wygraną.

- Zdaje się, że nigdzie nas nie chcą przyjąć. Pewnie wszystko już jest pozajmowane.

U żołnierza uwaga ta wywołała wybuch wesołości.

- Nie bójcie się! Rosja jest wielka, lasów u nas dużo i dla was miejsce się znajdzie. A nie będzie gdzie mieszkać, to sami sobie zbudujecie mieszkania - powiedział i ubawiony wyskoczył z wagonu.

Nie powiem, żeby ten dialog poprawił nam humory. Dni wlokły się bardzo wolno. Wszyscy byli już porządnie umęczeni podróżą. Ucichły spory o wodę do mycia, zamykanie, bądź otwieranie okien i wewnętrzne, rodzinne.

Większy wybuch nastąpił tylko raz. I tym razem o "rozrywkę" postarała się rodzina Szafirów.

Już wcześniej zauważyliśmy, że Szafirowa zwykła przeglądać głowy swoich córek - jakeśmy się domyślili - w poszukiwaniu wszy. Ktoś tam nawet zareagował, twierdząc, że go to przyprawia o mdłości, ale ktoś inny zauważył, że lepiej by insekty tępiła, niż żeby się one miały rozmnożyć na cały wagon.

Kto wie, czy ta właśnie uwaga nie podsunęła Szafirowej szatańskiej myśli. Pewnego bowiem dnia ktoś spostrzegł, że Szafirowa znalezionych w głowach córek wszy nie uśmierca, ale wpuszcza je precyzyjnie między szpary desek górnej półki tak, by lądowały one na leżących pod spodem Aleksiejewiczach, Fikach i Szwarctuchach.

Nowa, wielka awantura już się rozkręcała, ale wtedy właśnie drzwi wagonu się otworzyły i oficer, kierownik transportu nakazał przygotowywanie się do opuszczeniu pociągu za godzinę.

Wszyscy rzucili się do okienek. Spostrzegliśmy, że pociąg stał na stacji Czusowaja, ale po kilku minutach znów ruszył. Zapowiedziana godzina przeciągnęła się chyba do trzech, ale późnym wieczorem zatrzymaliśmy się znów, tym razem - jak się okazało - na dobre.

Drzwi znów otwarto i żołnierze zapowiedzieli, że wychodzić mamy po jednej rodzinie wraz z całym bagażem. Idąc po chwili przez peron małej i zupełnie wyludnionej stacyjki spostrzegłem, że nazywała się ona Paszyja.

Żołnierze odprowadzali nas kolejno na jakiś ogrodzony plac i kazali czekać. Zorientowaliśmy się, że było to boisko przy szkole. W czterech jego rogach stały posterunki, ale nie byli to już nasi dotychczasowi konwojenci, tylko ich miejscowi koledzy z NKWD.

Po pewnym czasie na boisku zgromadzili się wszyscy pasażerowie naszego pociągu. My trzymaliśmy się nadal razem z rodziną Pollaków.

Kiedy wszystkie wagony były już opróżnione, konwojenci wyprowadzili albo wynieśli tych, którzy ostatnią część podróży przebyli w wagonie - izolatce.

I wtedy właśnie okazało się że ośmiu osób brakowało. Oczywiście wywołało to straszną rozpacz rodzin brakujących ludzi. Ażeby ich jakoś uspokoić, komendant transportu zaczął zapewniać ich, że wszyscy, którzy nie dojechali do celu zostali z uwagi na stan zdrowia pozostawieni po drodze w szpitalach i że wkrótce, po wyzdrowieniu, połączą się ze swoimi rodzinami.

Odniosło to tylko częściowy skutek, bo niektórzy w te zapewnienia uwierzyli i uspokoiли się, ale inni nie wierzyli już słowom komendanta i rozpaczali nadal. Nasi "opiekunowie" przestali jednak zwracać na nich uwagę. Z czasem okazać się miało, że rację mieli niestety ci, którzy w kłamstwa komendanta nie uwierzyli, bo tylko jedna osoba dołączyła do nas później, już w obozie, a siedem pozostałych zmarło jeszcze w czasie trwania transportu.

Boisko, na którym nas wyładowano leżało tuż przy stacji, to też slychać było dość często przejeżdżające przez nią pociągi. Z braku charakterystycznych odgłosów jakie rozlegają się przy przejeździe parowozów, zorientowaliśmy się, że pociągi ciągnione były przez lokomotywy elektryczne.

Z tego faktu wysnuł Leon Pollak pocieszający wniosek, że znajdujemy się przy jakiejś głównej magistrali kolejowej, bo tylko takie były w Związku Radzieckim w tym czasie zelektryfikowane. A więc - dedukował Polak - nie powiozą nas na zupełne bezludzie.

Tylko, że te dedukcje nie bardzo się miały ziścić. Bardzo szybko okazać się miało, że Paszycja nie była kresem naszej wędrówki. Nasze wielodniowe krążenie po stacjach Uralu i Syberii dało widocznie naszym przyszłym "opiekunom" czas na przygotowanie akcji, bo oto po północy pojawił się na boisku jakiś nowy, nieznan nam oficer i zapowiedział, że zaraz zostaniemy załadowani na inne wagony i odjedziemy do miejsca przeznaczenia. Nie rozumieliśmy - dlaczego w takim razie wyładowano nas z dotychczasowych wagonów.

Wyjaśniło się to wkrótce, gdy znowu kolejno, rodzinami odprowadzono nas na pobliską rampę. Wzdłuż rampy stały otwarte platformy kolejki wąskotorowej, służące normalnie najwyraźniej do przewozu drewna. Tym razem posłużyć miały do przewiezienia nas.

I znów rozpoczęły się domysły - jak daleko wieź nas będą tym nowym środkiem lokomocji. Optymiści twierdzili, że kolejki wąskotorowe nigdy nie służą do przewozów na dalekie odległości, ale jakiś pesymista mruknął:

- W normalnym świecie nie, ale w Rosji...

Pytać nie próbowaliśmy, wiedząc z doświadczenia, że żołnierze na takie pytania i tak nie odpowiadają.

Ludzie poroziadali się na platformach, używając jako siedzeń swoich walizek i tłumoków. Po jakimś czasie podłączono parowozik - samowarek, na każdej platformie ulokowało się dwóch konwojentów i



kolejka ruszyła. Kiedy przejeżdżaliśmy koło boiska szkolnego dojrzałem że było ono puste i zastanowiło mnie w jaki sposób udało się wszystkim pasażerów dużego pociągu włączyć na tę małą kolejkę, ale długo sobie tym głowy nie zaprzątałem.

Mimo, że był to środek lata i szybkość z jaką posuwaliśmy się nie była duża, na platformach było dość chłodno, to też ludzie opatulili się czym kto mógł. My z mamą owinęliśmy się także kocami i wkrótce zasnęliśmy.

Obudziło mnie wołanie matki:

- Julek! Na miłość boską, gdzie jest Julek?!

Odezwałem się zaraz zdziwiony, że matka mnie szukała, chociaż siedziałem tuż koło niej. Ale jedno spojrzenie na matkę i innych wyjaśniło wszystko.

Oto nasza lokomotywka, napędzana widocznie drewnem, wyrzucała z komina takie ilości sadzy, że twarze jadących na odkrytych platformach pokryły się grubą, czarną jej warstwą. Pod tymi czarnymi maskami trudno było rozpoznać nawet najbliższych.

Nie wiedzieliśmy ile w czasie kilku godzin jazdy przebyliśmy kilometrów.. Ich ilość oceniano na 100-150.

Stacja, na której zatrzymaliśmy się nazywała się Wilwa. I tu, jak poprzednio teren stacyjny był całkowicie wyludniony.

Wyładunek odbył się szybko i po chwili wszyscy siedzieli na rampie, wzdłuż parkanu. Widać było, że tu już na nas czekali. Dostaliśmy bowiem zaraz tradycyjny wrzątek, chleb i rybę. Tylko że tym razem nie była to już ryba konserwowa, ale coś co wyglądem i konsystencją przypominało raczej deskę. Była to suszona "wobła", która odtąd często stanowić miała nasze pożywienie. Gdy ludzie trochę się pożywili i zmyli z siebie grubą warstwą sadzy, na rampie pojawił się nowy oficer w mundurze NKWD, który nakazał wszystkim mówiącym po rosyjsku zbliżyć się, poczem wygłosił "przemówienie powitalne".

Z oracji tej dowiedzieliśmy się, że jako element niebezpieczny dla państwa zostaliśmy deportowani na Syberię. Od tej chwili staliśmy się "spiecpiesielencami", czyli osobami przesiedlonymi do wyznaczonego miejsca osiedlenia bez prawa opuszczenia go. Oficer uprzedził, że każda próba samowolnego oddalenia karana będzie surowo. Nie powiedział co prawda jak. Następnie powiadomił nas, że dalszą część podróży do - jak się wyraził - miejsca przeznaczenia odbędziemy pieszo. Bagaże nasze natomiast powiozą konne pojazdy, które wkrótce się pojawią. Pojazdy te zabiorą także ludzi, którzy z powodu choroby nie mogą poruszać się sami. Ale tylko naprawdę chorych - zaznaczył - a nie symulantów.

Już wcześniej spostrzegliśmy, że wokół rampy nie stoją wartownicy, do których widoku przyzwyczailiśmy się w ciągu pięciu tygodni jazdy pociągiem. Ktoś zapytał więc ostrożnie, czy wolno nam udać się do wsi, by kupić jakąś żywność. Na to, po krótkim wahaniu oficer wyraził zgodę, uprzedzając przy okazji raz jeszcze, że każda próba ucieczki i tak skazana jest na niepowodzenie, bo innej jak wąskotorówka drogi do "wielkiej kolei" nie ma, a ten komu zachce się

uciekać i tak odrazu zostanie schwytyany. Raz jeszcze zagroził surowymi karami za tego rodzaju próby.

Na pytanie ile jeszcze kilometrów pieszej wędrowki nas czeka odparł, że kilkadziesiąt, a gdy ktoś nie wytrzymał i zapytał co "tam" będziemy robić, odpowiedział ze śmiechem:

- Życ i pracować -.

Na tym zakończył, polecił żeby to, co powiedział przekazać nie rozumiejącym po rosyjsku i odszedł.

Wkrótce po jego zniknięciu spostrzegliśmy, że po obu stronach rampy, na której rozłożyliśmy się zgromadziły się małe grupki tubylców. Były to prawie wyłącznie kobiety i dzieci, ale w pewnej chwili od jednej z grupek odłączył się jakiś stary mężczyzna i zbliżył się do nas. Ponieważ Polłakowie i my siedzieliśmy z brzegu, mężczyzna zagadnął nas.

Był to człowiek po siedemdziesiątce, niewysoki, w okularach w drucianej oprawie i z zadziwiająco bujną jak na swój wiek siwą czupryną. Na nogach miał stare kalosze.

Gdy zbliżał się do nas spostrzegliśmy, że rzuca dość niespokojne spojrzenia w kierunku w którym oddalił się oficer.

Mężczyzna stał chwilę przed nami, jak gdyby zastanawiając się nad czymś, po czym przemówił: I tu nastąpiło coś zupełnie nieoczekiwanego. Oto w najczystszej francuszczyźnie zapytał on, czy ktoś z nas zna ten język. Gdy Leon Polłak i moja matka zdębiali, kiwnęli potakująco głowami, mężczyzna zapytał z jakiego kraju jesteśmy. Ale w tej właśnie chwili rozległ się głośny krzyk mademoiselle, która z wrażenia w pierwszej chwili oniemiała, ale teraz za to dała upust swej ogromnej radości ze spotkania w tak niezwykłych okolicznościach - jak sądziła - rodaka. Zasypała go też odrazu gradem informacji o swoim nieszczęściu.

Widząc, że nasz interlokutor sam zdębiał, do rozmowy wmieszał się Polłak. Wyjaśnił on, że wywieziono nas ze Lwowa nie wiadomo dlaczego i że mamy być osiedleni gdzieś tu w pobliżu.

Skolei nasz rozmówca wyjaśnił, że nie jest Francuzem, ale czystej krwi Rosjaninem, potomkiem znanego, bojarskiego rodu. Znajomość francuskiego wyniósł z domu rodzinnego, gdzie języka tego używano na równi z rosyjskim. Opowiedział nam też, że przed rewolucją pracował w dyplomacji i zwiedził wiele stolic europejskich, a ostatnią przed rewolucją placówką jego dyplomatycznej działalności było Tokio.

Po rewolucji pracował jeszcze przez krótki czas jako nauczyciel języków, a potem spotkał go los o tyle łaskawszy od losu innych arystokratów, że nie utracił życia, a "tylko" przesiedział dziesięć lat w łagrze. Po wypuszczeniu z łagru został przymusowo osiedlony w Wilwie, gdzie najpierw ożenił się, potem owdowiał, a teraz żyje samotnie, zarabiając na chleb pracą w wytwórni węgla drzewnego. Prawa do jakiegokolwiek zabezpieczenia emerytalnego jego przeszłość nie dawała.

Powiedział nam, że ludność miejscowa składa się wyłącznie z ludzi, wobec których zakaz opuszczania tych stron nadal obowiązuje,

czyli przesiedleńców, albo takich, wobec których zakaz ten już ekspirował, ale którzy i tak nie mając dokąd się udać pozostali w miejscu swego dawnego zesłania.

Wszyscy ci ludzie wiele przeżyli i on, Michaił Iwanowicz, uważał ich za naogół dobrych i życzliwych. Oczywiście - dodał odrazu - są i inni, tacy co donoszą, ale wszyscy wiedzą którzy to są.

W międzyczasie zbliżyła się do nas jakaś kobieta. Domyśliła się zapewne, że jesteśmy cudzoziemcami, to też wolała zaspokoić swoją ciekawość pytając Michaiła Iwanowicza:

- Skąd oni są?

- Z Polski - odrzekł zapytany.

I wtedy nastąpiła druga, nie mniejsza niespodzianka. Kobieta złapała się obiema rękami za głowę i krzyknęła po polsku:

- Matko Boska! A czyż to może być?

- Tak, jesteśmy z Polski - odrzekła szybko Polakowa - A pani też widzę Polka?

- A Polka, Polka, tylko języka polskiego już zapomniała - wyrzuciła z siebie zapytana, - bo to już dwadzieścia lat jak ostatni raz mówiła po polsku - dodała.

- A skąd pani się tu wzięła na Syberii?

Wyjaśniło się, że Maria Gałuz, bo tak się kobieta nazywała, mieszkała jak wielu innych Polaków w Kijowie. Tam wyszła zamąż za Ukrainca i dlatego nie wróciła do Polski w latach dwudziestych, kiedy odbywała się akcja repatriacyjna. A potem spotkała męża i ją los setek tysięcy obywateli kraju rad. Zesłano ich do miejsca przymusowego osiedlenia. Tu zmarł jej mąż, a ona z kilkunastoletnią córką nadal mieszkają w Wilwie. Maria pracuje jako urzędniczka na poczcie. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że była właśnie niedziela i dlatego miała wolne.

W podróży zatraciliśmy rachubę czasu, to też wiadomość, że była to niedziela trochę nas zmartwiła, bowiem liczyliśmy na to, że coś można będzie kupić w miejscowych sklepach.

Wywołało to u naszych rozmówców falę wesołości.

- Dużo to byście tam i tak nie kupili, bo nigdy nic nie ma. Ale chodźmy do mnie, to was nakarmię!

Zawahaliśmy się, czy możemy to zrobić, ale widząc, że już sporo ludzi udało się do wsi w towarzystwie miejscowych, zdecydowaliśmy i my skorzystać z zaproszenia. Na rampie pozostała uszczęśliwiona mademoiselle w towarzystwie Michaiła Iwanowicza, który miał nam dać znać, gdyby trzeba było ruszyć w drogę.

Domek, w którym mieszkała Maria leżał blisko stacji. Wnętrze było niebywale czyste i zadbane. Niebawem też przed nami stały talerze z kluskami na mleku, a potem kasza ze skwarkami. Takich wspaniałości nie jedliśmy dawno, to też wszystkim uszy się trzęsły.

Było nam tak dobrze, że przez dłuższy czas jakoś nikt nie myślał co będzie dalej.

Pierwsza powróciła do rzeczywistości moja matka.

- A może się pani orientuje, gdzie zamierzają nas osiedlić? zapytała Marie. Ta spoważniała odrazu o odrzekła:



- Jest tu tylko jedno takie miejsce. Leży kilkadziesiąt kilometrów stąd w lasach i nazywa się Korostielówka. Jest tam kilkadziesiąt domków, które zbudowali dońscy kozacy, gdy ich tu przywieźli w dwudziestym którymś roku. Nie mieli tam lekko. Pracowali w lesie i pomału się wykańczali. Ale do reszty to ich wykończył tyfus głodowy jakieś dziesięć lat temu. Wymarli co do jednego. Od tego czasu Korostielówka stała pusta. Tylko tam was mogą zapakować - zakończyła.

Zrobiło się cicho. To co usłyszeliśmy było gorsze od tego, czego spodziewaliśmy się.

Maria chciała nas jakoś pocieszyć

- Nie martwcie się - powiedziała - teraz czasy są lepsze, jak wtedy. Wtedy głód panował w całej Rosji, nie tylko na "specposiołkach".

Wtedy to właśnie po raz pierwszy usłyszeliśmy tę rosyjską nazwę, która potem wejść miała do słownika polskiego milionów deportowanych ludzi. Maria nie wiedziała dobrze ilu było mieszkanców Korostielówki, gdy ich tam przywieziono. Według krążących po okolicy słuchów, miał ich być początkowo około pięciuset. I ani jeden z nich ponoć nie ocalał. Ostatnich nie miał już nawet kto grzebać.

Maria zdawała sobie sprawę z tego, jakie wrażenie wywierało jej opowiadanie, to też co chwila powtarzała, że teraz nie grozi nam napewno to, co spotkało naszych poprzedników. W latach wielkiego głodu - mówiła - ludzie marli jak muchy i to wszyscy, nie tylko więzieni. A teraz kontynuowała chcąc nas pocieszyć - nikomu się nie przelewa, ale też z głodu ludzie nie umierają.

Zasypywaliśmy ją mnóstwem pytań, bo interesowało nas w tym nowym, zupełnie nieznanym świecie wszystko, a Maria opowiadała cierpliwie. I pewnie trwałaby ta nasza indagacja w nieskończoność, gdyby nie nadejście zdyszanego Michała Iwanowicza, który powiadomił nas, że konie już są i cała grupa szykuje się do drogi.

Podziękowaliśmy Marii gorąco za wszystko, a gdy matka chciała jej z wdzięczności podarować jakiś drobiazg, ta odmówiła stanowczo. Obiecała jeszcze, że nawiąże z nami jakoś kontakt.

Wróciliśmy na rampę w samą porę. Ludzie kończyli już ładować swój dobytek na pojazdy, na widok których w pierwszej chwili zdębieliśmy. Oto bowiem w połowie lata, w lipcu, toboły nasze ładowane były na sanie, a właściwie coś, co przypominało sanie.

Były to dwa połączone nad grzbietem konia drewnianym łukiem dyszle, wygięte na przeciwległych końcach w taki sposób, że tworzyły fajkowe płozy, zbite kilkoma poprzeczkami, na które kładł się ładunek. Takie sanie - jak nam wyjaśnił Michał Iwanowicz - nazywały się "wołokusze".

Właśnie obok nas ładowano na takie coś starego Aszera, który z uwagi na duże osłabienie nie mógł chodzić. Stojąca koło sań Aszerowa załamując ręce powtarzała:

- Kto to widział latem na saniach jeździć? Oni nas naprawdę chcą zawieźć na białe niedźwiedzie!

Prawdę mówiąc wszystkim nam - gdy patrzyliśmy na sanie - zrobiło się

nieswojo. Ale ja przypomniałem sobie, co mówiła Maria i powiedziałem:

- My mamy być ulokowani kilkadziesiąt kilometrów stąd. A tutaj nie ma takich wysokich gór, żeby śnieg na nich leżał w lipcu.

- Jak by nie było śniegu, to by nas nie wieźli saniami - nie dawała za wygraną Aszerowa.

Ale Maria, która właśnie zbliżyła się do nas i usłyszała o czym mówiliśmy, wtrąciła:

- Nie bójcie się! To nie przez śnieg te wołokusze. Tylko tam po drodze grunt miękki i dlatego cała droga wyłożona jest żerdziami.

A po żerdziach fura na kołach nie pojedzie. Ot i dlatego jeżdżą i latem i zimą na wołokuszach.

Aszerową to trochę uspokoiło, ale jeszcze mruczała pod nosem:

- Oj, co ci bolszewicy nie wymyślą. Ja i we Francji byłam i do Brazylii do siostry jeździłam, ale żeby saniami w lecie jeździć, to czegoś takiego jeszcze nikt oprócz nich nie wymyślił. Co za kraj?! - zakończyła.

- Tak, tak. Tu inny kraj niż wszystkie inne - westchnęła smutno Maria. - I nie tylko z powodu tych sań - dodała.

W tej właśnie chwili spostrzegła zbliżającego się do nas oficera. Widocznie wołała się z nim nie spotykać. bo i ona i Michaił Iwanowicz pożegnali się z nami pośpiesznie. Maria raz jeszcze obiecała się z nami skomunikować, zrobiła reką nieznacznie znak krzyża i oboje oddalili się.

Mimo, że to ,czego dowiedzieliśmy się od niej nie było zbyt pocieszające, czuliśmy się trochę podniesieni na duchu tym spotkaniem.

Natomiast biedną mademoiselle spotkanie z Michaiłem Iwanowiczem rozstroilo do tego stopnia, że wysiłki pani Pollakowej i mojej matki by ją uspokoić nie dawały rezultatu.

Oficer, który do nas podszedł sprawdzał, czy wszystko jest dobrze umocowane na saniach i początkowo nakazał Aszerowi zleźć z nich, ale gdy przyjrzał się bliżej wymizerowanej postaci starego, doszedł widać do wniosku, że do marszu się on nie nadaje i pozwolił mu pozostać na saniach.

Przed naszym nadejściem próbowali ludzie wycisnąć z woźniców sań wiadomość - dokąd nas prowadzą, ale wszystkie wysiłki okazały się zupełnie bezskuteczne. Widocznie woźnice zostali wcześniej dobrze wymusztrowani przez NKWD.

To też przyniesiona przez nas wiadomość o położonej w odległości kilkudziesięciu kilometrów wsi, do której nas prawdopodobnie prowadzą rozeszła się lotem błyskawicy.

Jeszcze karawana nasza nie zdążyła opuścić Wilwy, a już rozpoczęły się dociekania, co my tam będziemy robić. Ciekawiło mię bardzo, co ludzie sądzą na ten temat, to też przyłączyłem się do grupy kroczących w kolumnie mężczyzn, by posłuchać ich komentarzy.

Właśnie mówił Frydman.

- Są wśród nas ludzie różnych specjalności i napewno władze

zechcą nasze umiejętności właściwie wykorzystać. Może utworzą jakieś spółdzielnie. We Lwowie powstało przecież moc różnych tak zwanych arteli rzemieślniczych i innych.

- Ciekawym dla kogo. - Pollak był sceptyczny. - Tu w tej tajdze przecież wogóle ludzi nie ma.

- Produkcję można przecież dostarczać do miast - odparł Frydman, który wierzył w prężność radzieckiego systemu gospodarczego.

- No dobrze, ale co robić na przykład z prawnikami, inżynierami, czy lekarzami, a takich tu zdaje się pełno - zapytał Fabian, który sam był adwokatem.

- Jeśli chodzi o lekarzy, to nie ma obawy - zauważył jakiś szpakowaty pan, którego nie znałem, bo nie jechał w naszym wagonie. - W takiej dużej grupie ludzi lekarz zawsze znajdzie zatrudnienie. Ja jestem właśnie lekarzem i o pracę się nie martwię.

- Tak, tak, planujcie sobie panowie adwokaci i doktorzy. A ja wam mówię, że będziemy wszyscy albo ziemię uprawiać, albo kamienie tłuc. A żadnych inteligentów to oni nie potrzebują - odezwał się milczący dotąd mężczyzna, którego też nie znałem.

- Nie każdy nadaje się do takiej pracy - stwierdził zaspany już porządnie wskutek marszu Aleksiejewicz.

- U nich się mówi "kto nie pracuje, ten nie je" zareplikował nieznajomy.

- Zapędzą do tłuczenia kamieni i będziesz pan zaiwaniał aż kurz będzie leciał. A nie - to źreć nie dadzą.

- Zawracanie głowy - Frydman upierał się przy swoim - Ta sama zasada, o której pan wspomniał głosi też, że w systemie socjalistycznym każdy otrzymuje wynagrodzenie według wykonywanej pracy. W tym systemie państwo jest zainteresowane żeby nie marnowały się siły wytwórcze.

- To są mądre słowa. Ja się na tym nie rozumiem. Ale wiem, że po rewolucji to cała ocalała inteligencja zamiatła ulice albo zmywała naczynia po stołówkach.

- Wszędzie się takie rzeczy zdarzają - odparował Frydman - Ja także mam wyższe wykształcenie, a jak odbywałem służbę wojskową, to kazali mi wychodki żyłką skrobać.

- Widać poznali się już wtedy coś pan za jeden - zakończył dyskusję nieznajomy.

W międzyczasie kolumna nasza opuściła już dawno osadę Wilwa i teraz wąż ludzi i san' ciągnął przez lekko pofalowaną, porośniętą gęsto lasem okolicę. Było bardzo ciepło i parno. Małe, kudłate koniki, "mongoły", w które zaprzężone były sanie parowały mocno i wydzielały silną, charakterystyczną woń potu końskiego. Woh ta zwabiała widocznie muchy, które całymi chmurami krążyły nad grzbietami koni.

Raz po raz wzdłuż kolumny przejeżdżał to w jedną to w drugą stronę na takim samym krępy koniku starszy lejtnant NKWD, którego widziałem poprzednio na rampie. Poza nim zauważyłem jeszcze czterech enkawudzistów idących na czele i w końcu



kolumny.

Nie przyzwyczajeni do marszu ludzie zaczęli pozostawać w tyle i po dwóch godzinach wąż rozciągnął się na przeszło kilometr. Wtedy oficer zarządził postój.

W pobliżu przepływał czysty strumień z zimną wodą, z czego wszyscy skorzystali by się umyć i napić. Po paru minutach wszyscy leżeli w trawie po obu stronach drogi. Rozkosznie było wyciągnąć się na słońcu po tylu dniach spędzonych w ciemnym i dusznym wagonie.

Ale już po kilku minutach okazało się, że siedzenie, czy leżenie bez ruchu było niemożliwe. Nagle bowiem, niewiedząc skąd, pojawiły się ogromne masy małych muszek. Spostrzegliśmy je już w czasie marszu, ale nikt nie przejmował się nimi zbytnio, bo z rzadka tylko siadały na jakiejś odsłoniętej części ciała.

Teraz jednak, gdy ludzie znieruchomieli, całe armie muszek obsiadły nie tylko twarze, szyje, ręce i nogi, ale przedostawały się wszystkimi szczelinami do tych partii ciała, które były zdawać by się mogło osłonięte!

Ukąszenia muszek były piekielnie swędzące, to też po kilkunastu minutach postoju ludzie przedstawiali dziwaczne widowisko. Ktoś niezorientowany, obserwujący tą scenę z daleka mógłby przypuszczać, że dotknęła nas wszystkich jakaś dziwna, wywołująca konwulsje choroba. Ludzie wymachiwali rękami próbując opędzić się od muszek, a że to nie dawało rezultatu, klepali się po wszystkich możliwych częściach ciała i drapali zawzięcie.

Po następnych kilku minutach chęć ucieczki wzięła górę nad zmęczeniem i niemal wszyscy byli na nogach.

Widząc to lejtnant dał sygnał do odmarszu i kolumna trochę bardziej już zwarta, ruszyła w drogę.

Ruch okazał się najskuteczniejszą bronią w "wojnie" z muszkami. Atakowały one wprawdzie nadal odsłonięte twarze i kończyny, ale ich ofenzywa nie była ani w części tak zmasowana, jak na postoju.

W ciągu tego dnia stawaliśmy jeszcze kilkakrotnie i za każdym razem ataki muszek się ponawiały, choć z różnym nasileniem. Spostrzegliśmy, że nasilenie to zależne było od rodzaju zadrzewienia. Zdecydowanie więcej muszek było tam, gdzie drzewa liściaste przeważały ilościowo nad iglastymi.

Marsz był niezmiernie uciążliwy także dlatego, że przez całą niemal drogę musieliśmy stąpać po ułożonych w poprzek ~~drogi~~ zerdziach. Teraz już wszyscy pojęli, dlaczego "wołokusze" zastępowały tu wozy kołowe..

Przyzwyczajone widocznie do takich dróg koniki świetnie sobie z żerdziami radziły. Gorzej było z nami, Tym bardziej, że obuwie większości ludzi zupełnie nie nadawało się do długiego marszu.

To też coraz częściej kolumna stawała, bo ktoś tam nie mógł już iść dalej i coraz częściej rozwścieczony tą naszą

"delikatnością" lejtnant musiał się godzić na zajęcie przez kogoś miejsca na saniach.

Pod wieczór wyszliśmy z lasu na ogromną, porośniętą trawą polanę, na której przeciwnym końcu widoczna była wioska. W tej właśnie chwili przejeżdżał koło nas lejtnant i ktoś zapytał go, czy to już miejsce przeznaczenia.

- Tak wam spieszo? - odpowiedział pytaniem zagadnięty. A potem dodał - Jeszcze ze dwa dni pchodzicie. Ale tutaj będziemy nocować.

Wiadomość ta rozeszła się szybko. Byliśmy bardzo ciekawi gdzie nas ulokują. Cała wieś składała się z 20-30 domków. Szybko się jednak okazało, że nikt nie zamierzał rozkwarterowywać nas w chałupach. Całą kolumnę zgromadzono wokół leżącej na skraju wsi szkółki. Był to nieduży, paroiżbowy budynek.

Nasz lejtnant wszedł na ganek i oświadczył, że zaraz dostaniemy "pajok", czyli przydział żywności, a spać można albo wewnątrz w szkole, albo naokoło. Zapowiedział, że w dalszą drogę ruszamy o godzinie szóstej rano i przypomniał czym grozi oddalenie się.

My postanowiliśmy przenocować nazewnątrz. Po zjedzeniu otrzymanego chleba i suszonej ryby, widząc, że nikt nas nie pilnuje, poszliśmy w stronę pobliskich zabudowań. Gdyby nie unoszący się z kominów dym i światło w oknach, wyglądałyby one na niezamieszkałe. Od naszego przybycia nie pojawił się wokół chałup ani jeden ich mieszkaniec. Było oczywiste, że nie chcieli się oni z nami zetknąć. Pewnie otrzymali w tej sprawie wcześniej "wytyczne" od NKWD.

Przeszliśmy koło kilku zabudowań nie napotykając na nikogo. Tylko w oknach gdzieniegdzie widać było sylwetki stojących za szybami ludzi.

Już mieliśmy zawracać w kierunku szkoły, gdy od jednego z mijanych budynków gospodarczych rozległo się najpierw psyknięcie, a potem jakiś głos zapytał cicho:

- A was skąd wysiedlili?

- Z Polski - odpowiedzieliśmy, zapominając, że w myśl sowiecko - niemieckiej umowy Lwów to już nie Polska, ale Zachodnia Ukraina.

Z półmroku rozległo się najpierw kilkakrotne cmoknięcie, oznaczające zapewne zdziwienie naszego rozmówcy, a po chwili ciszy, w czasie której zapewne zaciekawienie walczyło z obawą, niewidoczny dotąd mężczyzna wysunął się nieco z drzwi stodoły i wskazując ręką na drzwi domostwa powiedział:

- Może zajdziecie? Miłości prosim!

To zaproszenie zabrzmiało trochę dziwnie w moich uszach, bo zbyt mało znałem jeszcze rosyjski, by wiedzieć, że słowo "milost" nie oznacza miłości.

Po chwili jednak byliśmy już w dużej izbie, której trzecią część zajmowała jakaś dziwna budowla. Był to t.zw. ruski piec, który, jak się potem okazało, służył do ogrzewania, gotowania,

pieczenia i ...spania.

Izba była niebywale czysta. Wyskrobane do białości deski podłogi, jasne bale ścian i sztywno nakrochmalone, bielusińkie firaneczki, wszystko to sprawiało wrażenie nadzwyczajnej schludności.

Gospodyni, która już wcześniej obserwowała nas przez okno nie była zaskoczona i o nic nie pytając zaprosiła nas do stołu. Zaraz też na stole pojawił się chleb, mleko i twarde, słodkie pierniki.

Oczywiście najpierw opowiedzieliśmy o sobie. Gospodarze tylko spoglądali od czasu do czasu na siebie i uśmiechali się lekko. Dlaczego - zrozumieliśmy wkrótce. Otóż nasze przesiedlenie przypominało im żywo ich własne przeżycia. Jak się okazało, i gospodarz i reszta mieszkańców wsi byli Tatarami, przesiedlonymi kilkanaście lat wcześniej z którejs z południowych republik. Gospodyni była Ukrainką również przesiedloną. Teraz pracowali w sowchozie hodowlanym. Najdziwniejsze było to, że sami nie orientowali się jaki był ich aktualny status.

Na zadane przez kogoś z nas pytanie, czy teraz wolno im wrócić do dawnych miejsc zamieszkania gdyby to zrobić zechcieli, gospodarz odrzekł:

- A kto ich tam wie, czy wolno. A jak by nawet pozwolili to po co. Za rok im znów coś przyjdzie do głowy i znowu człowieka przesiedlą nie wiadomo dokąd. To lepiej już siedzieć na miejscu.

W czasie rozmowy rozległ się nagle płacz dziecka. Rozejrzałem się po izbie, ale jedyne widoczne dziecko spało spokojnie na drewnianym łożku. Gdzie znajdowało się drugie zorientowałem się dopiero, gdy gospodyni wstała, podeszła do stojącej wzdłuż pieca ławy i wdrapała się na nią. Po chwili sciągnęła z pieca niemowlę i zaczęła je przewijać. Spostrzegłszy nasze zainteresowanie powiedziała:

- Niby teraz lato i noce ciepłe, ale to jeszcze małe i potrzebuje dużo ciepła, to i leży tam zanim ja się nie położę do łóżka, a potem spi ze mną.

- Ale w zimie, to my wszyscy tam spimy, na piecu - dodał gospodarz.

Rozejrzałem się jeszcze po izbie. Kilka rzeczy przyciągnęło moją uwagę. Na szerokim, drewnianym, własnej roboty łożku leżała cała góra poduszek, wysoka chyba na półtora metra. Na podłodze leżało kilka skór niedzwiedziej, a przy drzwiach stał dziwny palak z metalowymi hakami na obu kołkach. Stojące obok wiadra pozwalały się domyślać, że było to koromysło do noszenia wody, rzecz o której ja, mieszczuch nieraz czytałem, ale której nigdy nie widziałem.

Ale najdziwniejsze były ozdoby na ścianach. Wisiało tam parę rogów jelenich, a dwa przeciwległe kąty izby zdobiły swoiste ołtarzyki. W jednym kącie, wokół zascielonej pięknie haftowanym



obrusikiem półki z lampką oliwną wisiały stare, piękne ikony ludowe. Z drugiego kąta izby na ikony te spoglądały marsowe oblicza Marksa i Stalina oraz trochę bardziej uśmiechnięty Lenin. Wszystkie fotografie były wycięte z kolorowych czasopism, a w miejsce obrusu i lampki oliwnej, półeczka zasłana była czerwonym płótnem. Zdobila ją poza tym czerwona gwiazda.

Widząc nasze trochę ubawione miny gospodarz powiedział:

- Ten kąt - wskazał na ikony - to mojej starej, a ten - tu kiwnął w stronę wódzów rewolucji - to synka. On jest w pionierach - dodał jakby dla usprawiedliwienia.

Zapytaliśmy dokąd jego zdaniem nas transportują. Odpowiedź była taka, jakiej spodziewaliśmy się. Jedyne miejsce, gdzie mogliby nas osiedlić była Korostielówka, o której i on wiedział, choć nigdy tam nie był. Co do naszej przyszłej pracy zawyrokował krótko:

- Bedzicie rąbać drzewo. Nic innego tam do roboty nie ma. Potem zaproponował nam nocleg na sianie w stodole, ale z uwagi na niego i na nas samych woleliśmy z zaproszenia nie korzystać. Pożegnaliśmy się więc serdecznie i powróciliśmy do szkoły.

Po drodze mówiliśmy o tym, jak bardzo inni są ci Rosjanie, którzy sami nie mało się nacierpieli od tych Rosjan - przedstawicieli władzy, z którymi stykaliśmy się we Lwowie i w transporcie.

Noc spędziliśmy na dworze. Szczęśliwie na polanie, zdala od lasu i w nocnym chłodzie muszki nie atakowały. Za to rano przebudziliśmy się zupełnie wilgotni. I odzież i koce, którymi nakryliśmy się przesiąknięte były poranną rosą.

Nie było już czasu na rozpalenie ogniska i osuszenie się, to też z przyjemnością ruszyliśmy w dalszą drogę, bo ruch dawał rozgrzewkę.

Cały ten dzień upłynął na marszu. Droga wznosiła się lekko, co było uciążliwe, szczególnie dla ludzi starszych, ale miało tę dobrą stronę, że weszliśmy na tereny mniej podmokłe, gdzie muszki nie dawały się tak we znaki.

Około południa dotarliśmy do jakiejś osady. Mieścił się tam zarząd sowchozu. W sowchozowej stołówce dostaliśmy pierwszy od opuszczenia pociągu gotowany posiłek. Była to zupa - kartoflanka i ugotowana na gęsto kasza omaszczona olejem. Jadłem z ogromnym apetytem, a patrząca na mnie matka pokiwała głową i powiedziała z melancholijnym uśmiechem:

- Mój Boże! Żeby ci coś takiego dała w domu, to byś napewno nawet spojrzeć na to nie chciał.

I miała rację. Ale teraz smakowało to jak najlepszy rarytas.

Dostaliśmy jeszcze swoją rację chleba i waż sań i ludzi znów rozciągnął się na leśnej drodze.

Kolejny nocleg spędziliśmy na łące, w stogach skoszonego siana. Następnego dnia przed wymarszem nasz lejtnant uznał prawdopodobnie, że można uchylić rąbka tajemnicy i jadać na swoim koniku wzdłuż szykującej się do wymarszu kolumny

zapowiadał, że jeśli będziemy iść raźnie, to po południu dotrzemy do "posiołka".

Ten dzień zapamiętałem dobrze. Najpierw szliśmy przez łąkę, potem przez las, a następnie kilkanaście kilometrów posuwaliśmy się po robiącym upiornie wrażenie leśnym pogorzelsku. Widywałem już wcześniej takie miejsca, nigdy jednak nie były one ani w części tak ogromne.

Jak okiem sięgnąć las był wypalony. Tylko gdzieniegdzie sterczały nagie, zupełnie zczerniałe pnie. Żar w czasie pożaru, który przeszedł tędy niedawno, był tak wielki, że również całe poszycie leśne uległo wypaleniu i cały teren pokrywał czarno - czerwony pył. Cały krajobraz był jakiś niezmiernie dziwny. Zrobił on na wszystkich tak przygnębiające wrażenie, że gdy lejtnant po długim marszu zarządził odpoczynek w miejscu z którego widać było skraj pogorzelska i początek lasu, ludzie mimo zmęczenia sami poprosili go żeby kontynuować marsz aż do chwili dotarcia do zadrzewionego terenu.

Po odpoczynku szliśmy znów lasem. Już dobrze po południu droga zaczęła piąć się lekko pod górę. My szliśmy niemal na czele kolumny. Gdy dotarliśmy do szczytu wzgórza, na wyciętej w lesie polanie po prawej stronie drogi ukazał się naszym oczom cmentarz.

Stare, przez nikogo nie pielęgnowane pagórki nagrobne porosły zielskiem i pewnie nikt nie domyśliłby się nawet, że to cmentarz, gdyby nie masa drewnianych, prawosławnych krzyży, które poprzeczylane na wszystkie strony sterczały wśród trawy, zielska, a nawet młodych drzewek, które zdążyły już wyrosnąć wśród grobów i na nich.

Było jasne, że zbliżaliśmy się do jakiejś wsi.

I istotnie, po przejściu jeszcze kilkuset metrów las urwał się nagle i na opadającym ku rzece zboczu wzgórza, w odległości kilometra od miejsca, w którym staliśmy, oczom naszym ukazały się trzy szeregi jednakowo z daleka wyglądających, drewnianych domków.

Obok nas zatrzymał się właśnie lejtnant. Spojrzał na nas, pokiwał głową i powiedział:

- Ot i wasz posiołek. Tu będziecie żyć i umierać!

## Zaczynamy nowe życie

Czoło kolumny zatrzymało się. Ci, którzy szli z tyłu zrównali się z nami i także stanęli. Wszyscy bez słów zrozumieli, że dotarliśmy oto do celu dziwnej podróży, że tu przyjdzie nam spędzić część życia.

I napewno pytanie, czy całą resztę życia, czy też tylko jej część i jaką - zaprzętało wszystkie umysły. To też ludzie stali cichutko, nie wymieniając nawet żadnych uwag na temat widoku, który roztaczał się przed nami.

A przyznać trzeba, że nie był on wcale odstrasżający. Przeciwnie, z daleka wyglądało wszystko wręcz idyllicznie.

"Posiołek", czyli nazywany w tutejszym języku wsią obóz, leżał na dużej, otoczonej z trzech stron lasem polanie, opadającej ku połyskującej srebrem rzece, która przecinała dolinę. Przeciwległy brzeg rzeki był wysoki, urwisty i tworzył malownicze załomy.

Domki, stojące w równych szeregach zbudowane były z bali sosnowych i żywo przypominały zabudowania podkarpackie. W dole, przy rzece widać było kilka większych budynków.

Wszystko to razem wzięte wyglądało chyba lepiej, niż tego większość z nas oczekiwała.

Staliśmy tak w milczeniu dłuższą chwilę, gdy nagle zdarzyło się coś najzupelniej nieoczekiwanego.

Oto bowiem z lasu wynurzyła się postać, na widok której wszyscy zamarli ze zdziwienia. Był to małego wzrostu, niemłody człowiek z długą, rudą brodą i pejsami. Na głowie miał czarną, żydowską jarmułkę, a ubrany był w pasiastą pizamę. W ręku trzymał koszyk, do połowy napełniony pończeczkami i jagodami.

Staliśmy tak przez chwilę, patrząc na siebie wzajemnie, a potem ktoś z nas wybuchł nieopanowanym śmiechem. Śmiech ten udzielił się pozostałym i po chwili nie było chyba człowieka z lejtnantem włącznie, któryby nie zanosił się śmiechem.

Śmieliśmy się po raz pierwszy od wielu tygodni i odprężenie to było wszystkim napewno bardzo potrzebne, bo nigdy w życiu ani wcześniej, ani potem nie przydarzyło mi się widzieć wielkiej gromady ludzi tak długo i tak serdecznie się śmiejących.

Przybysz nie bardzo rozumiał dlaczego się tak śmiejemy, bo nie zdawał sobie pewnie sprawy z absurdalności sytuacji, jaką w naszych oczach wytworzyło jego pojawienie się. Zbliżył się więc do najsolidniej widocznego wyglądającego Aleksiejewicza i zapytał, czy teraz dopiero nas przyprowadzili.

Zaraz też wyjaśniło się, że on wraz z częścią naszego transportu wyjechali z Paszyi wąskotorówką kilka godzin przed nami. Przypomniałem sobie, że wtedy, koczując na boisku szkolnym słyszeliśmy istotnie w nocy jakiś ruch. Ta pierwsza grupa wyruszyła potem z Wilwy zaraz po przybyciu tam i w rezultacie dotarła do



posiołka poprzedniego dnia wieczorem. W ten sposób wyjaśniła się tajemnica dziwnego zjawiska, które objawiło się naszym oczom w syberyjskiej tajdze.

Oczywiście zaraz zasypano przybysza pytaniami, ale on zdołał nam ledwie powiedzieć, że narazie przydzielili im tylko mieszkania, a poza tym nic się nie działo, gdy lejtnant dał sygnał do wymarszu i kolumna ruszyła w ostatni odcinek wędrówki.

W miarę zbliżania się do budynków idylliczny widok, który roztaczał się przed nami ze wzgórza zaczął się zmieniać.

Domki, które od wielu lat nie były zamieszkałe, nie robiły z bliska tak miłego wrażenia. Wiele szyb w oknach było powybijanych, całe otoczenie zarosło gęsto zielskiem, a nieumocowane drzwi i okiennice, poruszające się i skrzypiące przy każdym podmuchu wiatru sprawiały trochę upiorne wrażenie.

Wokół domków widać było masę grobów. Tu chowano widocznie tych ostatnich Kozaków, poprzednich mieszkańców posiołka, których już pozostali przy życiu nie mieli siły albo chęci transportować na cmentarz.

Spostrzegliśmy, że jedna część wsi była już zaludniona. Druga - pusta, czekała widocznie na nas.

Przeszliśmy tak przez cały niemal posiołek i zatrzymaliśmy się na placu przed jakimś większym budynkiem. Na jego drzwiach wisiała ręcznie wymalowana tabliczka z napisem "Komendantura".

Po chwili na ganku pojawił się starszy lejtnant NKWD, który prowadził kolumnę, i oświadczył, że to on będzie komendantem posiołka, że zaraz dostaniemy przydzielony do różnych domków, że piły, siekiery i gwoździe, potrzebne do zrobienia mebli można dostać w kantorze, że wieczorem dostaniemy w stołówce posiłek i że jutro w południe odbędzie się przed komendanturą ogólny apel, na którym zostaniemy poinformowani o regulaminie. Przestrzegł, że oddalać się nie wolno, a jeśli ktoś spróbuje czeka go sroga kara.

Potem przydzielono mieszkania. Nam przypadła wspólnie ze znanym nam z wagonu małżeństwem Szwarctuch jedna izba w dwuizbowym domku Nr 53.

Domek ten był ostatni w górnym szeregu i stał blisko skraju lasu.

Zbliżając się do niego zastanawialiśmy się, jak też jest on urządzony. Z zewnątrz stwierdziliśmy, że brakuje kilku szyb. Ja dobiegłem do domku pierwszy. Otworzyłem skrzypiące drzwi do sionki, potem do wewnątrz....i oto okazało się, że jedynym znajdującym się w izbie przedmiotem był gliniany piec rosyjski. Poza tym pokój świecił gołymi ścianami. Ściany te były sosnowe, niezbyt poczerniałe, a podłoga ułożona była z przepiłowanych na pół bali. Na ścianach i oknie widać było masę pajęczyn - dowód, że domek od dawna nie był używany.

Patrzyliśmy na siebie trochę bezradnie, nie wiedząc do czego się najpierw zabrać. W międzyczasie nadeszli też Szwarctuchowie.

Matka, która stała przy oknie zauważyła na parapecie masę błyszczących, przezroczystych łusek. Po bliskim przyjrzeniu się

okazało się, że były to zupełnie wyschnięte i przez to aż przezrocyste pluskwy.

- Bogu dzięki choć za to, że wyzdychały - powiedziała matka.- Inaczej mielibyśmy się z pyszna. Proponuję - dodała żeby kobiety trochę pozamiatały, a mężczyźni poszli po jakieś siano albo gałęzie na legowisko-Komendant mówi, że są narzędzia. Trzeba będzie jutro pomyśleć o zrobieniu jakichś prycz i innych rzeczy - powiedział Szwarctuch.- A teraz zrobię jakąś miotłę. Szczotki to moja specjalność - zaśmiał się.

Światła żadnego nie mieliśmy, a zmrok już zapadł.

Kobiety wymiotły izbę, a my poszliśmy na poszukiwanie siana. Nie znaleźliśmy go, to też zadowoliliśmy się narwaniem dużych naręczy gałęzi w pobliskim lesie.

Zanim się zupełnie ściemniło, poszedłem jeszcze rozejrzeć się po okolicy.

W pobliżu domku stała ubikacja. Była to drewniana budka, jakie widywałem już w Polsce, ale różniła się tym od wiejskich ubikacji, jakie znałem tym, że zamiast dołu kloaczego miała wysuwane szuflady. Stwierdziłem jeszcze, że izba po przeciwnej stronie naszego domku zajęta została przez rodzinę Aszerów i wróciłem.

Zmęczenie marszem sprawiło, że zasnąłem niemal natychmiast.

W nocy czułem silne swędzenie, które kilkakrotnie mnie budziło. Kładłem je jednak na konto potu i długiego nie mycia się i za każdym razem zasypiałem szybko ponownie.

Ale rano okazało się, że to nie pot był przyczyną swędzenia. I matka moja i Szwarctuchowie poczuli je w nocy, a gdy pan Michał zapalił zapałkę, by zobaczyć co po nim łązi, okazało się, że te pluskwy, które tak lekkomyślnie uznaliśmy za zdechłe, jakimś cudem ożyły i przypuściły generalny szturm.

Zepsuło to wszystkim bardzo humory, a kobiety postanowiły wyszorować całą izbę i polać wszystkie szpary w ścianach i podłodze wrzątkiem w nadziei, że to pomoże.

My z Michałem poszliśmy po narzędzia. Istotnie, w kantorze, który szybko znaleźliśmy wydano nam za pokwitowaniem toporki i piły oraz trochę wielkich gwoździ.

Na zadane mu pytanie - skąd wziąć deski na stoły, łóżka i tp. magazynier serdecznie się roześmiał i wskazując ręką las powiedział:

- A wot wam deski. Topór jest? Piła jest? O resztę trzeba samemu się postarać.- zakończył.

Postanowiliśmy najpierw przynieść drzewa do pieca, by nagrzać wrzątku do parzenia ścian i podłóg. Do lasu było blisko i na samym jego brzegu upatrzyliśmy niedużą sosenke, która wydawała nam się w sam raz, by po ścięciu można ją było nieść we dwójkę.

Najpierw zabrał się do niej Michał przy pomocy topora. Ale wnet okazało się, że topór był tępy, a poza tym w jego niesprawnych rękach łądował za każdym uderzeniem w innym miejscu. Po paru minutach pień był pokancerowany jak cholera, Michał zziębnięty, i mokry, a sosna jak stała, tak stała. Postanowiliśmy więc zabrać się do niej przy pomocy piły. Z początku szło dobrze, ale gdy tylko

ostrze piły zagłębiło się w drzewo, jej posunięcia stały się coraz trudniejsze, a wreszcie zaklinowała się ona na amen.

Ostatecznie przy pomocy topora udało nam się jakoś powalić sosenkę, ale po zakończeniu tej operacji byliśmy obaj kompletnie wypompowani.

- Ciekawym jak się przewraca grube drzewa - powiedziałem - przecież ta sosenka ma najwyżej dwadzieścia centymetrów średnicy, a tu są drzewa ze cztery razy grubsze.

- Tego się nie robi takimi narzędziami - zawyrokował Michał. Obrabianie gałęzi z pnia zabrało nam też trochę czasu, to też gdy piekielnie zmachani dotarliśmy wreszcie z naszym trofeum do domu, był już czas na pójście pod komendanturę, gdzie się miał odbyć ogólny apel.

Około południa wielka gromada ludzi rozsiadła się na trawie przed komendanturą. Po chwili na ganku pojawił się komendant i z przygotowanej kartki odczytał informacje. Rozpoczął od tego, że jako "spiecpiereseleńcy" nie mamy prawa oddalania się poza posesję. Naruszenie tego przepisu karane będzie odesłaniem do więzienia, albo do obozu pracy o "zaostrzonym reżymie". Dwa razy dziennie, o godzinie szóstej rano i dziesiątej wieczorem odbywać się będzie "prowierka", czyli sprawdzanie obecności. W tym czasie wszyscy zobowiązani są przebywać w swoich pomieszczeniach. Od poniedziałku - a była to sobota - wszyscy rozpocząć mają pracę. Od obowiązku pracy zwolnione są tylko osoby w wieku ponad 65 lat - mężczyźni i ponad 60 lat - kobiety oraz matki z dziećmi poniżej siedmiu lat. Kobiety, które mają dzieci starsze niż siedem lat zobowiązane są do pracy, a dziećmi opiekować się będą te kobiety, które są z pracy zwolnione. Dla młodzieży praca obowiązuje od lat piętnastu.

Praca jest tylko jedna - przy wyrębie lasu. Wykonywać ją mamy w grupach, czyli brygadach po 10-12 osób. Brygady składać się będą z mężczyzn, do których obowiązku należeć będzie powalanie, piłowanie, oczyszczanie z gałęzi i rąbanie drewna na szczapy oraz z kobiet, które będą układać szczapy w sągi i zbierać na kupy, a potem spalać gałęzie.

To spalanie gałęzi zabrzmiało dość zabawnie w uszach ludzi nie znających języka rosyjskiego, bowiem zwrot "srzygać suczki" wypowiedziany szybko brzmiał jak "rzygać suczki". Ale jakiś mężczyzna, który od początku podjął się tłumaczyć przemówienie komendanta, słysząc szmer wśród ludzi wyjaśnił o co chodziło.

Komendant zapowiedział potem, że podział na brygady nastąpi w ciągu niedzieli, a później wyznaczeni zostaną brygadzisci.

Praca jest akordowa. Norma na jednego "lesoruba", czyli drwala wynosi 4,4 metra sześciennego drewna, które należy najpierw powalić, a potem oczyścić z gałęzi, popiłować na odcinki po 1,25 m i porąbać na szczapy o średnicy nie większej niż 12 cm. Następnie drewno należy ułożyć w sągi, teren oczyścić, a gałęzie spalić.

Za wykonaną pracę otrzymywać będziemy wynagrodzenie, a za zarobione i tylko za zarobione pieniądze będzie kupować towary w sklepie.



Poza tym każdy będzie mógł wykupić swój przydział chleba i raz dziennie skorzystać ze stołówki, gdzie nabyć będzie można obiad. Przydział chleba wynosi dla wykonujących normę sześćdziesiąt deko, dla t.zw. "stachanowców", czyli przekraczających normę - osiemdziesiąt deko, a dla nie wykonujących normy i zwolnionych z pracy - czterdzieści deko dziennie.

Do pracy wychodzić będziemy o godzinie siódmej, grupami, sprzed kantoru. Spóźnienia będą karane. Pracą kierować będzie majster nazwiskiem Pozdiejew i jego pomocnicy, dziesiętnicy - Winogradow i Morozow.

- Resztę powie majster - zakończył komendant.

Z za jego pleców wysunął się niewysoki, rudy i nieco zezowaty mężczyzna, przez chwile stał milczaco, a potem powiedział:

- Co tu mówić? Mówić nie ma o czym. Jutro niech wszyscy pobiorą w kantorze narzędzia, a w poniedziałek o siódmej rano do roboty, Każda brygada dostanie swój "uczastek", czyli miejsce wyrębu i zobaczymy jak was w tej pańskiej Polsce pracować nauczyli.

Powiedziawszy to odwrócił się i znikł znowu za plecami komendanta. Ten zaś wskazał jeszcze na stojących na uboczu dwóch mężczyzn i rzekł:

- A to są właśnie dziesiętnicy. Wysoki to Winogradow, a niski Morozow.

Przez moment zastanawiał się czy wszystko już zostało powiedziane, a potem, trochę się ociągając zapytał:

- Pytania są?

Kilkaście sekund trwała martwa cisza. Ludzie jeszcze nie zdążyli przetrwać wszystkiego, co usłyszeli. A potem odezwał się Frydman. To, co powiedział komendant było tak bardzo sprzeczne z tym co twierdził jeszcze w czasie marszu, że postanowił widocznie podjąć próbę dyskusji.

Zbliżył się więc do ganku i dość cicho rzekł:

- Nie wiem, czy towarzyszu lejtnant jest zorientowany... zaczął, lecz przerwał mu gniewny głos komendanta:

- Nie jestem dla was żadnym towarzyszem! Proszę się do mnie zwracać "obywatelu starszy lejtnancie", albo "obywatelu komendancie" - dodał już nieco spokojniej.

Frydman zrobił się czerwony jak burak. Widać było, że z trudem panował nad sobą. Napewno miał ochotę wygarnąć temu młokosowi, który zabronił mu nazywać siebie towarzyszem, że on działał w partii komunistycznej, gdy tamten jeszcze chodził na czworakach i że wiele lat przesiedział za to w więzieniach. Ale opanował się jakoś i zaczął ponownie, tym razem już nie zwracając się bezpośrednio do komendanta:

- Chciałem tylko zauważyć, że wśród ludzi, którzy się tu znaleźli nie ma zupełnie, albo niemal zupełnie takich, którzy kiedykolwiek w życiu pracowali w lesie. To też pociechy wielkiej z naszej pracy nie będzie. Jest tu natomiast wiele osób z wysokim wykształceniem i napewno też dobrych rzemieślników. Myślę, że byłoby z pożytkiem i dla nas i dla państwa, gdyby można było

pomyśleć o zorganizowaniu jakiejś bardziej wykwalifikowanej pracy.

Komendanta zatkało. Dla niego już samo wysunięcie takiej myśli było herezją, a pomysł - rzeczywiście nierealny - musiał mu zabrzmieć jak kompletna abstrakcja.

Wreszcie wybuchnął:

- Co, nie podoba się wam, burzujom, że trzeba będzie trochę samemu popracować, zamiast żyć z czyjejs pracy? Tu nam inteligentów - wymówił to słowo z niemal pogardą - nie potrzeba. Tu was przystali żebyście się nauczyli ucziwie pracować. I my was nauczymy pracować! Radzę się tylko szybko przyzwyczajać, bo u nas wiecie jak się mówi? Mówi się tak: "przywykniesz - żyć będziesz, a nie przywykniesz - zdechniesz! - zakończył, po czym odwrócił się i zniknął w drzwiach komendantury, dając do zrozumienia, że pierwsze spotkanie z podopiecznymi uważa za zakończone.

Frydman stał jeszcze przez chwilę blady i mocno poruszony. Potem odwrócił się i ze spuszczoną głową odszedł. Wszyscy inni też zaczęli się rozchodzić.

## Trzeba się przyzwyczajać

To, co usłyszeliśmy nie przyprawiło nas o dobre humory. Właściwie nie spodziewaliśmy się niczego innego, ale brutalne zakończenie komendanta sprawiło, że opanował nas dość ponury nastrój.

Pierwsza opanowała się moja matka.

- No cóż - powiedziała - zacznijmy się przyzwyczajać. My z Idą zabierzemy się do wyparzania pluskiew, a wy - zwróciła się do Michała i do mnie - sklećcie jakieś prycze do spania, no i może jakiś stół i stołki, żeby było na czym siedzieć.

Reszta dnia upłynęła nam na tej robocie. Z wyciętych w lesie żerdzi zbiliśmy dwie szerokie prycze i coś, co przypominało przymocowany z jednej strony do sciany, a z drugiej podparty dwiema nogami stół. Z pnia grubej sosny upiłowaliśmy z wielkim trudem cztery pieńki - stołki. Z braku sienników pokryliśmy prycze suchym mchem i narwaną w pobliżu trawą.

Gorzej szło kobietom, bo okazało się, że rozpalenie ognia przy pomocy świeżo spiłowanej sosny było niemożliwe. Dopiero nazbierany suchy chrust pozwolił ożywić ogromne palenisko pieca, nagrzać wody i sparzyć wszystkie sciany i podłogę.

W nieco lepszym nastroju, zadowoleni z dokonanego dzieła, położyliśmy się spać.

Ledwie zdążyliśmy jednak zasnąć, gdy przebudziło nas łomotanie do zamkniętych na haczyk drzwi. Nieco wystraszony zbliżyłem się do drzwi i zapytałem - kto tam?

- Prowierka, otwierać!

Do izby wszedł komendant z jeszcze jednym, niosącym stajenną lampę NKWD-zistą. W świetle tej lampy zaczął komendant mozolnie odczytywać nasze nazwiska. Przekonawszy się, że wszyscy byli obecni, poinformował nas jeszcze, że matka i ja należymy do brygady siódmej, a Szwarctuchowie do brygady dziesiątej. Uprzedzili, że następną kontrola odbędzie się o szóstej rano i poszli.

Probowałismy zasnąć ponownie, ale nie było to takie proste. Bardzo szybko okazało się bowiem, że parzenie scian i podłogi nie na wiele się zdało. Armia wygłodzonych pluskiew rozpoczęła ofensywę natychmiast po wyjściu komendanta.

Nie mogąc zasnąć zastanawialiśmy się długo, co jeszcze można przedsięwziąć żeby pozbyć się pasożytów. Matka twierdziła, że napełnienie izby dymem może być skuteczne. Szwarctuch wpadł na pomysł żeby nogi prycz wstawić do naczyń z wodą, by pluskwy nie mogły się po nich wspinać, a Ida twierdziła, że trzeba wymienić mech, którym uszczelnione były sciany chaty, bo w nim - jej zdaniem - właśnie trzymały się pluskwy.

Ja tymczasem zacząłem dla ochrony ciała ponownie się ubierać.

Wciągnąłem więc skarpetki i do nich wpuściłem nogawki piżamy. Na głowie zawiązałem chustkę matki, której końce wsunąłem pod



kołnier. Wreszcie na ręce naciągnęłam inne skarpetki i wetknęłam w nie rękawy bluzy piżamy.

Reszta śmiała się z tych moich przygotowań do snu, ale po półgodzinnych nieudanych próbach zaśnięcia, wszyscy poszli w moje ślady.

Zeby już do sprawy pluskiew nie powracać, wypada zaznaczyć, że wojnę z nimi toczyliśmy jeszcze długo. Bezskuteczne okazało się wstawianie nóg naszych prycz do naczyń z wodą, bo pluskwy radziły sobie doskonale, robiąc "desanty" z sufitu. Trochę skuteczniejsze okazało się wydlubanie z pomiędzy belek starego mchu i ponowne sparzenie ścian.

Ale naprawdę skuteczne *stało się* dopiero kadzenie izby, a właściwie obu izb naszego domku równocześnie dymem powstałym ze spalania wskazanej nam przez Rosjanina - listonosza rośliny.

Musieliśmy w tym celu wynieść się na tydzień ( za zgodą komendanta) do innego domku, bo dym był potwornie gryzący. Ale to miało miejsce w jakiś miesiąc po przybyciu. Miesiąc ten dał się nam porządnie we znaki, bo zmaltretowani ciężką pracą i gryzącymi nas w jej czasie małymi muszkami nie mogliśmy porządnie wypocząć w nocy.

W każdym razie długo jeszcze staranne ubieranie się, zamiast normalnego rozbierania do snu, było rytuałem.

Później dowiedzieliśmy się, że - o dziwo - nie wszystkie domki dotknięte były plagą pluskiew.

Poranna kontrola zastała nas już przygotowujących się do wyjścia do pracy. Wkrótce staliśmy już wśród tłumu takich jak my przed kantorem, w oczekiwaniu na wymarsz do lasu.

Dziwny to był tłum. Bez wątpienia dla ogromnej większości zgromadzonych miał ten dzień być debiutem w pracy fizycznej. Nikt, albo prawie nikt nie miał odpowiedniej odzieży. Dlatego też zgromadzeni wyglądali raczej na niedzielnych wycieczkowiczów, oczekujących gdzieś na przystani na mający ich zawieźć na wycieczkę statek, niż na przyszłych drwali.

Słoneczna, letnia pogoda skłoniła kobiety do ubrania lekkich, kolorowych sukienek. Mężczyźni odziani byli w większości w letnie koszulki bez rękawów, a dolne części ciała przykrywały albo długie spodnie, albo modne w latach przedwojennych t.zw "pumpki", albo też zgoła szorty. Niemal wszyscy nieśli pakuneczki z resztą otrzymanej poprzedniego dnia racji chleba.

Jedynym atrybutem różniącym nas od niedzielnych wycieczkowiczów były narzędzia, które prawie wszyscy pobrali dzień wcześniej w kantorze.

Narzędziom tym należy się parę oddzielnych słów. Otóż dowiedzieliśmy się później, że posesłek nasz nosił dumną nazwę "Zmechanizowanego Punktu Wyrębu Lasu". Przymiotnik "zmechanizowany" usprawiedliwiał poniekąd fakt, że w myśl klasycznych pojęć również piła jest mechanizmem. W każdym razie wszystkie narzędzia, przy pomocy których mieliśmy wszcząć naszą batalię z syberyjskim lasem należały do mechanizmów najprostszych, poruszanych wyłącznie siłą ludzkich mięśni.

Były to więc piły t.zw. poprzeczne, do obsługi których potrzebne były dwie osoby i piły ramowe, obsługiwane przez pojedynczego drwala. Siekiery reprezentowane były także przez dwa typy: duże, ciężkie, osadzone na długich prostych trzonkach, t.zw. "kołuny" i mniejsze, lżejsze, o dużo szerszym ostrzu toporki. Poza tymi dwoma podstawowymi "mechanizmami", wyposażenie nasze składało się już tylko z metalowych klinów i wielkich drewnianych młotów, zwanych przez miejscowych "kołotuszkami". Były to po prostu wycięte z pni brzozy ciężkie walce z trzonkiem do trzymania, które jak się okazało służyć miały do wbijania klinów. Zaraz na wstępie okazało się nota bene, że tych ciężkich młotów nikt z magazynu nie wziął, to też majster Pozdiejew nakazał po uformowaniu brygad, by każda z nich wyposażyła się w co najmniej dwa takie narzędzia.

Co zdecydowało o wyborze brygadzystów trudno powiedzieć. W każdym razie wiek był tu chyba ważnym elementem, bo w miarę jak Pozdiejew wyczytywał brygadzystów, zorientowałem się, że byli to ludzie w wieku 25-30 lat.

Wyczytani brygadziści pokazywali się kolejno na ganku, by ludzie należący do ich brygad mogli ich poznać, a potem odchodzili na bok, a wyczytywani skolei członkowie brygady dołączali do nich.

Niektórzy nie stawili się na zbiórce i ich nazwiska zapisywał skrzętnie komendant.

Nasza brygada składała się z dwunastu osób, osmiu mężczyzn i czterech kobiet. Ze znanych nam już z podróży osób w brygadzie znaleźli się: Aleksiejewiczowie, Kazio, mademoiselle i Fabianowie. Brygadzystą okazał się być młody, niewysoki człowiek o bardzo sympatycznej powierzchowności, który przedstawił się nam jako Zygmunt Hauptman. Poza nim w naszej małej grupce znaleźli się młodzi, bardzo do siebie podobni ludzie, jak się okazało - bracia, a tak że starszy, wysoki, szczupły pan w binoklach.

Cała procedura z formowaniem się brygad, a potem jeszcze wydawaniem dodatkowych narzędzi trwała dość długo. W międzyczasie komendant zdarzył raz jeszcze uprzedzić o konsekwencjach czekających tych, którzy chcieliby oddalić się od grupy, nakazał by marsz do lasu na odcinki i spowrotem odbywał się brygadami i zapowiedział, że posilek gotowany i chleb otrzymamy po powrocie z pracy. Powiedział też, że tych, którzy nie stawili się na zbiórce ukarze, a praca i tak ich nie ominie.

Majster zapowiedział, że teraz rozprowadzą nas na odcinki poszczególnych brygad, a tam brygadziści pouczą nas co i jak mamy robić.

I wreszcie ruszyliśmy. Wąż składający się z około 200-250 osób rozciągnął się na kilkaset metrów, bo ścieżka, którą posuwaliśmy się była wąska i nie pozwalała nawet na marsz parami.

Przebyliśmy najpierw po drewnianej kładce rzekę, przy czym miałem okazję z zadowoleniem stwierdzić, że woda w niej była krystalicznie czysta. Zaraz za rzeką wkroczyliśmy do lasu. Ścieżka prowadziła przecinką wśród smukłych, wysokich sosen, poprzątkanych gdzieś brzożami. W porównaniu z iglastymi lasami w Polsce,

poszycie było tu o wiele bujniejsze. Widać było, że las nie był od dawna eksploatowany, bo wiele wywróconych widocznie przez burze drzew leżało bezładnie wszędzie.

Znane nam już dobrze muszki zaczęły dokuczać już w czasie marszu, ale nie tak mocno, jak przed dwoma dniami, w drodze na posiołek.

Po mniej więcej trzech kwadransach marszu zatrzymaliśmy się i jeden z brygadzystów odprowadził gdzieś w bok od drogi pierwszą brygadę. Następne zajmowały odcinki oddalone jeden od drugiego o jakieś dwieście metrów.

W końcu przyszła kolej i na naszą brygadę. Odeszliśmy kilkadziesiąt metrów od przecinki i na niewielkiej polance brygadzysta powiedział, że tu będzie nasz odcinek. Na pytanie co mamy robić odparł, żebyśmy czekali aż on lub majster przyjdą i powiedzą co i jak.

Rozłożyliśmy się wiec na trawie i zaczęło się wzajemne przedstawianie.

Z punktu widzenia poziomu wykształcenia brygada nasza prezentowała się imponująco. Przeważali w niej zdecydowanie prawnicy. Nasz brygadzysta Zygmunt był przed wojną aplikantem adwokackim. Adwokatem był też Bolek Fabian, a Aleksiejewicz, choć nie praktykował, miał również wykształcenie prawnicze.

Drugie miejsce zajmowali inżynierowie. Adam Zakrzewski był specjalistą od budowy portów i jednym z budowniczych portu w Gdyni. Starszy z braci Kunców, Marian był inżynierem elektrykiem. Jego młodszy brat Janek ukończył właśnie niedawno medycynę. Ja zdążyłem do wybuchu wojny ukończyć trzy klasy gimnazjum.

Jedynym człowiekiem, którego wykształcenie nie wybiegło poza kilka i to niewiele oddziałów szkoły powszechnej był Kazio. Ale właśnie jego umiejętności i doświadczenie były czynnikiem, który pozwalał nam z jako taką nadzieją patrzeć w przyszłość.

Jeśli chodzi o nasze panie, to poza mademoiselle, żadna z nich nigdy nie pracowała. Były one wszystkie klasycznymi reprezentantkami kobiet z zamożnego, mieszczańskiego środowiska.

Wzajemne zapoznanie poszło bardzo szybko. Czekaliśmy nadal na brygadzystę. Muszki nie atakowały zbyt zajadle, słońce grzało, a otoczenie, to znaczy polana, a nawet potężny las nie wyglądały groźnie, ale przeciwnie - sprawiały wręcz sielankowe wrażenie.

To też rozmowy toczyły się wartko, a humory wcale nie były złe. Sielankę przerywało pojawienie się dziesiętnika. Na szczęście był nim najsympatyczniejszy wyglądający Winogradow.

Na wstępie zapytał, czy ktoś z nas już kiedyś pracował w lesie. Jeden przez drugiego wołaliśmy, że nie, a Kazio, który nie rozumiał ani w ząb po rosyjsku nie odpowiadał nic.

Winogradow patrzył na nas, drapiąc się w głowę, jakby zastanawiał się od czego by tu zacząć.

Zygmunt - brygadzysta doszedł widocznie do wniosku, że dziesiętnik nabierze szacunku do naszej grupy, gdy dowie się, jakie zawody jej członkowie reprezentują, to też powiedział:



- Niestety uczyliśmy się innych zawodów. Ja na przykład jestem prawnikiem. Ci dwaj - tu zawałał się jakiego słowa użyć - obywatele - wybrnął - także. A ci dwaj są inżynierami. A ten obywatel jest lekarzem. A kobiety były przed wojną gospodyniami domowymi i zawodowo nie pracowały. O kwalifikacjach Kazia chyba rozmyślnie nie wspomniał.

Winogradow słuchał, kiwając potakująco głową, poczem zaklął: Kurwa ich mać, ale robotników przysłałi! A co to jest chociaż wiecie - zapytał z politowaniem, biorąc do ręki jeden z leżących na trawie toporów

- Co to jest to my wiemy, ale jak się tego używa, nie mamy pojęcia - wtracił Aleksiejewicz - A poza tym nie wszyscy mają zdrowie do takiej roboty. Ja na przykład jestem ciężko chory na serce.

- A ty się nie boj. Tu w lesie wyzdrowiejesz ze wszystkich chorób - roześmiał się Winogradow. - No dobra - spoważniał - zaraz wam pokaże jak się drzewo kładzie. Biercie narzędzia i za mną!

Na brzegu polany wskazał nam kierunek wyrębu. Potem wybrał jedną z sosen i wziął do ręki piłę poprzeczną. Do jej obsługi potrzebne były dwie osoby.

- No który tam się złapie? - zapytał spoglądając na nas wyraźnie ironicznie.

Pierwszy poderwał się Kazio. Ujął piłę za drugi koniec i po chwili stał dzwoniła dźwięcznie we wprawnych rękach brygadzysty i Kazia. Ostrze zagłębiało się nieco skośnie w pień sosny.

Po kilku minutach nieprzerwanej pracy Winogradow uznał, że nacięcie było dość głębokie. Przerwał piłowanie, rozprostował się, spojrzawszy ze zdziwieniem na Kazia i powiedział:

- No, no, może z was coś i będzie.

- Ładna historia - mruknął Aleksiejewicz - Teraz on sobie pomyśli, że my tylko tak bajdurzymy, a naprawdę to całe życie nic innego nie robiliśmy, tylko piłowaliśmy drzewo.

Ale Winogradow nie miał czasu na rozmyślanie. Pewnie wydawało mu się poza tym zupełnie normalną rzeczą, że dorosły mężczyzna umie posługiwać się piłą. Zaczął więc swój instruktaż:

- Żeby położyć drzewo tak, jak się chce, trzeba najpierw zrobić piłą ukośne nacięcie, o tak, jak myślimy tu zrobili. Potem toporem trzeba wyrąbać klin do tego nacięcia żeby osłabić pień. Nacięcie i klin mają być z tej strony, w którą drzewo ma upaść.

A tak się wycina klin, zakończył, poczem wziął do ręki jeden z toporów, spletnął w garść i zabrał się do rąbania. Ale wnet spostrzegł, że topór był zupełnie tępy. Wziął więc inny, ale z tym samym rezultatem.

- Job waszu mać - zaklął - z takimi narzędziami daleko nie zajedziesz. Czemuście toporów nie naostrzyli? - zapytał bezosobowo, ale zdając sobie widocznie sprawę z naszej całkowitej niekompetencji, dodał - Za kantorem jest ostrzałka. Żeby mi na jutro wszystkie topory były naostrzone!

W przyszłości przekonaliśmy się sami, jak wiele w lesie zależy od dobrze wyostrzonych narzędzi, to też nie trzeba było nikogo do ich ostrzenia naganiać. Wśród młodzieży stał się nawet ostry toporek, osadzony na zgrabnym, fikuśnie wygiętym trzonku przedmiotem dumy.

Winogradow uporał się wreszcie z wyrąbaniem klina. Co chwila spoglądał na wierzchołek sosny, która powinna była się widocznie przewrócić. Ale ta uparcie stała pionowo i ani myślała się kłaskać.

- Wiatr dmucha w drugą stronę - powiedział Winogradow ni to do siebie, ni to do nas - Jak wiatr przeszkadza, to trzeba popchnąć żerdzia.

Rozejrzał się, wybrał młodą, w pobliżu stojącą brzozę, zrąbał ją i oczyścił z gałęzi, ale na końcu pozostawił dwie rozwidlone gałęzie nie ścięte do końca, tak, że tworzyły widełki.

Potem wparł żerdź w pień sosny, kazał nam się odsunąć i z moją i jeszcze czyjąś pomocą zaczął pchać pień.

I istotnie, bodziec poskutkował. Najpierw wierzchołek sosny zachwiał się lekko, a potem, gdy nacisnęliśmy żerdź jeszcze silniej, dał się słyszeć głośny trzask i drzewo najpierw wolno, a potem coraz szybciej zaczęło się przechylać w stronę, po której Winogradow zrobił klinowe nacięcie. Po kilku sekundach, łamiąc po drodze sporo gałęzi sąsiednich drzew, sosna gruchnęła o ziemię. Podcięty pień odłamał się od korzeni i podskoczył na wysokość głowy ludzkiej.

- O, widzicie? trzeba się trzymać z daleka, bo może pogłaskać tak, że się ze śmiechu nie pozbierasz - zażartował Winogradow. A mnie i chyba nie tylko mnie zrobiło się jakoś nieswojo. Było to pierwsze powalone drzewo, którego końca byłem świadkiem. I zrobiło mi się nagle żal tej przed chwilą stojącej, smukłej, dumnie stojącej sosny, która teraz leżała przed nami z połamanymi gałęziami, tak nie podobna do drzewa oglądanego w pozycji pionowej. To uczucie żalu powracało później jeszcze nie raz, a czasem, gdy byłem świadkiem, jak niektóre drzewa nie chciały się dać położyć tak, jak tego sobie życzyli drwale, odczuwałem coś w rodzaju nieco irracjonalnej sympatii i solidarności z nimi. Jeszcze i dzisiaj, po wielu latach, gdy napatrzyłem się na wiele cierpień istot bardziej od drzew czujących, doznaję zawsze uczucia żalu, gdy patrzę na ścięte pnie drzew.

Ale wróćmy do tematu.

Winogradow uznał widocznie naszą edukację za zakończoną. Przypomniawszy, że pnie należy popiłować na odcinki po 1,25 m i porąbać na szczapy, następnie ustawić w sęgi, a gałęzie trzeba spalać. Ognisko rozpałać z dala od drzew. Zapowiedział też, że odbiór wykonanej - jak się wyraził - produkcji odbywać się będzie raz w tygodniu i że od naszej wydajności zależą zarobki i przydziały żywności. Potem zabrał się i poszedł do następnych brygad.

Zrobiło się w międzyczasie południe i wszystkim zachciało się jeść. Siedliśmy więc w kółko i każdy wyciągnął swoje zapasy.

Pierwszy odezwał się Zygmunt, który jako brygadzysta poczuł się widocznie odpowiedzialny za naszą grupkę.

- No cóż, czy nam się to podoba, czy nie, a do pracy musimy się zabrać. Mamy zdaje się wielkie szczęście, że znalazł się tu wśród nas pan Kazio, bo bez niego napewno niewiele byśmy zwojowali. Tak, tak - zwrócił się do Kazia, który po jego pierwszych słowach skrzywił się i wzruszył ramionami - pan się na tej robocie napewno zna o wiele lepiej niż ktokolwiek z nas pozostałych.

- E tam, taka sama robota, jak każda inna - stwierdził skromnie Kazio.

- O nie - zaproponował Aleksiejewicz - napewno dużo trudniejsza! Ja już w moim długim życiu robiłem różne rzeczy, ale nigdy czegoś tak trudnego.

- Ale nam niestety nie pozostaje nic innego jak, w myśl wczorajszej rady komendanta - przyzwyczajając się - kontynuował Zygmunt. A żeby to jakoś sprawnie szło, chcę zaproponować podział pracy w brygadzie.

Może zrobimy tak, że pan Kazio i ja będziemy kłaść drzewa. Pan Janek i pan Marian Kućowie jako jedna para, A pan Fabian z Julkiem jako druga będą je na zmianę ogałać z gałęzi i pilować, względnie rąbać na szczapy. Panowie Aleksiejewicz i Zakrzewski będą drewno ustawiać w sągi, a do pań należeć będzie czyszczenie terenu i palenie gałęzi.

Co państwo powiecie na taki podział pracy?

Wszystkim z wyjątkiem Zakrzewskiego propozycja Zygmunta spodobała się. Zakrzewski, może dlatego, że odezwała się w nim inżynierska dusza, a może dlatego, że nie chciał być traktowany jak starszy pan, powiedział:

- Przy takim ustawieniu my z panem Aleksiejewiczem nie zawsze mielibyśmy co robić. Dlatego myślę, że i my także możemy zająć się pilowaniem.

- Słusznie - pośpieszył mu w sukurs Aleksiejewicz - ja co prawda mam wadę serca, ale w miarę możliwości będę się starał pracować jak inni.

- Ty mi nie udawaj bohatera - oburzyła się jego żona - tu nie ma na zawołanie lekarzy, jak w Krakowie.

- Przypadkiem lekarz jest - zaśmiał się Janek Kunc - Ja jestem lekarzem, ale bez leków i prawa praktyki tutaj. Ale pani ma absolutną rację. Z sercem nie ma żartów.

- Ja myślę, że tego podziału nie ma co brać tak dosłownie - zażegnał Zygmunt - Każdy będzie robił to, na co go będzie stać. W myśl obowiązującej w tym kraju zasady: "od każdego według jego możliwości..." - zażartował.

- Proszę państwa, jeszcze tylko jedna drobna rzecz wtrącił Aleksiejewicz. - Jako najstarszy chyba wiekiem w tej gromadce chcę zaproponować żebyśmy wszyscy zaczęli do siebie mówić per "ty". Już okoliczności, w których się znaleźliśmy bardzo nas do siebie zbliżyły, a to, co proponuję zbliży nas jeszcze bardziej.

Wszyscy pokiwali głowami, chociaż niejednemu napewno wydawało się to odstępstwo od starego przyzwyczajenia trudne do wykonania. Okazac



się miało, że początkowo było to rzeczywiście nie łatwe, ale stopniowo wszyscy się do tej formy przyzwyczaili.

- No to co, spróbujemy, co potrafimy? - powiedział Fabian. - Żal mi co prawda rąk. Po pile, to pewnie już tylko na basie potrafię grać, a nie na skrzypcach. Ale nie ma rady. Brygadzisto, co robimy?

- Ja myślę, że dzisiaj, dla wprawy, ograniczymy się do pocięcia i porąbania tej ściętej sosny. A dla pań narazie nie ma roboty, to niech odpoczną.

- To może my spróbujemy tymczasem nazbierać jagód dla wszystkich zaproponowała moja matka, która już po drodze zauważyła, że w lesie było ich bardzo dużo.

- Brawo! No to do roboty - powiedział Zygmunt i wszyscy podnieśli się.

Trzeba było najpierw poodrębywać gałęzie. Już po chwili okazało się, że i to nie jest proste. Jedynie Kazio potrafił odciąć gałąź tuż przy pniu i od jednego, lub kilku zamachów. W rękach pozostałych toporki lądowały najczęściej za każdym razem w innych miejscach i tylko drzazgi fruwały na wszystkie strony.

Wkrótce jednak z gałęziami uporaliśmy się i odmierzywszy na pniu odcinki po jeden i ćwierć metra, zabraliśmy się do piłowania. Tu natrafiliśmy na nową trudność w postaci zaklinowywania się pił po przecięciu większej części pnia. Dopiero po długim czasie nauczyliśmy się tak wykorzystywać gałęzie, na których leżały pnie, by służyły one za "kozły" przy piłowaniu i pozwalały zapobiegać zaklinowaniu się pił.

Wreszcie jednak sosna była popiłowana. Cała to praca trwała może nieco ponad godzinę, ale dla nienawykłych do wysiłku fizycznego mieszczuchów piłowanie w schylonej pozycji było tak męczące, że pot spływał z nas ciurkiem, a wyprostowanie się sprawiało nawet mnie, młodemu nieznośny ból. Również nasze wydelikaczone dłonie ucierpały mocno. Wystarczyła godzina piłowania, by pokryły się one wodnistymi bąblami.

A trzeba się było zabrać do rąbania kłoców. Właśnie jednak wróciły nasze panie, przynosząc w czym się dało masę czarnych jagód.

To podniosło nas bardzo na duchu, bo i pić się chciało okropnie, a wody w pobliżu nie było widać i perspektywa dożywiania się jagodami była przyjemna. A w dodatku panie przyniosły trochę poźeczek i opowiedziały, że jest ich w lesie masa, ale jeszcze nie zupełnie dojrzały.

Potem już do końca lata stało się tradycją, że żeńskie członkinie naszej i innych brygad zaopatrywały swoich "lesorubów" w płody leśne.

Sprawa z rąbaniem okazała się nie taka prosta, jak z piłowaniem.

Rozrąbanie długiej, na ponad metr kłody od jednego uderzenia było oczywiście niemożliwe. Jak się później przekonaliśmy - udawało się to czasem zimą, gdy drewno było przemarznięte, najbardziej wprawnym drwalom. Teraz jednak podzielenie kłody na szczapy o średnicy nie większej niż dwanaście centymetrów było dla nas

problemem nielada.

Długo, długo męczyliśmy drewno i siebie ciężkimi siekierami - kołunami i klinami, które wbijało się ogromnymi, opisanymi wcześniej drewnianymi młotami.

Kiedy od strony przecinki zawołano żeby zbierać narzędzia, bo wracamy na posiołek, podsumowaliśmy rezultaty pierwszego dnia naszych zmagañ z lasem. Były one żałosne. Norma na jednego "lesoruba" wynosiła 4,4 metra sześciennego. Było nas w brygadzie ośmiu, to też nasz dzienny urobek powinien wynieść ponad 35 metrów drewna w sągach. Tymczasem - jak obliczył Zakrzewski - "załatwiona" przez nas w ciągu połowy normalnego dnia pracy sosna liczyła grubo poniżej jednego metra.

- Hm, jeśli jedzenie będą racjonować proporcjonalnie do wykonania normy, to marne nasze widoki - rzekł po przedstawieniu nam swoich obliczeń.

- Ciekawym, jak tam inne brygady sobie radzą- powiedział Aleksiejewicz - Zaraz zasięgnę języka.

Okazało się oczywiście, że wszystkim szła nowa praca jednakowo opornie. Ludzie wracali źli, umęczeni i milczący. W dodatku my mieliśmy szczęście jeśli chodzi o odcinek. Nasz leżał bowiem na wzniesieniu, na suchym gruncie, gdzie muszki i komary tylko minimalnie dokuczały. Ci, którzy należeli do dalej rozmieszczonych brygad trafili na teren podmokły, gdzie chmary dokuczliwych owadów dawały im się we znaki cały dzień. Rezultatem były pęcznięte i porozdrapywane nogi, ręce i szyje. Było to o wiele gorsze niż bóle od zginania plecy i bąble na rekach, które zresztą były również i ich udziałem.

Po przekroczeniu kładki na rzece kolumnę zatrzymano, a czekający już tam komendant nakazał, by do stołówki zjawiać się w kolejności brygad. Równocześnie obsługiwane miały być po cztery brygady.

Posiłek składał się z zupy kartoflanej i kaszy na gęsto, omaszczonej oliwą. Szczególnie to drugie danie było w smaku podłe, ale wygłodzonym całodzienną pracą na wolnym powietrzu ludziom smakowało ono jak najlepszy rarytas. Chociaż byli i tacy, którzy - zanim zabrali się do kaszy - skrzętnie odlali pływającą po wierzchu oliwę.

Po posiłku poczekaliśmy na Szwarctuchów i razem poszliśmy do sklepu po przydział chleba.

Widocznie dla zachęty otrzymaliśmy go po sześćdziesiąt deko, to jest tyle, ile przysługiwało wykonującym normę. Poza chlebem w "sklepie" można było nabyć jedynie wiadra, miednice, żeliwne garnki i lampy naftowe. Na spółkę, za resztę zabranych ze Lwowa rubli, wyposażyliśmy nasze gospodarstwo w te przedmioty.

Tak zakończył się pierwszy dzień naszego "przywykania".

## Nasza mała społeczność

Nikt się niestety niepotrudził żeby sporządzić jakąś statystykę "ludności" naszego osiedla, a pewnie także i innych podobnych. A szkoda. Było to bowiem niezwykle ciekawe zbiorowisko ludzkie.

Dziś, po wielu latach można jedynie w najogólniejszych zarysach odtworzyć socjo-demograficzny skład tej zróżnicowanej grupy.

Ogółem na osiedle przyjechało około 590 osób. Niemal wszyscy zamieszkiwali przed wojną w centralnej lub zachodniej Polsce.

Ponieważ tymi, którzy głównie uciekali przed następującymi we wrześniu 1939 roku Niemcami byli Żydzi, oni to właśnie stanowili największą grupę uciekinierów, czyli "bieżenców", deportowanych w naszym rzucie z t.zw. Zachodniej Ukrainy i Białorusi.

Taka też była proporcja narodowościowa mieszkańców Korostielówki. Około 70% stanowiły osoby narodowości żydowskiej, lub takie, które uważały, że są ludźmi narodowości polskiej, pochodzenia żydowskiego. Reszta to byli Polacy. Później okazało się, że znalazły się wśród nas również osoby posiadające obywatelstwo USA, brytyjskie i szwajcarskie. Po pewnym czasie trzy rodziny - w tym nawet jedna żydowska zgłosiły, że są narodowości niemieckiej i chcą powrócić do Rzeszy.

Zróżnicowanie socjalne było ogromne, choć przeważali zdecydowanie inteligenci. Co najmniej 60-70% stanowili przedstawiciele t.zw. wolnych zawodów i ich rodziny. Byli wśród nas profesorowie i wykładowcy uniwersytetów, było wielu prawników i inżynierów, byli lekarze i ludzie z wykształceniem humanistycznym.

Sporą grupę stanowili kupcy wszelkiego kalibru, poczynając od właścicieli sklepów, a kończąc na wielkich hurtownikach. Byli przemysłowcy i rzemieślnicy. Nie było natomiast niemal zupełnie robotników i rolników.

Z barwniejszych postaci wymienić warto śpiewaczkę, która niegdyś była nawet primadonną opery w jednej z europejskich stolic, znanego malarza i utalentowanego muzyka. Zdziwiająco licznie był także reprezentowany półświatek.

Mieliśmy więc pana, który chwalił się, że w okolicy warszawskiego "Kiercelaka" prowadził najlepszą szkołę dla doliniarzy, czyli złodziei kieszonek i mającego za sobą wiele wyroków kasiarza. Inną "branżę" reprezentowała rodzina, składająca się z ojca, siedmiu synów i córek. Rodzina ta miała przed wojną monopol na konne dołóżki w jednym z miast lubelszczyzny. Ubocznym niejako zajęciem rodziny, choć związanym z głównym zawodem było koniokradytwa. Jeden z naszych współtowarzyszy niedoli - adwokat z Lublina opowiadał, że on sam występował w sądach, broniąc członków tej rodziny przed zarzutami koniokradytwa i nożownictwa ponad dwadzieścia razy.



Z nielicznymi wyjątkami nie wiem, jakie poglądy polityczne reprezentowali nasi posiołkowicze, bo byłem młody i problemy te mnie wówczas nie interesowały. Wiem tylko, że oprócz opisanych już Frydmanów, byli wśród nas inni jeszcze przekonani komuniści. Jeden z nich, fryzjer z zawodu wielokrotnie głośno podkreślał, że to przez tych podłych burżujów znaleźliśmy się w tej sytuacji. Do dziś zgłębić nie mogę - co miał na myśli.

Wyraźnie zaznaczał się natomiast podział na ludzi wierzących i praktykujących oraz pozostałych. W łatwiejszej sytuacji byli wierzący Żydzi, bowiem jednym z nas okazał się być rabin, starszy człowiek, który szybko, w tajemnicy przed komendanturą, zorganizował życie religijne.

Stosunkowo nieliczni wierzący katolicy nie mieli swego pasterza, ale rolę jego pełnił pewien starszy pan, u którego co niedziela zbierała się grupka wiernych, by wspólnie odprawiać modły.

Charakterystyczny jest fakt, że aczkolwiek o praktykach jednych i drugich wiedzieli niemal wszyscy zestańcy, sprawy te nigdy nie dotarły do przedstawicieli władzy.

Wszystko to jednak przyszło z czasem. Na początku ludzie mieli zupełnie inne kłopoty.

Łączenie mieszkanców we współlokatorskie grupy było całkowicie przypadkowe, a domków takich jak nasz z dwiema izbami było niewiele. Większość stanowiły domki z jedną, dużą izbą, w której ulokowano po kilka rodzin. Nie trudno zgadnąć, że konflikty nie dały na siebie w tej sytuacji długo czekać. Potęgował je nieszczęśliwy często dobór ludzi. Najczęściej dochodziło do starć na tle higieny osobistej i lokalowej, ale w sytuacji, gdy kilkanaście, a nawet ponad dwadzieścia osób stale przebywa we wspólnym pomieszczeniu, atmosfera bywa niemal stale napięta.

Potem, gdy ludzie się nawzajem poznali, wiele osób zwracało się do komendanta o zgodę na przeniesienie się do innego domku, ale zawsze prośby takie były odrzucane. Dlaczego - nie wiadomo. Pewnie dlatego, że niezbyt "gramotnego" komendanta wiele trudu kosztowało sporządzenie list, według których dwa razy na dobę odbywały się kontrole obecności. Nie chcąc sobie komplikować życia, wolał odrzucać prośby o przeniesienie.

Z czasem we wspólnych izbach powstały parawany, które najpierw osłaniały miejsce do mycia się, a potem pomiędzy legowiskami poszczególnych rodzin wyrosły przegrody z zawieszonych przescieradeł lub plecione z pałazek maty.

Pamiętam, że pierwsza wielka awantura współlokatorska wybuchła, gdy jedna z pan uznała, że inna pani myje się w taki sposób by ukazać swe wdzięki oczom jej męża. Awanturę zażegnano, ale...czy to poszkodowana wyrosła wilka z lasu, czy też owe odsłaniane wdzięki okazały się zbyt pociągające, dość, że po paru miesiącach doszło w obu małżeństwach do rozłamu i nastąpiła zmiana partnerów.

Oczywiście tego rodzaju warunki mieszkaniowe nie gwarantowały żadnej absolutnie intymności pożycia rodzinnego, a już tym bardziej małżeńskiego. A że długotrwały celibat był oczywiście niemożliwy,

przeto załatwiał się te sprawy za pomocą t.zw. romantycznych wycieczek do lasu wieczorową porą. Było to jednak możliwe tylko latem, a poza tym nie wszyscy przejmowali się specjalnie tym, że ich życie płciowe staje się w przepelnionym ludźmi pomieszczeniu udziałem ogółu. To też wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich.

Muszę tu wyznać, że i ja wystawiany byłem na męki słuchania dochodzących z pryczy naszych współlokatorów odgłosów życia małżeńskiego, aczkolwiek starali się oni załatwiać to jaknajciszej. Dla chłopca w moim wieku były te doznania potężnym impulsem pobudzania fantazji, to też nie raz spędziłem po takich przeżyciach wiele bezsennych godzin. Na szczęście Szwarctuchowie nigdy nie spostrzegli, że ja tylko udawałem że śpię.

Innym, częstym powodem sąsiedzkich awantur stały się paczki żywnościowe.

Już w pierwszym tygodniu pobytu na posiołku dowiedzieliśmy się, że raz w tygodniu pojawiać się ma u nas listonosz, który będzie przywozić i zabierać pocztę. Komendant poinformował też, że wolno nam otrzymywać paczki od ludzi, którzy pozostali we Lwowie.

Była to duża pociecha, bo racje chleba, które rychło zmniejszone zostały do czterdziestu deko i gotowana zupa z kaszą raz dziennie przy dużym, wywołanym pracą fizyczną i stałym przebywaniem na powietrzu apetycie, były racją głodową.

Oczywiście wszyscy napisali zaraz do krewnych i przyjaciół po pewnym czasie paczki z żywnością, nota bene niełatwą do zdobycia także we Lwowie zaczęły nadchodzić.

Nikt nigdy się nie dowie ile ich ginęło w całości. Ze ginęło wiele - orientowaliśmy się z listów. Niezależnie jednak od tych które nigdy nie docierały do rąk adresatów, kurczyły się gwałtownie i te, które dochodziły.

Odbywał się to w następujący sposób:

Po każdym pojawieniu się listonosza lotem błyskawicy rozchodziła się wieść dla kogo paczki nadeszły. Zaraz też zainteresowani ustawiali się w ogonku przed komendanturą.

Następnie pojawiał się komendant i zaczynała się "kontrola" zawartości paczek. Polegała ona na tym, że niektóre przedmioty, jak części odzierzy, puszki i torby z żywnością poprostu, bez słowa odstawiane były na bok. Na sprzeciwy i pytania dlaczego, komendant odpowiadał krótko "nie dozwoleno" i w dyskusje się nie wdawał. Gdy ktoś próbował jeszcze się przeciwstawić, komendant pytał:

- Chcesz żeby całą paczkę odesłać? - poczem adresat czym prędzej zabierał resztę i uciekał.

Działo się tak przez cały czas nadchodzenia paczek, to jest do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej i skargi, a nawet kolejne zmiany komendantów niczego nie zdołały zmienić. Napewno część "zarekwirowanych" przedmiotów trafiała do wyższych szczebli NKWD.

Oczywiście nie wszyscy dostawali paczki jednakowo często i o jednakowej zawartości. Byli tacy, których rodziny i przyjaciele zaopatrywali tak obficie, że mogli oni nawet pozwolić sobie na nie korzystanie z gotowych posiłków na stołówce. Wiele rodzin utworzyło



kuchenną wspólnotę i nadchodzące specjały spożywane były wspólnie. Byli jednak i tacy, którzy lubili zaopatrywać się z cudzych spiżarni bez wiedzy właścicieli. Sprzyjał temu brak jakichkolwiek zamkniętych mebli. Na tym tle dochodziło często do awantur.

Skoro już mowa o paczkach, wypada stwierdzić, że byli wśród nas i tacy, którzy potrafili i w tych warunkach robić interesy na potrzebujących bliźnich. Znane były na posiołku dwie rodziny u których zawsze można było nabyć mąkę, cukier i topione masło, płacąc za te wiktuały zegarkami, pierścionkami i innymi wartościowymi rzeczami.

Ale powróćmy do pierwszych dni na posiołku.

Początkowo jedynym rodzajem pracy był wyrąb lasu. Tylko bardzo nielicznym szczęśliwcom udało się trafić do pracy w piekarni i na stołówce. Ci byli przedmiotem ogólnej zazdrości. Kilka osób wyznaczono na woźnicow, których zadaniem była zwózka drewna na miejsce przyszłego, wiosennego spławu.

Do pracy zapędzono w zasadzie wszystkich, których wiek odpowiadał przepisom i którzy nie byli poważnie chorzy.

Był wśród nas jak już wspominałem kilku lekarzy, ale wszyscy oni pracowali w lesie. Oceny stanu zdrowia dokonywał natomiast urzędujący w t.zw. ambulatorium starszy jegomość, który sam o sobie opowiadał, że był felczerem jeszcze w carskiej armii. O jego zawodowych kwalifikacjach łatwo się było przekonać, pomimo, że cały wachlarz leków którymi dysponował sprowadzał się do jodyny i płynnego środka dezynfekcyjnego Rivanolu. Były to leki istotnie potrzebne, bo skutki ukąszeń komarów i muszek w połączeniu z kiepskimi warunkami higienicznymi nie dały na siebie długo czekać. Już wkrótce kończyły nasze, a głównie nogi, mniej od rąk ruchome w czasie pracy leśnej, a zatem bardziej podatne na ukąszenia, pokryły się ropiejącymi rankami. Ranki te nasz felczer chójnie smarował Rivanolem, w tym przypadku chyba skutecznym. Skutek bywał niewątpliwie słabszy, gdy nasz medicus próbował zwalczać przy pomocy smarowania jodyną na przykład bóle pleców czy stawów. W każdym razie widok ludzi z "pomalowanymi" na brązowo lub zielono w zależności od użytego leku różnymi częściami ciała, stał się z czasem tak normalny, że przestał kogokolwiek dziwić.

Czasem jednak dochodziło na tle tego nader szczupłego arsenału leków do sytuacji tragicznych. Oczywiście byli bowiem wśród nas ludzie z chronicznymi chorobami, wymagającymi ciągłego użycia leków.

Do końca życia pamiętać będę umierającą na naszych oczach diabetyczkę, której zapas insuliny zabranej z domu w czasie wywózki skończył się, a nowy zapas, wysłany ze Lwowa przez krewnych nie dotarł na posiołek. Pamiętam śmierć pewnego inżyniera z Czesochowy, pozbawionego niezbędnego dla jego organizmu środka obniżającego ciśnienie krwi.

Kto wie ilu przypadków śmierci można było uniknąć, gdyby dostępne były niezbędne leki i gdyby dysponować nimi mogli lekarze z prawdziwego zdarzenia, którzy marnowali się przy wyrębie lasu.

Z czasem lekarze ci i jeden z przebywających na posiołku



farmaceutów zorganizowali zbiórkę różnego rodzaju ziół, mających właściwości lecznicze i niektóre dolegliwości za pomocą tej nielegalnej działalności zwalczali. Tak się rzecz miała na przykład ze skorbutem, do czego jeszcze powrócę.

Czasami "znajomość" medycyny naszego felczera doprowadzała także do sytuacji tragikomicznych.. Dwie takie historyjki warto opowiedzieć.

Pewnego razu, skaleczywszy się przy rąbaniu drzewa dość silnie w nogę udałem się do ambulatorium. W chwili gdy przekraczałem próg poczekalni, natknąłem się na wypadającego właśnie z pokoju przyjęć rozwścieczonego, klnącego mężczyznę. Po sekundzie w drzwiach pojawił się felczer, trzymający w ręku jakąś białą pałeczkę. I wtedy, jak na komendę, kilka siedzących w poczekalni osób wybuchło szalonym śmiechem. Stałem zdezorientowany, nie mogąc od zanoszących się śmiechem ludzi dowiedzieć się - co się właściwie stało. Tymczasem felczer znikł napowrót w swym sanktuarium, trzasnąwszy za sobą wściekle drzwiami. Dopiero po chwili zdołałem się od siedzących w poczekalni dowiedzieć, co właściwie zaszło. A było to tak:

Na chwilę przede mną pojawił się w poczekalni człowiek, na którego natknąłem się wchodząc. Miał on zaproszone trocinami przy piłowaniu oko i prosił czekających, żeby przepuścili go poza kolejką. Oczywiście zgodzono się a gdy pacjent znikł za drzwiami pokoju przyjęć, ktoś żartobliwie zauważył, że za chwilę felczer zajodnyuje mu oko i będzie spokój. Gdy po minucie drzwi się otworzyły i pojawił się w nich wściekły pacjent, nikt jeszcze nie wiedział, co się właściwie stało i dopiero pojawienie się w drzwiach felczera, trzymającego w ręku pałeczkę owiniętą umoczoną w jodynie watą, uświadomiło obecnym, że to, co uważali za dobry żart stało się tragikomiczną rzeczywistością. Stąd właśnie ten wybuch śmiechu, którego ja nie zrozumiałem.

Druga historyjka miała miejsce przed rocznicą rewolucji, kiedy to najlepiej pracujące brygady miały po raz pierwszy otrzymać przydział cukru. Tak się złożyło, że jakaś babcia udała się wtedy do felczera w związku z dokuczającymi jej dolegliwościami cukrzycowymi. A że nie umiała po rosyjsku, próbowała przetłumaczyć nazwę choroby w sposób podobny do polskiego. Po polsku cukier i cukrzyca. A że po rosyjsku cukier to sachar, więc cukrzyca to pewnie sacharnica, wykombinowała sobie starowinka, nie wiedząc, że w języku rosyjskim słowo to oznacza cukiernicę.

Kiedy więc oświadczyła felczerowi, że przyszła do niego po pomoc, bowiem na "cukiernicę", ten skojarzył to sobie z przysługującym mu prawem wypisania na receptę pół kilograma cukru, ludziom którzy go potrzebowali ze względów zdrowotnych, a pracą sobie na ten rocznicowy przydział nie zasłużyli.

Pogroził więc staruszce palcem i powiedział:

- Chytra z ciebie baba! To ty sobie myślisz, że jak masz cukiernicę, to ci zaraz do niej na receptę cukru nasypią? Nie gołąbko! Nic z tego ! Chcesz cukru, to marsz do lasu i zasłuż sobie. Ot, żebyś była chora, to byś może i dostała, ale pusta cukiernica to

nie przyczyna, żebym ci cukier wypisywał.

I wyrzucił nie pojmującą niczego staruszkę z ambulatorium.

Z tym przydziałowym cukrem działa się nawiasem mówiąc, dziwne rzeczy. Ci którzy widzieli, jak go przewieziono, zaklinali się, że było go 300 kilogramów. A gdy przyszło do podziału, okazało się, że tylko cztery najlepsze brygady dostały łącznie około 50 kilo. Resztę podzielili się nasi "opiekunowie", a że w całej Rosji był wówczas cukier rarytasem, łatwo się domysleć, że obłowili się solidnie.

Ale powróćmy do naszej "małej społeczności". Jak to się zwykle dzieje w trudnych warunkach bytowych, tak i w naszej grupie już wkrótce zaczęły się wyraźnie przejawiać różne postawy życiowe i zróżnicowane sposoby przystosowywania się do zaistniałych okoliczności.

W pierwszym okresie wszyscy mieli zajęcie dodatkowe, polegające na urządzaniu mieszkań, czyli kleceni czegoś, co imitowało meble, tępieniu robactwa, no i pisaniu masy listów do pozostałych na terenach z których nas deportowano rodzin i przyjaciół. Listy te zawierały oczywiście głównie prośby o pomoc w postaci paczek żywnościowych, a także błągania o czynienie u władz radzieckich starań o zezwolenie nam na powrót ze zsyłki. Nie znaleźmy jeszcze wówczas radzieckiego systemu masowych przesiedleń i wierzyliśmy, że nasza pozbawiona jakichkolwiek powodów zsyłka, może być przy właściwej interwencji cofnięta. I napewno rodziny robiły co mogły, a jaki był tego skutek - o tym potem.

Stopniowo opisana wyżej gorączkowa działalność zaczęła wygasać. Ludzie byli zresztą po pracy tak zmęczeni, że nie na wiele już mieli ochotę. A mimo to pojawiły się już wkrótce różne formy działalności rozrywkowej, kulturalnej i oświatowej. Zaczęło się od spontanicznie zorganizowanego nauczania dzieci. Zajmowali się tym głównie zwolnieni od pracy w lesie starsi ludzie i matki małych dzieci, które do pracy chodzić nie musiały. Znalazło się sporo osób, które albo miały jakieś tam doświadczenia pedagogiczne, albo posiadały dostateczny zasób wiedzy w jakiejś dziedzinie, by móc jej nauczać. Zwróciliśmy się do komendanta o dostarczenie podręczników, motywując to zapewnionym przez radziecką konstytucję prawem, a nawet obowiązkiem nauki. Ale gdy delegacja wyłożyła mu swoje postulaty, roześmiał się tylko i powiedział:

- Jakie wy macie prawo mówić o prawie? Prawo jest dla radzieckich obywateli. A wy kim jesteście? Bandą burzujów, których tu przysłali, żebyście się nauczyli uczciwie pracować.

A tego ja was i bez książek nauczę! Jazda do roboty i nie zwracajcie mi tu głowy takimi fanaberiami!

Tak się skończyła pierwsza interwencja. Trzeba przyznać, że gdy przy okazji któregoś z rzędu NKWD-owskiej kontroli posiołka postulat podręczników dla dzieci został ponowiony - otrzymaliśmy ich trochę, oczywiście w nieznanym dzieciom języku rosyjskim.

Trochę podręczników nadeszła rodziny pocztą, ale cenzura przepuściła tylko te, które służyły do nauki przedmiotów ścisłych. tak więc nauka historii, geografii, religii i t.p.



odbywała się jedynie w formie pogadanek.

Wślad za tą działalnością wystartowały też wkrótce kursy językowe. O ile pamiętam, było ich cztery. Uczono się języków: angielskiego, niemieckiego, francuskiego ( tu mieliśmy wykwalifikowaną siłę dydaktyczną - mademoiselle ) i rosyjskiego. Tego ostatniego uczyła moja matka, która ukończyła rosyjskie gimnazjum.

W jakiś czas po przybyciu na posesję zostaliśmy powiadomieni, że w budynku przy komendanturze uruchomiony został t.zw. czerwony kącik, czyli coś w rodzaju klubu, w którym wolno się było zbierać i organizować działalność rozrywkową.

Lokal zasługiwał w pełni na swoją nazwę, bowiem sciany jego przybrane były od góry do dołu czerwonym płótnem. Była w nim też maleńka estrada z tylną ścianą ozdobioną wielkim portretem czterech duchowych ojców rewolucji, Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Wyposażenie "czerwonego kącika" stanowiły jeszcze odświeżane wciąż broszury w języku rosyjskim, jak "Notatnik młodego agitatora", skrócony kurs historii partii bolszewickiej, zyciorys "ojca narodów sowieckich" i temu podobna pasjonująca literatura. Wydawnictwa te były jednak cenione przez palaczy, którzy używali ich do skręcania papierosów z kupowanej w naszym sklepiku od czasu do czasu machorki, jak również jako namiastka nieosiągalnego papieru toaletowego.

Mimo wszystko jednak lokal stał się szybko miejscem spotkań młodzieży.

Choć po dniu pracy w lesie zmęczenie dawało się mocno we znaki, większość z nas zbierała się wieczorami w lokalu. Głównym zajęciem było śpiewanie ulubionych przedwojennych szlagierów, a czasem, gdy ktoś z posiadających instrumenty muzyczne - a były to dwie pary skrzypiec i jedna harmonia - się ulitował, bywały także i tańce.

Częstym gościem w klubie był też dziesiętnik Winogradow, który okazał się miłym, pogodnym człowiekiem. Był on bardzo muzykalny i umiał grać na harmonii. Słuchał z przyjemnością naszych piosenek i często grywał nam rosyjskie, wśród których kilka melodii bardzo nam przypadło do gustu. Jemu to zawdzięczaliśmy, że zwolniono nas z czasem od obowiązku powracania na kontrolę, która się odbywała o godzinie dziesiątej wieczorem, do swoich domków. Ale ceną tego było wyuczenie się przez nas kilku radzieckich piosenek, które potem mieliśmy chętnie śpiewać przy okazji jakiegoś państwowego święta.

Z czasem stał się też klub miejscem gorących dyskusji na tematy społeczno-polityczne.

Najczęstszym tematem było oczywiście powojenne oblicze Polski, ale nie brakło też zawziętych sporów odnośnie przyszłości całego świata. Niezwykle interesujące pogadanki na temat kierunków w sztuce wygłaszał pewien docent-historyk sztuki, a zarazem świetny rysownik. Z braku tablicy ilustrował on swoje wykłady węglem drzewnym na papierze pochodzącym z opakowań naszych paczek, który to papier skrzętnie zbierał u adresatów przesyłek. Czasem pożyczał on też - jak dziwnie to nie brzmi - papier gazetowy od szczęśliwych posiadaczy takowego. Zwracany papier był następnie używany, jak już poprzednio



wspomniałem do skręcania papierosów lub do celów toaletowych.

To ostatnie zastosowanie przypomina mi pewne wydarzenie.

Siedzieliśmy kiedyś w domu naszych sąsiadów i gawędzili, podczas kiedy gospodarz, który właśnie gdzieś zdobył starą "Prawdę", czy "Izwiestia" składał gazetę i przecinał nożem, by otrzymać jaknajwięcej nadających się do wiadomego użytku skrawków papieru. Po kolejnym przecięciu stronicy na dwie, cztery, osiem i szesnaście części, zaczął się zastanawiać, czy po dalszym przepołowieniu papieru pozostanie niezbędna, minimalna powierzchnia. Przypatrujący się tym czynnościom jego teść nie wytrzymał w pewnej chwili i rzekł:

- Wiesz, co ci poradzę? Potnij tą gazetę najlepiej na konfetti i używaj obustronnie! Tak będzie napewno najoszczędniej.

A powracając do naszych dyskusji, przypominam sobie zacięte spory między grupą młodzieży żydowskiej, która uważała, że jedyną drogą dla Żydów jest emigracja do Palestyny i takimi, z mocno zasymilowanych rodzin pochodzącymi młodymi ludźmi i nielicznymi wyznawcami przekonań rewolucyjnych, którzy aczkolwiek z różnych wychodząc przesłanek, byli powszechnej emigracji przeciwnikami.

Częstym tematem dyskusji bywały też zagadnienia wiary, filozofii, a także literatury i wiele innych. Byłem wówczas za młody, by rozumieć wszystko, o czym dyskutowano, ale przysłuchiwać się dysputom bardzo lubiłem. Wydaje mi się, że niektóre z nich w dużej mierze wpłynęły na późniejsze kształtowanie się mojego światopoglądu.

Niestety nie wszyscy znajdowali sobie zajęcia, które odrywały od smutnej rzeczywistości i pozwalały łatwiej przetrwać

Spora grupa ludzi, głównie inteligentów z zamożnych przed wojną środowisk, załamała się szybko w nowych warunkach, do których nie umieli albo nie chcieli się przystosować. Miała się w tym względzie szyko potwierdzić życiowość wypowiedzianego na wstępnym spotkaniu przez komendanta obozowego powiedzonka o tym, że kto nie przywyknie, ten zdechnie.

Pierwszymi oznakami psychicznego załamania było zaniechanie dbałości o higienę osobistą i mieszkania. Było wielu takich, którzy po powrocie z pracy i zjedzeniu otrzymywanego posiłku, kładli się na swój barłóg i potrafili tak leżeć godzinami z oczami utkwionymi w sufit, nie odzywając się do nikogo.

Ponieważ w wielu domkach jedną izbę zamieszkiwało po kilka rodzin, dochodziło na tle braku potrzeby zachowania higieny u niektórych, do stałych awantur ze strony tych, którzy potrzebę taką odczuwali. Działanie tych ostatnich było o tyle uzasadnione, że wkrótce pojawiły się wszy, które groziły rozprzestrzenieniem się na wszystkich mieszkańców pomieszczenia.

Jedną z uczenic mojej matki była dwunastoletnia córka znanego przed wojną w jednym z miast wojewodzkich adwokata. Widząc, jak bardzo dziewczynkę męczą wszy, postanowiła matka porozmawiać z jej rodzicami. Wiedzieliśmy już uprzednio, że ludzie ci należeli do grupy takich właśnie na wszystko zobojętniałych abnegatów. Mimo to matka ktoregoś wieczoru udała się do domku, w którym mieszkali. Ale wizyta nie była ani długa, ani skuteczna. Po powrocie opowiedziała nam

matka, że ludzie ci znajdują się w strasznym stanie. Oboje nie pracują, ponieważ pokryci są ropiejącymi ranami. Całe dni spędzają leżąc na barłogu, okryci ocalałymi futrami, rojącymi się od wszy.

Współlokatorzy, którzy początkowo usiłowali ich nakłonić do otrząśnięcia się, machnęli w końcu ręką i odseparowali się na ile pozwalał układ pomieszczenia. Warto przy tym zaznaczyć, że opisana para nie należała wcale do ludzi starych.

Jako się rzekło - w czasie pierwszej wizyty matka niczego nie wskórała. Jediną odpowiedzią na jej perswazje było stwierdzenie, że oni od życia już niczego nie oczekują, a żyć w takich warunkach wogóle nie chcą. Także argument dobra dziecka nie był skuteczny.

Mimo negatywnego rezultatu matka postanowiła nie dawać za wygraną. Namówiła więc dziewczynkę, by pozwoliła umyć sobie i wyczesać gęstym grzebieniem włosy. Miało się to odbyć u nas w domu. Jednakże, gdy przyszło do zabiegu - okazało się, że na głowie małej wytworzył się tak zwany kołtun, a cała skóra pokryta była ranami. W tej sytuacji jedynym ratunkiem mogło być tylko obcięcie włosów na bardzo krótko. Początkowo mała nie chciała się na to zgodzić, ale na skutek perswazji dała się wreszcie namówić na "postrzyżyny".

Od znajomego fryzjera pożyczaliśmy maszynkę do strzyżenia i matka zaczęła scinać włosy pochylonej nad wiadrem dziewczynki. Widoku tego nie zapomnę nigdy. W miarę opadania włosów ukazywała się mała główka, pokryta ranami, po których dosłownie setkami, jak po mrowisku poruszały się wszy. Był to widok tak okropny, że Ida i ja wyszliśmy z izby.

Po dokładnym umyciu głowy wodą z dodatkiem nafty i owiązaniu jej chustką, odprowadziliśmy małą do domu. Oczekiwaliśmy ostrej reakcji rodziców na ten samowolny postępek, ale okazało się, że byli oni już tak dalece na wszystko zobojętniali, że odbyło się wszystko bez komplikacji. Matka zaczęła ich jeszcze namawiać, by i siebie spróbowali odwszyć, ale jedyne na co się zgodzili to było pójście do łaźni i wyparzenie bielizny i koców w znajdującej się przy łaźni t.zw. wszobojce, czyli parowym kotle. Matka dziewczynki zastrzegła jednak odrazu, że z zabiegu tego wyłącza futra, które uległyby w parze zniszczeniu. Co prawda futra te były siedliskiem wszy, ale dobre było i to, na co się zgodzili.

Ale współlokatorzy postanowili wykorzystać nadarzającą się sytuację. To też kiedy w najbliższą niedzielę napaliłem w pobliskiej "bani", czyli parowej łaźni i zaprowadziłem tam całą rodzinę, ktoś pod ich nieobecność "sprzątnął" futra i szmaty, którymi przykryte były barłogi. Spalono to wszystko razem z sianem, na którym leżeli i wyparzone prycze. Gdy rodzina powróciła z łaźni, na posłaniu leżało przykryte czystym prześcieradłem świeże siano.

Awantury, która wybuchła wskutek - jak to poszkodowani określili - kradzieży futer, nie da się opisać. Pan mecenas zmobilizował resztki swojej energii i poszedł ze skargą do komendanta. Siedział tam długo, a skutek tej rozmowy był zadziwiający. Mecenas był na pewno erudytą i doskonale znał język rosyjski. Rozmowa z nim wywarła widocznie na prostaku- komendancie duże wrażenie, bo oto po godzinie

czy dwóch powrócił nasz adwokat do baraku zupełnie odmieniony. Okazało się, że komendant powierzył mu opiekę nad opisaną wyżej "biblioteką". Później mecenas już z własnej inicjatywy rozszerzył swoją działalność w ten sposób, że rozpoczął wędrówki od domku do domku namawiając ludzi by przekazywali nieliczne posiadane książki do wspólnej biblioteki, gdzie stanowiłyby one korzyść ogólną.

Większość godziła się na to i wkrótce księgozbiór urósł do około tysiąca książek. A cała rodzina mecenasa powróciła do równowagi.

Przy jakimś spotkaniu nasz posiołkowy rabin powiedział mojej matce, że ten dobry uczynek został napewno odnotowany "tam na górze".

Zatrzymałem się szerzej nad tym przypadkiem, ale było ich, to znaczy załamania psychicznych sporo, szczególnie wśród warstwy intelektualnej.

Tym, co najbardziej ludzi przygnębiało był absolutny brak możliwości przewidzenia, co się z nami w przyszłości stanie.

Był to rok 1940, w którym przyjaźń rosyjsko-niemiecka kwitła, a na wojenną klęskę hitlerowskich Niemiec wcale się nie zanosilo.

Częste wieczorne rozmowy, w których dominującą rolę odgrywały dyskusje odnośnie perspektyw wojennych nie prowadziły do wniosków, które mogłyby nas pocieszyć. Przyszłość Europy, wobec zjednoczonych sił dwóch totalitarnych mocarstw, nie wyglądała różowo. A w związku z tym i nasza przyszłość nie małowala nam się w jasnych kolorach. Nie przyczyniały się też do polepszenia nastrojów rzadkie spotkania z przebywającymi już na Syberii od wielu, wielu lat dawnymi przesiedleńcami, którzy mówili przy każdej okazji, że kto w Rosji sowieckiej raz naznaczony został takim stempelkiem, ten już do końca życia nosi na sobie to piętno. Nie znali oni przypadku, by jakimś przesiedleńcowi pozwolono powrócić w rodzinne strony. Tym różnili się przesiedleńcy socjalistycznego Związku Radzieckiego od dawnych zesłańców carskich. Tamci bowiem dostawali wyroki, po upływie których wolno im było powracać.

Ogólnie panowało przekonanie, że będziemy siedzieć na posiołku co najmniej do końca wojny. Co stanie się z nami potem - co do tego były zdania podzielone. Optymiści twierdzili, że napewno zostaniemy repatriowani do odrodzonej po wojnie Polski, podczas gdy pesymiści dzielili się na dwa obozy. Jedni uważali, że nie tak prędko nas spowrotem puszczą, ale przynajmniej przeniosą nas do ośrodków miejskich, gdzie ludzie z zawodami znajdą zawsze zatrudnienie. Inni, ci absolutni pesymiści byli zdania, że przyjdzie nam tu dokonać żywota, podobnie jak naszym poprzednikom, Kozakom.



## Aby do wiosny

Lato jakoś się przetrwało. Do ciężkiej pracy powoli przywykliśmy, a stopniowo nabieraliśmy też wprawy. Drzewa zaczęły się kłaść w pożądanym kierunku i obcięcie gałęzi coraz częściej udawało się od jednego zamachu. Pod koniec lata znikła też najgorsza plaga w postaci komarów i muszek, co bardzo poprawiło humory.

Stopniowo też uczyliśmy się korzystać z dobrodziejstw i bogactw przyrody. A przyznać trzeba, że dziewicza tundra, którą byliśmy otoczeni, zawierała ich mnóstwo.

Najwcześniej zaczęliśmy zbierać jagody i maliny. Było ich bardzo dużo, a maliny przypominały w gatunku te, które widział się w Warszawie starannie opakowane w koszyczki, w oknie wystawowym sklepu braci Pakulskich.

Potem odkrył ktoś, że wzdłuż brzegów rzeki rośnie dużo dzikiej cebuli i trochę czosnku. To odkrycie w połączeniu z że tak powiem propagandową akcją, rozwiniętą przez naszych przemienionych w drwali lekarzy, pozwoliło częściowo choć zwalczyć plagę szkorbutu, która pojawiła się dość szybko.

Wkrótce potem przyszła pora na grzyby i porzeczki. Tych ostatnich było tak dużo, że jeszcze zimą znajdowaliśmy je na wielkich jak drzewa krzakach, zamrożone, jak kolorowe paciorki. Grzybów szlachetnych było mało, ale za to opieńków nieskończone ilości. Zajadaliśmy się nimi masowo, tym bardziej, że do ich przyrządzania nie była potrzebna sól, której nie można było dostać.

Dzięki temu wszystkiemu, jak również dzięki nadchodzącym od rodzin paczkom, przetrwaliliśmy okres letni stosunkowo dobrze.

Ale zima, która na tych szerokościach zaczyna się bardzo wcześnie, zbliżała się wielkimi krokami. Zadnemu z naszych "aniołów stróżów" nie przyszło nawet na myśl by nam, mieszkańcom przypomnieć o konieczności zgromadzenia zapasu drewna na zimę. Spostrzegliśmy sami, że oni to robią, ustawiając porąbane szczapy w przylegające do scian domów sągi. Drewno zwozili oczywiście koniami. Kilku brygadzystów zwróciło się wobec tego do komendanta o zezwolenie na użycie koni do zwózki drewna dla wszystkich. Ale reakcja była dokładnie taka, jakiej się spodziewali. Komendant stwierdził, że konie są "kazionne", czyli państwowe i do celów prywatnych ich używać nie wolno. Nawet nie przyszło mu do głowy, że my, pozbawieni praw, moglibyśmy z nich korzystać tak, jak to robili oni, nasi władcy. Zapowiedział jeszcze, że w pobliżu posiołka scinać wolno tylko drzewa uschnięte i że jeśli zobaczy kogoś niosącego drewno z lasu po pracy to będzie karał, bo czasu służbowego na cele prywatne kraść nie wolno.

Przez całą jesień ciągnęło więc bractwo do lasu by przygotować drewno opałowe. Niektórzy nosili je do domu na plecach. Inni ustawiali sągi w lesie, planując zwiezenie ich już zimą na sankach.

Byli jednak i tacy, a i ja do nich należałem, którzy nocą, już po wieczornej kontroli, brali potajemnie z pastwiska konie i z ich pomocą zwozili drewno. Z uwagi na groźące konsekwencje, niewielu się jednak na to ważyło.

O tych koniach warto chyba także wspomnieć. Były to małe, kudłate koniki, t.zw. mongoły, które cechowała wielka wytrzymałość. Na woźniców wyznaczono naogół młode kobiety, bo mężczyźni zatrudnieni byli niemal bez wyjątku przy wyrębie. Do obowiązku woźniców należała zwózka gotowego drewna ze stanowisk drwali nad brzeg rzeki, skąd wiosną miało ono być spławiane do leżącej kilkadziesiąt kilometrów od rzeki wytwórni węgla drzewnego. Oczywiście wyznaczone na woźniców kobiety nie miały zielonego pojęcia ani o zaprzęganiu, ani o powożeniu. Ale wobec wyjątkowej łagodności koników, nie był to problem nie do pokonania. Największą trudność sprawiało co innego. Konie były mianowicie przyzwyczajone do komend, wykrzykiwanych za pomocą wyjątkowo - jak wiadomo - soczystych i urozmaiconych przekleństw rosyjskich.

Tak więc na przykład jedynym "hasłem" mogącym ruszyć konika z miejsca było wykrzyknięcie:

- "Paszol, job twoju mać!"

Bez tego dodatku koń nie ruszał za nic w świecie. A znowu na wykrzykiwanie niezbędnych komend nie mogły się początkowo w żaden sposób zdobyć nasze panie-woźnice.

Pamiętam scenę, kiedy na samym początku, przed wymarszem do pracy, na placu koło kantoru zebrała się grupa drwali i pokładając się ze śmiechu obserwowała zmaganie się jednej z młodych dziewcząt ze swoim koniem. Ani pomachiwanie batem, ani szarpanie lejcami, ani pokrzykiwanie "Wio! wio!" nie było w stanie zmącić apatycznego spokoju konika i zmusić go do ruszenia. Scenę tą obserwował stojący w drzwiach kantoru dziesiętnik Winogradow, który w końcu zlitował się nad dziewczyną, wziął z jej rąk lejce, wykrzyknął wspomnianą wyżej magiczną formułkę i o dziwo... konik ruszył z miejsca natychmiast. Winogradow zatrzymał go innym przekleństwem i oddał lejce czerwonej jak burak dziewczynie ze słowami:

- O, widzisz jakie to proste. No a teraz ty.

- Ja tak krzyczeć nie będę i nikt mnie nie zmusi - wykrztusiła ze łzami w oczach biedna dziewczyna.

W tym momencie w drzwiach kantoru pojawił się majster Pozdiejew.

- Jak posiedzisz parę dni w piwnicy ze szczurami to będziesz krzyczeć. I jeszcze jak! - powiedział.

I wtedy ktoś z nas, obserwujących tą scenę doradził żartobliwie:

- A ty spróbuj Lizka - tak się nazywała dziewczyna - powiedziec mu co trzeba na ucho, jak się wstydzisz głośno.

Zgromadzeni ryknęli śmiechem, a tymczasem projektodawca zbliżył się do konia i głośno wyszeptał komendę w jego ucho. To poskutkowało! Konik ruszył ochoczo z miejsca. I tak oto żart przemienił się w praktyczną radę. Długo jeszcze potem zbiegali się drwale, by patrzeć jak Lizka i nie tylko ona uruchamiały swoje koniki za pomocą szeptanych im na ucho soczystych komend.

Wraz z nastaniem zimy życie nasze stało się dużo cięższe. Wymarsz do lasu następował po ciemku, a zmrok zapadał także na długo przed zakończeniem pracy. Jedynym oświetleniem były rozpalone zaraz po przyjściu na odcinek ogniska. Praca w ciemności nie była łatwa, tym bardziej, że wkrótce śnieg stał się bardzo głęboki.

Ale najgorszy był brak należytej odzieży. Rosjanie ubrani byli w watowane kurtki i spodnie, na nogach mieli walonki, czyli filcowe buty, a na rękach ciepłe rękawice. Stroju dopełniały czapy futrzane. My natomiast niczego takiego nie mieliśmy. Praca w lesie w naszych miejskich płaszczach i obuwiu była zupełnie niemożliwa. Toteż już wkrótce po rozpoczęciu się mrozów, widziało się przed kantorem, zebranych do wymarszu na swoje odcinki ludzi przybranych w najfantastyczniejsze stroje.

Powszechnym obuwiem stały się łapcie plecione z łyka. By nie marznąć okręcano nogi owijaczami zrobionymi z czego się dało. Ogólną zazdrość wzbudzał na przykład nasz brygadzysta Zygmunt Hauptman, który na onuce poświęcił gruby, kraciasty, angielski koc. Niewysokiego wzrostu, z nogami wyżej kolan owiniętymi grubymi onucami, poruszał się jak niedźwiedź, co zresztą wkrótce zjednało mu przydomek "Miś".

Dziwacznych strojów było zresztą dużo. Tak więc widziało się mężczyzn w damskich futrach, choć takich szczęśliwców nie było wielu. Widziało się kurtki, uszyte ręcznie z koców, a nawet jedną sporządzoną z pikowanych pluszowych zasłon, czy też kap. Ale wszystkie rekordy pobił jeden z współnieszczęśników, gdy zjawił się rano na zbiorce przed kontorem w czymś w rodzaju kurtki, uszytej z niebieskiej, adamaszkowej, puchowej kołdry.

Mieliśmy dwie, a spać możemy z żoną pod jedną - tłumaczył zazdroszczącym kolegom.

W czasie pracy w lesie mróz dokuczał najbardziej twarzom i rękom. Już wkrótce wiele nosów, policzków i palców było odmrożonych. Kilka osób z odmrożeniami tak silnymi, że wywołały gangrenę odesłano do szpitala, inni cierpieli, stosując różne domowe sposoby łagodzenia dolegliwości.

Nogi odmrażano rzadziej, bo stało się głęboko w śniegu, ale zbyt długie stanie na jednym miejscu w czasie n.p. piłowania powodowało, że śnieg tajał, nogi wilgotniały, a kiedy człowiek wyłaził ze swego śniegowego dołka, przemoczone onuce zamarały razem z nogami.

Obserwowaliśmy się nawzajem i gdy tylko dostrzegano, że czyjeś odsłonięte ucho, czy policzek robią się podejrzanie białe, wzywano do nacierania śniegiem, co na jakiś czas przywracało krwioobieg.

W czasie przerw gromadziliśmy się wokół ogniska. Siadało się jaknajbliżej ognia i poto by się trochę ogrzać i po to, by na kawałku patyka podgrzać zamrożony chleb. Za napój służył wrzątek ze śniegu. Wypijaliśmy go moc, bo to rozgrzewało. Ognisko służyło zarazem do spalania gałęzi, z których na wszystkie strony sypały się iskry. Ciepło wabiło jednak bardzo, to też już wkrótce cała nasza odzież pokryta była wypalonymi dziurkami. Szczególnie malowniczo wyglądały przepalone płaszcze na watolinie, z których ta ostatnia



wystawała przez każdą przepaloną w materiale dziurkę.

Ogniska służyć miały także do trzymania z daleka dzikiej zwierzyny. Rzeczywiście przez całą zimę nie widzieliśmy ani razu wilków, chociaż ich wycie rozlegało się często w tundrze. O tym, że istotnie tam były przekonaaliśmy się wkrótce, do czego powrócę.

Nie odstraszało natomiast ognisko niedźwiedzi. Były to zresztą jedyne, poza lisami dzikie zwierzęta, które widywaliśmy. Okazało się, że nie wszystkie misie spędzają zimę na spiąco. Okolice naszego odcinka upodobał sobie jeden taki nie spiący i często widywaliśmy go stojącego w odległości kilkudziesięciu metrów od ogniska, drepczącego tam i spowrotem, a czasem w pozycji pionowej, przestępującego z łapy na łapę. Ślady na śniegu wskazywały, że po naszym odejściu zbliżał się on do ogniska. Być może i jego wabiło emanujące z resztek ogniska ciepło. W końcu jednak przestał się pojawiać, czego trochę żałowaliśmy, bo przyzwyczailiśmy się do jego widoku.

Chcę tu opowiedzieć o dwóch innych "niedźwiedzich" przygodach. Jedna z nich przydarzyła się staremu Chaimowi, postaci bardzo barwnej, do której jeszcze powrócę.

Otóż Chaim, sześćdziesięcioletni Żyd z patriarchalną brodą zatrudniony był normalnie przy opróżnianiu i wywożeniu zawartości szuflad kloacznych. Ale kiedyś w zimie, gdy zapasy siana dla koni były na wyczerpaniu, majster nakazał mu udać się do magazynowanego w dole rzeki na łąkach siana i przywieźć nową jego porcję do stajni.

Wziął tedy Chaim widły i konia zaprzężonego w sanie i pojechał. Z trudem dotarł do pokrytych aż po sam czub śniegiem kopców siana, odgarnął śnieg z góry i zaczął wydłubywać siano z kopca. No i w pewnej chwili dźgnął widłami spiącego w sianie niedźwiedzia. O tym, co zdarzyło się potem tak opowiadał sam bohater przygody zdumionym mieszkańcom posiołka, gdy wrócił, wioząc na saniach martwego niedźwiedzia.

Na pytanie - jak udało mu się zabić zwierzaka, Chaim odpowiedział:

- A bo ja go zabiłem? On sam się zabił. Ja stałem na kopcu i ładowałem siano. I nagle czuję, że cały ten kopiec się zaczyna ruszać. I widzę, że wyłazi z niego ten potwór i chce się na mnie rzucić. To ja nastawiłem widły i on mnie zepchnął w śnieg. Zanim ja się z tego śniegu wygrzebałem, to koń mi uciekł i ledwo go znalazłem. A jak znalazłem, to wróciłem po to siano, bo myślałem, że niedźwiedź dawno uciekł. A on tymczasem tam leżał i już był nieżywy. No to ja go załadowałem i przywiozłem.

Bliższe oględziny wykazały, że miś nadział się na nastawione przez Chaima instynktownie widły, przy czym jeden ich ząb przebił mu tętnicę przy krtani, co spowodowało, że wykrwawił się i zdechł.

Chaim miał bardzo dużą rodzinę, siedmiu synów i córkę, ale pamiętam, że mięsem niedźwiedzia podzielił się z wieloma innymi rodzinami. My też dostaliśmy kawałeczek, chyba dlatego, że matka moja pochodziła z tego samego miasta, co Chaim. Był to zresztą jedyny raz w ciągu półtorarocznego pobytu na posiołku, kiedy

jedliśmy mięso.

Jako ciekawostkę chcę tu opowiedzieć, że już po wojnie opowiadał nam to wydarzenie kilka osób, które podobnie jak my spędziły czas zsyłki na Syberii, przyczym za każdym razem opowiadano nam ta historię jako coś, co przydarzyło się u nich. Trochę to dziwne, bo trudno przypuszczać, żeby identyczne wydarzenia miały miejsce w kilku posesjach. Ale czy to ważne? Grunt, że my zakosztowaliśmy po raz pierwszy i ostatni w życiu smaku niedźwiedziego mięsa.

Druga "niedźwiedzia" przygoda przydażyła się dużo później, w roku 1941.

Któregoś dnia wracaliśmy jak zwykle z lasu po pracy, grupą składającą się z kilkudziesięciu mężczyzn i paru kobiet. Ponieważ narzędzia trzeba było po pracy często ostrzyć, przeto wielu z nas niosło na ramionach ciężkie topory i siekiery.

Maszerowaliśmy różnym krokiem, gęsiego, wydeptaną wzdłuż wycinki leśnej ścieżką. Ja z całą swoją brygadą znajdowałem się gdzieś w środku kolumny. Po wielogodzinnej pracy szło się zupełnie mechanicznie, patrząc jedynie w kark osoby kroczącej z przodu. Większość umysłów zaprzętała jedynie myśl o czekającym nas w stolówce "obiedzie".

Nagle usłyszałem jakieś krzyki na przedzie kolumny i gdy wyrwany ze swoich myśli powróciłem do rzeczywistości spostrzegłem, że maszerujący przede mną ludzie przyskają na obie strony drogi, a niektórzy próbują wspiąć się na pobliskie świerki. Od czoła kolumny doszły nas równocześnie krzyki:

- Niedźwiedzie! niedźwiedzie! uciekać!

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Chociaż dotychczasowe spotkania z niedźwiedziami nie były groźne i nie zdarzył się jeszcze ani jeden - poza opisanym - wypadek zatakowania przez nie ludzi, to jednak perspektywa spotkania z nimi oko w oko nie była pociągająca.

Dlatego udzieliła mi się natychmiast panika, która ogarnęła maszerujących przede mną. Złapałem za rękę matkę i po paru sekundach byliśmy już dwadzieścia metrów od ścieżki.

Rozglądałem się właśnie gorączkowo za jakimś świerczkiem z nisko wyrastającymi gałęziami, na który mógłbym podsadzić matkę i wdrapać się samemu, gdy usłyszałem zbliżające się pomruki niedźwiedzia. Przerażony obejrzałem się i oczom moim ukazał się taki oto widok:

Ścieżką biegła nieduża niedźwiedzica, a za nią cztery małe, śliczne niedźwiadki. W niedużym odstępnie za tą grupą biegli dwaj synowie Aleksiejewicza, Witek i Jurek. Trzymali oni w rękach leszczynowe baty i wymachując nimi i pokrzykując "poganiali" niedźwiedzią rodzinę.

Cała scenka wyglądała tak niewinnie, że nagle wszystkich ogarnęła szalona wesołość. Ze wszystkich stron rozlegał się niepo-hamowany śmiech. Zestawienie kilkudziesięciu panicznie uciekających, "uzbrojonych" w siekiery dorosłych z dwoma małymi chłopcami, którzy nieświadomi niebezpieczeństwa pędzili

niedzwiedzicę, wydało się wszystkim niesłychanie śmieszne. Wszystkim z jednym wyjątkiem, a był nim ojciec chłopców Aleksiejewicz. On chyba jedyny nie zanosił się śmiechem, tylko wybiegł na ścieżkę wołając:

- Witek! Jurek! Stać do jasnej cholery! - krzyczał, widząc, że chłopcy, choć niewątpliwie usłyszeli jego krzyk, nadal nie bardzo kwapią się zrezygnować ze świetnej ich zdaniem zabawy. Szczęśliwie respekt wobec ojca był widocznie silniejszy niż rozbawienie, bo po chwili wahania chłopcy zatrzymali się a po minucie stali już przed ojcem, otoczeni gromadą wciąż jeszcze podejrzliwie zerkających w stronę gdzie znikła niedzwiedzica ludzi.

- Czyście wy już zupełnie rozum stracili? - grzmiał Aleksiejewicz - Przecież ta niedzwiedzica mogła was na kawałki poszarpać!

- Gdzie tam! Ona jest bardzo fajna - zareplikował Witek - Myśmy ją już dwa dni temu widzieli. Przecież sam ci o tym opowiadałem, a jak pytałem, czy nie moglibyśmy oswoić takiego małego, to powiedziałeś, że jak przyjdą na posiołek drugi raz, to może i złapiemy.

- Boże święty! To wyście naprawdę tą niedzwiedzicę wtedy spotkali? A ja byłem pewny - tu Aleksiejewicz zwrócił się do otaczających - że chłopcy poprostu fantazjowali.

- My jak coś mówimy to naprawdę - obraził się Witek - nie tak jak starsi, co mówią jedno a robią coś innego.

Tak więc jedyną ofiarą naszych przygód z niedzwiedziami padł biedny miś ze stogu siana.

Żeby już skończyć z dziką zwierzyną, powrócę jeszcze do wilków.

Słyszało się, jak już wspomniałem czasami ich wycie, ale do bezpośrednich spotkań jakoś nie dochodziło. Zdarzało się naprawdę poniekądym widzieć w ciemności jarzące się ślepia, ale nigdy jakoś nie opowiadali o tym ludzkie odznaczający się wybujałą fantazją.

Wilki traktowano więc nawet tam, w środku nieprzebytych syberyjskich lasów głównie jako postrach na dzieci.

- Nie oddalajcie się od domu i nie zbliżajcie się do lasu, bo tam są wilki! - mawiały mamy, nie bardzo same wierząc w to, co mówią.

Aż pewnego dnia okazało się, że groźba była nader realna. A przekonaliśmy się o tym, gdy zdarzyło się, że dwie osoby nie powróciły z pracy wraz z całą grupą. Ich partnerzy z brygady widzieli ich, gdy schodzili z odcinka, podążających w stronę głównej ścieżki, na której zbieraliśmy się zawsze wracając. Panował tego dnia silny mróz, a pod wieczór zaczęła się też zadymka śnieżna.

Co się ze wspomnianą dwójką przydażyło, nie wiadomo. Czy któryś z nich zasnął i drugi pozostał przy nim, czy też zboczyli w zadymce z wydeptanej drogi i zblądzili, czy też rzeczywiście napadły ich wilki - nie wiadomo.

Kiedy zorientowano się, że na posiołek nie wrócili, grupa szybko zebranych ochotników wróciła z płonąącymi łuczycami aż do ich odcinka, ale pomimo głośnego wykrzykiwania ich imion i długiego



krażenia w pobliżu odcinka, na ślad zaginionych nie natrafiono.

Niektórzy sądzili, że nieszczęśnicy, zbłądziwszy zakopali się gdzieś głęboko w śniegu, a z nastaniem dnia odnajdą drogę do wsi. Większość była jednak z uwagi na silny mróz pesymistyczna. A gdy następnego dnia zorganizowane poszukiwania także nie dały rezultatu, stało się jasne, że byli oni pierwszymi ofiarami zimy. Już przedtem umierali na posiołku ludzie. Umierali głównie ludzie starzy i wyczerpani, ale ginęli również tacy, którzy w normalnych warunkach, dysponując odpowiednimi lekami, żyliby napewno jeszcze bardzo długo.

Każda śmierć wywierała duże wrażenie na wszystkich mieszkańcach posiołka, ale ta była szczególnym szokiem nie tylko dla rodzin zaginionych, ale dla nas wszystkich.

Ciała zaginionych odnaleziono dopiero po kilku tygodniach. Jedna z kobiet - woźniców zauważyła na śniegu ślady krwi. Powiadomiła o tym pracującą w pobliżu brygadę, a traf chciał, że była nią właśnie ta, do której ja należałem. Trzech z nas udało się zaraz na wskazane miejsce. Rzeczywiście, na odgarniętym nieco przez sanie śniegu dostrześliśmy stare, dawno zakrzepłe ślady krwi. Odgarniając śnieg naokoło zdołaliśmy ustalić kierunek, a potem nie trwało już długo odkrycie śnieżnego pagórka, pod którym jak domyślaliśmy się coś leżało.

Przez chwilę żaden z nas nie mógł się zdecydować na odgarnięcie śniegu. Po chwili jednak Janek, który był lekarzem, przebrnął ostatnich kilka dzielących nas od pagórka kroków i ściętą gałęzią zaczął grzebać w śnieżnym puchu. Już po paru sekundach zorientowaliśmy się, że istotnie pagórek stanowił śnieżny grobowiec zaginionych. Ja, nie przywykły do takich widoków wycofałem się nieco, ale Janek odgarnął trochę więcej śniegu, bo - jak potem opowiadał - chciał się przekonać, co było przyczyną śmierci. Okazało się to jednak zupełnie niemożliwe. Ciała były bowiem niemal doszczętnie obgryzione przez wilki. Być może, że szczegółowa sekcja pozwoliłaby na ustalenie czegoś, ale oczywiście jej nie zrobiono, bo i nie było możliwości i po co?

Tak więc nie dowiedzieliśmy się, czy to wilki, czy mróz był przyczyną śmierci. Wiadomo jednak napewno, że jeśli nawet nieszczęśnicy zamarzli, to dopadły ich wilki natychmiast. Dowodziły tego ślady krwi, których nie byłoby, gdyby ciała zastygły nim zwierzęta się do nich dobrały.

By jednak rodzinom zaoszczędzić przykrości, opowiadaliśmy wszystkim, że przyczyną zgonu było zamarznięcie. Zbite z nieheblowanych desek trumny zabito gwoździami odrazu na miejscu, by rodziny nie dowiedziały się prawdy.

Doszło w związku z tym do przykrego incydentu. Jeden ze zmarłych był bowiem katolikiem, a drugi Żydem. Rytuał wyznania mojżeszowego nakazuje grzebanie zwłok bez trumny, a jedynie w całunie. Zmarły był człowiekiem wierzącym i całun taki, jak każdy religijny Żyd posiadał. Wdowa życzyła sobie by wymogom rytuału stało się zadość. To też delegacja Żydów z samorzutnie utworzonej grupy ostatniej posługi udała się do komendanta z prośbą, by pozwolił wykorzystać

szope przy tartaku jako dom przedpogrzebowy. Ten jednak, uważając prawdopodobnie, że tego rodzaju ceremonie są przejawem zwalczanego w kraju rządu religianctwa kategorycznie zabronił otwierania trumny, motywując to niebezpieczeństwem zarazy. Zważywszy, że temperatura w tym okresie ani razu nie spadła poniżej -20 stopni było to tłumaczenie rzecz można mało przekonujące.

Z uwagi na duże mrozy, kopanie grobu było ogromnie trudne. Przez dwa dni, na zmianę kopaliliśmy grób dla obu nieszczęśników. W międzyczasie próbowano interweniować u komendanta, co jednak wprawiało go tylko w złość, a nie zdołało przełamać uporów.

Sytuację uratował nasz mądry, stary rabin, który udał się do wdowy i powiedział, że wówczas, gdy istnieją okoliczności niezależne od woli człowieka, nakazy rytuału przestają obowiązywać. A zmarłego pochować można w całunie, którym pokryje się trumnę.

Nikommu natomiast, ani Żydom, ani katolikom nie przyszło do głowy protestować z powodu wspólnego grobu.

Tak więc na trzeci dzień po odnalezieniu zwłok staliśmy nad grobem w którym spoczęli obaj towarzysze niedoli, tak jak zginęli - razem.

Odprowadzający ich na wieczny spoczynek złożyli modlitwy wedle wymogów swojej religii, a na grobie ustawiono krzyż i deskę z wypaloną gwiazdą Dawida.

Ta smutna uroczystość miała miejsce przed samym Bożym Narodzeniem.

Nadszedł okres silnych śnieży i przez pewien czas do pasiołka nie docierał nikt. Nawet pocztylion, który poprzednio przybywał raz na tydzień, przerwał na pewien czas dostarczanie poczty. Wraz z tym urwał się dopływ i poprzednio skąpych wiadomości ze świata, a co najważniejsze paczek żywnościowych.

Tuż przed świętami zamieć śnieżna nasiliła się jeszcze bardziej. Pewnego dnia rano okazało się, że drzwi i okna naszego domku zasypane były zupełnie śniegiem. Powietrze dochodziło szczęśliwie kominem. Gdyby nie to - nie wiem, co mogłoby się stać. Kiedy po wielu trudach udało mi się wydrapać na powierzchnię, oczom moim ukazał się fantastyczny widok. Oto wszystkie domki pogrążone były w śniegu aż po dachy, które jak gdyby leżały bezpośrednio na śniegu.

Domków nie widać było zupełnie. Tylko wychodzący gdzieś z komina dym dowodził, że tam w głębi siedzą ludzie.

Ponieważ daleko nie wszyscy stawali się tego dnia na zbiórce przed kontorem, dano nam dwie godziny na sprawdzenie z których domków ludzie się nie wydostali i odkopanie ich. Okazało się, że było ich wiele, a w niektórych siedzieli ludzie przerażeni, bo nie wiedzieli kiedy i jak się wydostaną.

Nadeszło Boże Narodzenie. Smutne to miały być święta dla tych, którzy przywykli obchodzić je uroczysto z choinką i prezentami pod nią. Z choinkami co prawda nie było problemu, za to o prezentach nie było co i marzyć.

Ktoregoś wieczoru tuż przed świętami położyliśmy się spać wcześniej, bo zapasy z paczek dawno się skończyły, a sen był



najlepszym lekarstwem na głód.

O godzinie 22-ej odbyła się jak zwykle kontrola poczem udało się do snu na dobre. Ale po kilku minutach usłyszeliśmy dobijanie się do drzwi. Sądząc, że to któryś z sąsiadów przyszedł na późną wizytę otworzyłem drzwi i zdębiałem, bo ukazała się w nich ogromna, brodata postać w futrzanej czapie i kozuchu. Z wąsów przybyłego zwisały sople lodu. Odczekał on chwilę, zanim opadła wywołana nagłym wtargnięciem mroźnego powietrza mgła i zapytał:

- Czy tu mieszka Regina Golen...coś tam z synem? - a gdy matka potwierdziła, kontynuował: A znasz Marię Gałuzę?

Nazwisko kobiety- Polki, którą spotkaliśmy na stacji w Wilwie w czasie transportu na posiołek wywietrzało nam już z pamięci, więc matka odpowiedziała przecząco. Ale niezrażony tym przybysz zdjął tymczasem z pleców worek, postawił go na podłodze i ciągnął:

No, no! Nie bój się. Ona mnie prosiła żeby ci te tutaj świąteczne podarunki przekazać. A ja jestem pocztynionem. Chyba mnie znacie? Nie?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że go już raz widziałem przed paroma miesiącami, gdy przyjechał z pocztą. Zwykle jednak byliśmy w lesie gdy on przybywał, to też nie poznałem go w pierwszej chwili.

Matka zerwała się i poprosiła by usiadł i się ogrzał, a tymczasem listonosz zaczął wyciągać ze swego worka prezenty.

Były tam dwa bochenki chleba, zlodowaciała w formie dużej miski - jak dziwnie to nie brzmi - bryła mleka, kawałek słoniny, parę kawałków łupanego cukru, a poza tym ciepłe, grube, domowej roboty wełniane rękawice dla mamy i stare co prawda, ale podszyte nowym wołokiem na podeszwach walonki dla mnie.

Były to w naszych warunkach prawdziwe skarby, a wszystko razem było tak nieoczekiwane, że matka rozplakała się ze wzruszenia.

Pocztynion tymczasem rozebrał się, usiadł przy piecu i zaczął opowiadać.

Okazało się, że wyruszył z Wilwy jeszcze wczoraj ale droga była tak zaśnieżona, że dopiero o zmroku dotarł do tatarskiej wsi. Tam namawiali go ludzie by u nich przenocował, ale on, sam dawny przesiedleńca, wiedział, co znaczą dla ludzi paczki i do tego przed świętami. Postanowił więc kontynuować drogę. Ale była ona tak trudna, że dotarł do Korostielówki zbyt późno, by poczta mogła być rozdzielona tego dnia. Do nas przyszedł najpierw, by przekazać nielegalnie przywiezione prezenty od Marii. Wolał się ich pozbyć przed zjawieniem się w komendanturze.

Uszczęśliwiony otrzymanymi walonkami, które od dawna stanowiły moje marzenie zaproponowałem, że pomogę listonoszowi odszukać w domkach wszystkich adresatów przywiezionych przez niego przesyłek. Okazało się jednak, że są one wszystkie umieszczone na liście, którą otrzymuje komendant i on to dopiero doręcza przesyłki adresatom.

- Ale wiesz co - powiedział listonosz - niech ludzie wiedzą, że Dziad Mróz ( tak się nazywa sowiecki Św. Mikołaj ) do nich zdążył na czas. Pisać umiesz? - zwrócił się do mnie - No to odpisz sobie z mojej listy do kogo przyszły przesyłki, obleć



ludzi i powiedz im, że jutro swoje paczki i listy dostaną. Tylko niech się nie zdradzą, że wiedzą, bo wtedy ze mną będzie źle!

Siadłem do roboty i skopiowałem listę. W międzyczasie matka wyszukała wśród swoich rzeczy pamiętającą dobre czasy wełnianą garsonkę i jedwabną bluzkę i poprosiła, by listonosz zabrał te prezenty dla Marii.

Ja wciągnąłem wymarzone walonki i pobiegłem zawiadamiać ludzi. Kto mógł przypuszczać, że nazajutrz wybuchnie z tego powodu bomba.

Kiedy bowiem - jak zwykle po przybyciu listonosza, wywieszono przed kantorem listę osób, które zgłosić się miały po przesyłki, okazało się, że brak było wśród nich trzech nazwisk ludzi, których ja uprzednio o nadejściu dla nich paczek powiadomiłem.

Był to dzień wolny od pracy, więc zaraz z rana, po wywieszeniu listy pojawili się u nas zainteresowani z "reklamacją". Byli to szczęśliwie Pollakowie i jeszcze dwie rodziny, które znaleźliśmy. Przyszli najpierw do nas zastanowić się nad powstałą sytuacją.

Było dla nas zupełnie jasne, że paczki zostały sobie przywłaszczone przez komendanta i kompanów. Problem polegał na tym, jak dać mu do zrozumienia, że adresaci wiedzą o nadejściu paczek bez narażania listonosza.

Ustalono, że adresaci pójdą do komendanta i powiedzą, że z listów otrzymanych od rodzin wynika iż paczki dla nich powinny być nadejść już dawno i poproszą o interwencję na poczcie. Sądziliśmy, że reklamacja ze strony tych właśnie trzech osób, których paczki znikły nastraszy komendanta.

Okazało się jednak, że czuł się on mocno w siodle.

Interwenujących poprostu wypędził, a gdy powiedzieli, że będą się skarżyć, powiedział:

- A możecie się skarżyć aż do samego Stalina! Gówno wam to pomoże burżujskie mordy.

Było jasne, że normalną drogą żadna skarga do władz nie dotrze, bowiem zwykłej skrzynki pocztowej oczywiście nie było, a wszystkie listy do wysłania składało się niezaklejone u komendanta.

Zdecydowano tedy poprosić raz jeszcze o pomoc pocztyliona.

Przygotowano skargi do prokuratury i innych władz z prośbą o zbadanie warunków panujących na posesioku i ukaranie winnych za ciągłe okradanie nas.

Znaleźli się tacy, którzy pracując na stołówce i w piekarni widzieli jak komendant i majster wnosili mąkę i inne produkty i gotowi byli poświadczyć to, co widzieli w przypadku przybycia jakiegś komisji.

Pocztylion zgodził się zabrać i wysłać, no i zaczęło się wyczekiwanie na rezultat.

A tymczasem nadeszły szalenie silne mrozy. Wiszący koło kantoru termometr miał skalę do -50 stopni. Kilkakrotnie słupek rtęci chował się poniżej tej granicy. Było tak zimno, że bezpośrednio oddychanie

stało się niemożliwe. Trzeba było opatulać usta i oczy szalami, a z ich braku innymi szmatami i wciągać powietrze powoli i ostrożnie.

Kiedy dla zabawy chlustaliśmy w górę wodą z kubka, na ziemię spadały już dzwoniąc zamrożone kuleczki lodu. Na szczęście przedświąteczne zamiecie ustały, a potem już do samego końca zimy panowała całkowicie bezwietrzna pogoda, która w połączeniu z suchym powietrzem łatwiej pozwalała znosić mrozy.

Okres ten okazał się jednak ogromnie uciążliwy dla ludzi chorych na serce i innych silnie wycieńczonych, to też ilość zgonów w czasie tych najzimniejszych miesięcy bardzo się zwiększyła. W dodatku o wykopaniu grobów nie było nawet co marzyć, to też przez długie miesiące ciała zmarłych magazynowane były w specjalnie w tym celu zbudowanej szopie przy cmentarzu. Zostały one pochowane dopiero wiosną.

Właśnie wiosna była marzeniem wszystkich. Najczęstszym westchnieniem stało się powiedzonko "aby do wiosny!". Ta była jednak jeszcze bardzo odległa.

Kiedy na początku zimy pytaliśmy dziesiątnika, jak długo zwykła trwać zima w tych okolicach, ten ze śmiechem odparł:

- Jeszcze tylko jakieś dziewięć miesięcy zimy, a potem lato i lato!

I dużej przesady w tym wcale nie było.

Oficjalnie pracowaliśmy w lesie do -40 stopni, to znaczy taka właśnie miała być temperatura rano, gdy zbieraliśmy się koło kantoru przed wymarszem do lasu. Kiedy słupek rtęci wyraźnie wskazywał temperaturę niższą, majster albo któryś z dziesiątników zezwalał na rozejście się do domów. Gorzej było, gdy temperatura wahała się koło -40. Wówczas nasi władcy, którym widocznie zależało na jaknajwiększym urobku, bez dyskusji nakazywali wymarsz do lasu.

Raz jednak zdarzyło się coś na sowieckie stosunki zupełnie niesłychanego. A bohaterem tego wydarzenia był opisany już poprzednio "łowca niedźwiedzi" Chaim.

Chaim, który przed wojną trudnił się oficjalnie dorożkarstwem, a nie oficjalnie koniokractwem, miał siedmiu synów, z których możnaby zestawiać niezłą drużynę bokserką w samych cięższych kategoriach. Chłopaki były zaprawione w niejednej bójce, a kilku nosiło wyraźne ślady nożowych rozpraw. Mimo, że większość z nich była już pełnoletnia, słuchali ojca jak przystało w szanującej się żydowskiej rodzinie.

Kiedy w późniejszych latach czytałem książki Izaaka Babla, to opisywane przez niego typy odesskie ucieleśniały mi się natychmiast w postaciach Chaima i jego synów.

Otoż kiedy nastąpiły silne mrozy i wywożenie zamrożonych na kamień ekskrementów stało się niemożliwe, przydzielono Chaima z jego koniem do brygady, w której pracowali synowie, by wywozić drewno.

Tego ranka, gdy przyszedłem jak zwykle do kantoru spostrzegłem, że działo się coś niezwykłego. Wokół budynku tłoczyli się ludzie, a ze środka dolatywały pokrzykiwania majstra Pozdiejewa.

Zapytani koledzy wyjaśnili mi, że wiszący przy drzwiach katoru

termometr wskazywał dokładnie -40 stopni. Chaim doszedł do wniosku, że gdyby termometr przewiesić nieco dalej od drzwi, które stale otwierano, przez co ciepłe powietrze oddziaływało na pomiar, to wskazywana temperatura byłaby o parę stopni niższa a to uwolniłoby nas od pójścia do lasu.

Majster oczywiście nie chciał o tym słyszeć. Właśnie kiedy przepchnąłem się do drzwi kantoru stał on przed siedzącym koło rozpalonego do czerwoności żelaznego piecyka Chaimem i wykrzykiwał:

- Chcesz mi tu bunt urządzić? Chcesz ludzi do strajku namawiać?  
A wiesz co to znaczy w Związku Radzieckim strajki organizować?  
Ja cię za to razem z twoimi synkami na całe życie do lagru posłać mogę! Marsz mi w tej chwili do roboty i żadnych dyskusji!

Stary siedział dalej spokojnie, patrząc z dołu na rozgorączkowanego majstra, który stał przed nim z zacisniętymi pięściami. Z tyłu za ojcem stali półkolem, jakby uszykowani do obrony, synowie Chaima.

Przez chwilę panowała cisza, a potem stary, który nie rozumiał ani słowa po rosyjsku, odwrócił się nieco i zapytał po żydowsku jednego z synów:

- Co on mówi?

A gdy syn jak umiał, przetłumaczył słowa majstra, stary rzekł:

- Ty mu najsamprzód powiedz żeby on tak nie krzyczał, bo po pierwsze to ja nie jestem głuchy, a po drugie to on by mógł być moim synem, żeby mi Pan Bog uchronił od takich synów! I powiedz mu jeszcze, że ja mu życzę żeby on połamał kark i ręce i nogi za to, że on się tak do ludzi odnosi. A do lasu kto chce, to niech sobie idzie. Czy ja kogo za portki trzymam? Tylko my nie pójdziemy, a jego gróźb się stary Chaim nie boi. Nie takich chojraków ja się w życiu nie przestraszyłem!

Pozdiejew wpatrywał się bacznie w starego, a gdy ten skończył, zapytał syna:

- Co stary powiedział?

I wtedy Szloma, bo tak się nazywał syn Chaima, przetłumaczył wiernie to, co powiedział ojciec. Tylko zamiast "chojraków", dla których nie mógł znaleźć rosyjskiego odpowiednika, użył słowa "bohaterow", oddającego mniej więcej intencję starego.

Kiedy skończył, w kantorze i w tłumie, stojącym wokół budynku wybuchł niepohamowany śmiech. Śmiali się wszyscy drwale i nawet dwaj stojący obok Pozdiejewa dziesiętnicy. Tylko on sam i Chaim pozostali przez chwilę poważni. Majster zrobił się jeszcze bardziej czerwony i wpatrywał się w starego, jakby miał zamiar się na niego rzucić.

I wtedy Chaim uśmiechnął się rozbrajająco, rozłożył ręce i powiedział:

- Ny? I co będzie?

Było to powiedziane po żydowsku i Pozdiejew nie wiedział, co stary rzekł, ale nagle, czy to pod wpływem ogólnego śmiechu, czy też poprostu z respektu dla siedmiu murem za ojcem stojących synów, załamał się.

Zbliżył się do Chaima i poklepał go po ramieniu, mówiąc:



- Twarda z ciebie stary sztuka! No chodź, zobaczymy, czy masz rację z tym termometrem.

I oto okazało się, że stary miał rację. Przewieszony na inną ścianę termometr już po paru chwilach wskazywał -42 stopnie i wtedy, nawet nie czekając na komendę, wszyscy zaczęli się rozchodzić do domów.

A Pozdziejew, jakby tego nie widząc odwrócił się i wszedł do kantoru.

Tak zakończył się pierwszy chyba udany strajk w historii Związku Radzieckiego, a stary Chaim po raz drugi stał się bohaterem dnia.

Niedługo potem miało miejsce inne wydarzenie, które bardziej jeszcze od opisanego wstrzasnęło posiołkiem. Oto pierwszy, a jak się później okazało i ostatni z nas odważył się na ucieczkę.

W czasie krótkich, ukradkowych rozmów z miejscową ludnością w drodze na posiołek, słyszeliśmy od nich, że każda próba ucieżki skazana jest na niepowodzenie, bo i system konfidentów miejscowych i ciągłe kontrole na drogach kołowych i kolejach uniemożliwiają poruszanie się osób nieupoważnionych do tego w sposób, jak to ma miejsce na całym świecie.

Potem zorientowaliśmy się, że istnieje tylko jedna droga przez las, prowadząca do Wilwy, a stamtąd jedynym sposobem dotarcia do normalnej kolei jest wąskotorówka.

Oczywiście każdy z nas byłby wielokrotnie wykryty i zaaresztowany zanim zdołałby dotrzeć do kolei. Ale gdyby się tam nawet dostał, to i tak biletów na dłuższe dystanse nie sprzedawano bez specjalnych zezwoleń, a w czasie jazdy odbywały się, jak mówili ci, którzy jeszcze przed deportacją ze Lwowa zdążyli jeździć rosyjskimi pociągami, ciągłe kontrole.

Trzeba więc było być szaleńcem, żeby się odważyć na ucieczkę w tych warunkach. Szaleńcem, albo...Henrykiem Szafirem, naszym byłym współpasażerem z wagonu, kombinatorem, który z niejednego pieca chleb jadał.

On to bowiem - Szafir, dokonał tego, co nam pozostałym wydawało się niemożliwe. A odbyło się to tak:

Któregoś dnia, pod koniec zimy, w lesie wydarzył się wypadek. Drzewo upadło nie tak jak planowano i przygniotło dwóch pracujących przy nim drwali. Ponieważ śniegu było dużo i gałęzie padającego drzewa wgniotły ich w śnieg, nie odnieśli oni szczęśliwie poważniejszych obrażeń. Wyszli z wypadku mocno podrapani, ale bez złamań kończyn.

Traf chciał, że Szafir, będący właśnie w jakiejś sprawie w komendanturze usłyszał telefoniczną rozmowę komendanta z jakimś swoim przełożonym w Wilwie, czy też w Paszyi, w której składał on raport z zaistniałego wypadku. Było to bezpośrednio po tym, kiedy się wydarzył, więc komendant mówił, że chyba nie będzie potrzeby odsyłania kogoś z uszkodzonych do szpitala, chociaż ewentualności takiej nie wykluczał. Gdyby to okazało się konieczne - powiedział - to odeśle rannego do Wilwy, a stamtąd już niech milicja przekaże go dalej, do szpitala.

Ta rozmowa nasunęła Szafirowi ideę ucieżki.

Kiedy wieczorem okazało się, że rany poszkodowanych nie były poważne - plan dojrzał. Jak to się odbyło, dowiedzieliśmy się później od jego żony.

Otóż Szafir postanowił się wcielić w skórę jednego z poranionych w lesie. W tym celu w ciągu nocy przygotował pocięte na pasy płótno, które w jakiś sposób pokrwawił.

Rankiem, zaraz po kontroli obandażował sobie głowę i rękę i za ciemna jeszcze ruszył w drogę w kierunku Wilwy. Liczył na to, że przy wymarszu do pracy dziesiątnicy nie spostrzegą jego nieobecności. I tak też się stało. A sąsiadowi, który pracował w tej samej brygadzie żona powiedziała, że Szafir jest chory, więc i brygady jego nieobecność nie dziwiła.

Po kilku godzinach marszu dotarł Szafir do tatarskiej wsi, a zaraz za nią dogonił go jakiś jadący saniami w stronę Wilwy kołchoźnik. Widząc pokrwawione bandaże zatrzymał się i zaproponował podwiezienie Szafira. Nie zrobiłby tego oczywiście w innych warunkach. Przeciwnie, bojąc się o własną skórę, zameldowałby napewno o spotkaniu jakiegoś człowieka idącego z będącej miejscem odosobnienia Korostielówki. Ale krew na bandażach i opowiadanie Szafira o wypadku w lesie uspokoiły go.

A zupełnie już rozwiały się napewno ewentualne wątpliwości, kiedy Szafir po przybyciu do Wilwy poprosił o podwiezienie go na psterunek milicji.

Zgłoszenie się na milicji było wielkim ryzykiem, bo nie wiadomo było czy po podsłuchanym telefonie nie było dalszych rozmów. Istniało też ryzyko, że po zgłoszeniu się Szafira miejscowy komendant porozumie się z posiołkowym, by sprawdzić, czy Szafir rzeczywiście skierowany został do szpitala.

Z drugiej strony była to jedyna droga dostania się do miasta Czusowej, gdzie mieścił się szpital, to też Szafir zaryzykował licząc chyba na swoją szczęśliwą gwiazdę.

Potem w liście do żony pisał, że z okresu swojej dawnej "działalności zawodowej" w Polsce znał dobrze atmosferę komisariatów policji, ale nigdy, nawet gdy przekraczał ich progi schwytyany na jakimś gorącym uczynku, nie miał takiej "mojry", jak tym razem, kiedy podtrzymywany przez uczynnego kołchoźnika wchodził do budynku miejscowego NKWD.

Widocznie jednak scenariusz był wystarczająco przekonujący, bowiem bez telefonicznego sprawdzania danych, komenda w Wilwie postanowiła go przesłać do komendy w Paszy, którą przez telefon poproszono o dalsze przekazanie go do Czusowej.

I oto po godzinie Szafir siedział już w unoszącej go do Paszy wąskotorówce. A tam czekał już na niego milicjant, który załatwił mu bilet do Czusowej i ulokował "rannego" w normalnym pociągu.

O tym, jakim cudem udało mu się dostać aż do Lwowa historia milczy. Napewno nie było to ani proste ani łatwe. Ale udało się!

Po paru tygodniach Szafirowa dostała list, że mąż jest już we Lwowie, pracuje w dawnym "zawodzie", powodzi mu się dobrze i będzie jej posyłać paczki, a może też - jak uzbiera więcej pieniędzy

-uda mu się jak się wyraził - kupić - u jakiegoś dygnitarza prawo powrotu dla niej. Szafir pisał także że równocześnie wysłał list do komendanta z prośbą by opiekował się jego osamotnioną żoną i małą Lidką, a on mu za to będzie czasem także posyłał paczki. Zdawał sobie napewno sprawę z tego, jak bardzo wściekły był komendant na jego żonę.

Kiedy ucieczkę Szafira spostrzeżono, a stało się to przy wieczornej kontroli i uciekinier znikł już dawno z oczu milicji w Paszy, komendant dostał ataku furii. Szafirową razem z córką zamknął w mieszczącym się na parterze budynku komendy areszcie.

Zaraz też zaczęły do uszu mieszkających w pobliżu ludzi dochodzić straszliwe krzyki. Wszyscy byli przekonani, że kobietę i dziewczynkę biją. A wiadano już wtedy, że Szafirowa była w ciąży. Po pół godzinie rabin który mieszkał w pobliżu postanowił udać się do komendy i prosić o litość dla ciężarnej kobiety i dziecka. Wraz z nim poszedł Kostopolski i jeszcze kilka osób. Ale do interwencji u komendanta nie doszło, bo kiedy zbliżyli się do drzwi aresztu z za których dochodziły krzyki zauważyli, że wisi na nich ogromna kłódka.

Rabin zapukał i zawołał:

- Hallo, pani Szafirowa!

- No ? Co jest ?

- Dlaczego pani tak krzyczy ? Bili panią ?

- Komendant mi dał dwa razy po pysku. Ale ja nie dlatego krzyczę. Jakie on ma prawo mnie zamykać ? Co ja zrobiłam ? Ukradłam co ? Z jakiej racji ja mam tu marznąć z dzieckiem, a on sobie będzie tam na górze spokojnie spał ? Niedoczekanie jego ! Jak mnie nie wypuści, to i sam spać nie będzie !

- A może będzie lepiej poczekać do rana, aż mu złość przejdzie ? Jutro się za panią wstawimy.

- Gównu mi wasze wstawienie pomoże. Jak ja sama sobie nie pomogę to mi nikt nie pomoże.

I krzyki rozległy się na nowo ze zdwojoną mocą i waleniem czymś twardym o ścianę aresztu. Delegacja wróciła do swoich domów. Większość uważała, że to się może dla Szafirowej źle skończyć. Ale okazało się, że ona miała rację. Oto bowiem po północy krzyki i walenie w ścianę nagle się urwały. Sąsiedzi komendantury, którzy i tak spać nie mogli przyłgnęli pełni złych przeczuć do okien. Ale po chwili odetchnęli z ulgą. W świetle księżyca ujrzeli bowiem wychodzącą z komendantury Szafirową, prowadzącą za rękę Lidkę.

Komendant miał żonę i dzieci. Oni też chcieli spać, a zorientowawszy się, że groźbami nic nie zdziała, wolał już narazić na szwank swój autorytet.

Być jednak może, że już wtedy doszły do niego słuchy o mającej przybyć komisji kontrolnej. Po paru bowiem dniach, nie wiadomo, czy wskutek wysłanych skarg, czy też ucieczki Szafira, ktoś tam we władzach NKWD postanowił zorientować się, jaka jest sytuacja na posiołku.

Pierwszą oznaką tego, że coś się dzieje było pojawienie się w



stołówkowej zupie, w której dotychczas dominowały ziemniaczane obierki, większej ilości całych kartofli, a nawet drugiego dania w postaci rzadkiej kaszy.

Potem otrzymaliśmy nagle zaległą wypłatę pieniędzy. Nikt się o nie specjalnie nie upominał, bo i tak kupić za nie niczego nie było można. Tylko czasami, bardzo rzadko pojawiało się w sklepiku coś do kupienia poza zwykłym przydziałem chleba.

Te nagłe zmiany pozwalały się domyślać, że coś się zbliża.

I rzeczywiście któregoś dnia pod koniec zimy, na naszym leśnym odcinku pojawił się komendant z majstrem i paroma nieznanymi nam, dobrze ubranymi osobnikami. Domyśliliśmy się, że to właśnie komisja, z przybyciem której wiązaliśmy takie nadzieje.

Komendant, wskazując na tęgiego, raczej na tragarza wyglądającego mężczyznę powiedział, że to jest - jak się wyraził - towarzysz prokurator, który przybył żeby zobaczyć jak nam się żyje, a to - wskazał na innego, odzianego w futrzaną burkę, także czapę i walonki mężczyznę - dyrektor okręgowy przemysłu leśnego, którego interesuje, jak my ten plan dostaw drewna realizujemy. Tu zaśmiał się ironicznie.

Z pracujących w naszej brygadzie mężczyzn najlepiej władał językiem rosyjskim Adam Zakrzewski. Kiedy więc prokurator, zwracając się do wszystkich zapytał:

- No, jak wam się pracuje? - Adam wysunął się do przodu i rzekł:

- Pracujemy, bo nas do tej pracy zmuszono, ale pożytku z niej wiele nie ma, bo mamy zupełnie inne zawody, w lesie nigdy przedtem nie pracowaliśmy, a także zdrowie większości z nas nie pozwala na wyczerpującą pracę fizyczną.

Poza tym wyżywienie jest bardzo marne, chociaż - dodał patrząc na komendanta - w ostanich dosłownie dniach bardzo się poprawiło. No i ubrań odpowiednich do takiej pracy też nie mamy. Ot - ciągnął - żebyśmy byli tak ubrani jak pan dyrektor od przemysłu leśnego...

Tu dyrektor nie wytrzymał:

- Ja nie jestem żaden "pan". Panowie to byli w waszej pańskiej Polsce. A tu wszyscy są równi. A co do tych waszych pretensji, to tylko tylej umiecie. Daj to, daj tamto. A za co, pytam się. Normy to nawet pewnie połowy nie wykonujecie, co? - zwrócił się do majstra.

- Gdzie tam - z pogardą odparł zapytany.

- Gdybyśmy mogli pracować w naszych zawodach, to napewno nie bylibyśmy gorsi od innych. Ale w lesie nigdy fachowcowi nie dorównamy - Zakrzewski uparcie powracał do swojej tezy.

- Zawodach, zawodach - przedrzeźnił dyrektor - A jaki ty masz zawód? - zapytał Adama.

- Jestem inżynierem, specjalistą od budowy portów

- Inżynier, a lasu rąbać nie umie! - wykrzyknął dyrektor - Ot i ja także jestem inżynierem, a postawię mnie do pracy w lesie, to nie jedną, a dwie normy wykonam!

Aleksiejewicz, który dotąd stał spokojnie, przysłuchując się

dyskusji, zbliżył się do dyrektora, wyciągnął trzymany w ręku topór i powiedział, używając formy "ty", jak to robił dyrektor wobec Zakrzewskiego:

- A no pokaż jak to się robi. My się chętnie popatrzymy, a może się i czegoś nauczymy.

Zaskoczony dyrektor najpierw wziął topór z rąk Aleksejewicza, ale po chwili dotarła do jego świadomości treść słów tego ostatniego. Wtedy ze złością cisnął topór daleko w śnieg, odwrócił się wściekły i ze słowami:

- Przekłęte burżuje -

oddalił się w kierunku ścieżki. Reszta ruszyła za nim, ale na odchodnym prokurator powiedział do Zakrzewskiego:

-My się jeszcze zobaczymy.-

Nie wiedzieliśmy, czy traktować to jako groźbę, czy zapowiedzi próby rzeczywistego zorientowania się w sytuacji na posiołku.

Już jednak tego samego wieczoru mieliśmy się przekonać, że komisja naprawdę chce się czegoś dowiedzieć.

Widocznie godzina naszego komendanta już wybiła i przeznaczeniem jego było - jak to zwykle w ustroju sowieckim ma miejsce - spaść nagle z dosiadanego konia. Nie sądzę, by przyczyną tego były nasze skargi. Pewnie gdzieś tam komuś nasz komendant nie dogodził. A może do niełaski przyczyniła się także ucieczka Szafira. Dość na tym, że ci, których komisja wzywała, zorientowali się od razu, że komendant jest skończony.

Najbardziej tryumfował Frydman, dla którego przybycie i działalność komisji były potwierdzeniem sowieckiej praworządności.

Dwoił się więc i troił w wyszukiwaniu dowodów wykroczeń komendanta i coraz to sprowadzał przed oblicze komisji oszukanych w jakiś sposób ludzi. Siedział teraz stale w komendanturze jako tłumacz.

Jednymi z pierwszych przesłuchanych byli trzej, których paczki zniknęły. Pokazano im listę z pokwitowaniami, a gdy stwierdzili, że podpisy ich na liście były sfalszowane, zrozumieliśmy, że los komendanta został przypieczętowany.

Potem wzywano wielu, wielu innych i pokazywano im również dawne listy pokwitowań. Dopiero wtedy zorientowaliśmy się, jak wiele paczek stało się łupem naszych dozorców.

Ale jeśli ktoś sądził, że dowiemy się o ukaraniu komendanta i jego współników, to był w grubym błędzie.

W kilka dni po wyjeździe komisji dowiedzieliśmy się poprostu, że stary komendant wyjechał nagle wraz z całą rodziną, a na jego miejsce pojawił się inny lejtnant NKWD.

Pierwszą czynnością nowego komendanta było przepędzenie z komendantury tłumacza - Frydmana, któremu po współpracy z komisją wydawało się chyba, że zadomowił się tam na dobre.

Muszę przyznać, że to pociągnięcie zyskało nowemu komendantowi trochę sympatii u wielu posiołkowiczów.

Ale szybko postępujące po sobie następne, świadczyły, że ta zmiana wiele korzyści nam nie przyniesie. Nowy władca dokonał

osobiście przeglądu ludzi zwolnionych z pracy w lesie, w rezultacie czego tolerowani uprzednio chorzy, a także kilka osób zdrowych, które zajmowały się nauczaniem dzieci i z czasem uzyskały przywilej pozostawania w domu - powędrowali do lasu.

Potem zamieniono magazynierów w stołówce i piekarni na rosyjskich funkcjonariuszy. W ten sposób, nauczony przykrym doświadczeniem poprzednika komendant pozbył się niepożądanym świadków wynoszenia produktów.

A jeśli chodzi o paczki, to zmieniło się tylko tyle, że przestały chyba znikać w całości, ale za to tym więcej ubywało z tych, które dochodziły do rąk adresatów.

Najszybciej wróciło wszystko do normy w stołówce, gdzie w zupie znów dominowały obierki, a drugie danie znikło, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wraz z wyjazdem komisji.

Potem niejednokrotnie jeszcze ponawiano pisanie skarg do różnych władz, ale zmiana na lepsze w traktowaniu nas nastąpić miała dopiero dużo, dużo później. Narazie władze uważały widocznie, że i tak wiele dla nas zrobiły, wysyłając komisje i zastępując jednego kanciarza innym.

Pocieszało nas to, że w powietrzu pojawiać się zaczęły pierwsze oznaki zbliżającej się wiosny. Czekaliśmy na nią wszyscy jak na zbawienie, bo zima mocno się nam dała we znaki.

Tymczasem jednak minął marzec i kwiecień i chociaż zimno nie tak już dokuczało, to śnieg wciąż jeszcze leżał, a lód na rzece ani drgnął.

Długo wyczekiwany wiosenny przełom nadszedł dopiero koło dziesiątego maja.



## Odcięci od świata

---

Najpierw zaczął tajać śnieg. Tajał dziwnie, od spodu. Nagle nasze pogrążone w białym morzu domki zaczęły "rosnąć", wynurzać się jakgdyby ze śnieżnej pokrywy.

Stopniowo wyrastały tak ze sniegu różne, otaczające domki przedmioty, o których istnieniu zdążyliśmy zapomnieć, jak na przykład groby naszych posiołkowych poprzedników - dońskich Kozaków.

Potem któreś nocy obudziły nas głośne huki. Myśleliśmy, że to pierwsza wiosenna burza, ale kiedy rano zebraliśmy się przy kantorze okazało się, że w nocy ruszyła rzeka, a huk był odgłosem pękającego lodu.

Spiętrzone lodowe barykady robiły niesamowite wrażenie, a wezbrana, pędząca rzeka była zupełnie nie podobna do tej, którą pamiętaliśmy z lata i jesieni. Był to dwudziesty dzień maja.

Zaraz też rozpoczęła się gorączkowa działalność związana ze splawem drewna. O splawie słyszeliśmy od dziesiętników przez całą zimę, ale nikt z nas nie miał pojęcia, jak się taką operację przeprowadza.

Okazało się zaraz, że część drewna została ustawiona zbyt blisko brzegów, to też została porwana przez pierwszą wielką falę. Było to niekorzystne, bo po pierwsze lody uszkadzały wiele przeznaczonych na materiał budowlany pni (przygotowywały je inne brygady, my robiliśmy tylko szczapy na węgiel drzewny), a po wtóre gdzieś tam w dole rzeki wyławiający mieli dużo trudności z oddzieleniem drewna od kry lodowej.

Według zasad sztuki splawowej, należało odczekać trochę i zaraz po odejściu głównej masy lodu, korzystając z wysokiego stanu wody zacząć splaw.

Muszę powiedzieć, że początkowo praca ta wydawała mi się przyjemna. Pędzący żywioł, do którego wrzucaliśmy najpierw drewno budowlane, a potem stojące w sągach szczapy, był bardzo malowniczy i działał na młodzieńczą wyobraźnię.

Bardzo szybko jednak okazało się, że praca była i bardzo ciężka i ogromnie niebezpieczna.

Na rzece tworzyły się coraz zatory, które trzeba było rozpychać za pomocą długich, zakończonych żelaznymi hakami żerdzi - bosaków.

Nie zawsze można to było robić z brzegu. Gdy zator był duży, konieczne było włożenie na dygoczącą masę drewna, grożącą w każdej chwili rozpadnięciem się. Nie raz też, by przedostać się do czoła zatoru trzeba było przeskakiwać z jednego na drugi unoszący się na wodzie pień. Wówczas należało posuwać się jaknajszybciej, bo pod naciskiem stopy pnie obracały się i pogrążały w wodzie.

Z wielką wprawą i bardzo lekko, jak na swoją niedźwiedziowatą postać robił to dziesiętnik Winogradow. Jego taneczny sposób

przesuwania się po pływającym drewnianym dywanie podobał się, a nawet może imponował niektórym z nas młodym, to też staraliśmy się go naśladować. Rezultat tego sportu nie dał na siebie długo czekać.

Drugiego dnia spławu przybiegł do naszej brygady majster i zabrał czterech mężczyzn do rozbijania zatoru, który utworzył się kilkaset metrów od nas w dole rzeki.

Kiedy przyszlismy na miejsce było tam już kilku mężczyzn z innych brygad. Ich dotychczasowe wysiłki odepchnięcia pni od brzegu nie dawały rezultatu.

Widząc to Pozdziejew skomenderował:

- Ty, ty, ty i ty - wskazał na czterech najmłodszych, a między nimi i na mnie - Ano włączcie na górę i pchajcie stamtąd. Inaczej mi cały spław stanie.

Dwaj chłopcy, nieco może ode mnie starsi, Tadek i Lolek, podpierając się bosakami, wdrapali się na spiętrzoną barykadę z drewna i zaczęli od góry wypychać te bale, które stojąc ukośnie lub w poprzek hamowały spływ pozostałych. My pomagaliśmy im bosakami z boku.

Udało się w ten sposób uwolnić część drewna i cały zator zaczął z głośnym trzaskiem rozluźniać się.

Lolek i Tadek złazili właśnie z góry drewna, gdy nsatąpiło nieszczęście.

Widocznie ruszył któryś z zakotwiczonych dotąd bali, trzymających całą piramidę, bo ta zaczęła się nagle rozpląszczać i szybko pogrążyć w wodzie, a wraz z nią chłopcy.

Ja stałem zaledwie kilka metrów od brzegu, to też udało mi się, przeskakując po balach dostać na trwały ląd. A gdy dotarłem do brzegu obejrzałem się, dostrzegłem już tylko Lolka, jak wciąż jeszcze uśmiechnięty, trzymając się swojego bosaka, usiłował przy jego pomocy wdrapać się na złączone niczym tratwy, płynące z nim razem bale. Tadek już nie było widać.

Ci, którzy obserwowali scenę z brzegu w bezsilnej rozpaczce mówili potem, że obsunął się on do wody odrazu i potem już nigdy nie wynurzył się.

Tymczasem Lolek spływał z szybkim prądem w dół rzeki. Staraliśmy się, brnąc wzdłuż rozmokłych i pokrytych spławianym drewnem brzegach nadążać za unoszonym przez wodę widocznym wciąż jeszcze Lolkiem.

Było to straszne uczucie, bezradność wobec nadchodzącego nieszczęścia doprowadzała do rozpaczce, ale żadnej możliwości dotarcia do nieszczęślika nie było.

Parę minut później nastąpiło to, czego baliśmy się najbardziej. Potężny prąd wciągnął Lolka pod warstwy stojącego na rzece nowego zatoru. Raz jeszcze mignęła nam między kłodami jego głowa, a potem znikł zupełnie.

Kilku z nas zaczęło posuwać się, przeskakując z kłody na kłode w kierunku gdzie widzieliśmy go po raz ostatni, ale w chwili, gdy znajdowaliśmy się parę zaledwie metrów od brzegu, ruszył i ten zator.

Ja i ktoś jeszcze znaleźliśmy się w wodzie, rwącej ale w tym miejscu płytkiej, to też uchwyciwszy się podanych przez tych co

stali tuż przy brzegu bosaków, zdołaliśmy wydostać się na ląd.

Długo jeszcze grupki ludzi posuwały się wzdłuż rzeki, wypatrując topielców. Ale ani Tadka ani Lolka nigdzie nie dostrzegliśmy. Poszukiwania trwały do wieczora, choć jasne już było że obaj przepłacili życiem wykonanie polecenia majstra. Rozpacz rodzin była oczywiście ogromna. Nagła i zupełnie niepotrzebna śmierć dwóch młodych chłopców wywołała bardzo silne wrażenie na wszystkich mieszkańcach posiołka.

Jeszcze tego samego wieczoru kilku mężczyzn udało się do komendanta z żądaniem by wobec Pozdiejewa wyciągnięte zostały konsekwencje i żeby został on zastąpiony przez bardziej ludzkiego Winogradowa.

Ale już samo użycie zwrotu "żądamy" rozjuszyło komendanta niesamowicie.

- Ja wam tu dam stawiać żądania - krzyczał - Kto wam dał prawo dyktować władzy radzieckiej, kto tu ma być majstrem? A może wam się chce prawdziwego obozu powąchać, co? Tam by was wychowali jak trzeba! A przy spławie - dodał - ludzie toną często. A za to, że oni byli niezdarni majster odpowiadać nie może. Rozejść mi się do domów, bo was zaraz posadzę jako "buntowszczyków"! Po tej rozmowie postanowiono znów napisać do prokuratora. Wiem, że list taki wysłano. Ale śmierć dwóch młodych chłopców nie była widocznie dostatecznym powodem by wszczynać dochodzenie, bowiem o żadnych skutkach listu nie dowiedzieliśmy się.

Tymczasem długo wyczekiwana wiosna, z którą wszyscy wiązali tyle nadziei zaczęła nam się mocno dawać we znaki.

Jedyna droga, jaka łączyła nas ze światem przebiegała częściowo przez tereny silnie podmokłe. Teraz przemieniły się one w wielkie, nie do przebycia ani pieszo, ani konno, ani łodzią grzęzawiska.

Po pierwszych roztopach i deszczach dotarł do posiołka jeden transport mąki i poczta, a potem komunikacja została przerwana zupełnie.

Skutkiem było zmniejszenie po tygodniu i tak nie wystarczających racji chleba. Po dalszym tygodniu i te racje uległy zmniejszeniu do 200 gramów na osobę. W połączeniu z brakiem paczek oznaczało to głód i to głód nie byle jaki, potęgowany pracą fizyczną na wolnym powietrzu.

Po długiej, wyczerpującej zimie byliśmy i tak wszyscy wymęczeni i wymizerowani. Teraz biała dotąd cera ludzi przemieniać się zaczęła w ziemistą, a zmniejszona odporność na choroby i wyczerpanie spowodowały, że w każdym domku leżało po kilka chorych osób. Najbardziej dawał się we znaki skorbut, leczony przez najzapobiegliwszych przechowanym od jesieni, zasuszonym czosnkiem i cebulą.

W lesie początkowo niczego nadającego się do jedzenia nie było. Na szczęście jednak wkrótce pojawiła się rosnaca w dużych ilościach pokrzywa i lebioda, Skarb ten znoszono do domów workami. Ugotowana jak szpinak, stanowiła pokrzywa prawdziwy przysmak. Szczęśliwcy, którzy przechowali jeszcze resztki mąki z paczek dorabiali do niej



zasmażkę na, albo i bez tłuszczu. Pamiętam, że zapach przygotowywanej u naszych sąsiadów Aszerów zasmażki przyprawił mnie o zawrót głowy i mdłości z głodu.

Najczęstszym tematem wieczornych rozmów stało się jedzenie. Zjechanie na ten temat, chociaż zakrawało na samobiczowanie, było jednak nie wiedzieć dlaczego nieuniknione.

Wyglądało to tak. W każdym niemal domku zbierali się wieczorami ludzie, by podyskutować nad naszą przyszłością. Siedziało się najczęściej nad kubkiem wrzątku, zabarwionego jakimiś ususzonymi roślinami - a trzeba powiedzieć, że tu wynalazczość była wielka - i nagle ktoś zaczynał:

- Zjadłbym sobie teraz befsztyczek z cebulką i smażonymi kartofelkami.
- A ja tęsknię najbardziej za owocami.
- E, co tam owoce. Nimi się najęść nie można.
- A co byście powiedzieli o pieczonym, nadziewnym, chrupiącym kurczaczku?
- Jak już coś nadziewanego, to ryba. Boże! Pamiętam tą rybę po żydowsku u mojej teściowej. Co jak co, ale to, to ona naprawdę umiała robić. Jeździliśmy do niej zawsze z Warszawy do Wilna na wielkanocny "seder" i tej wizyty u teściowej nigdy nie żałowałem, bo wyżerka była fenomenalna.
- A u nas to się panie robiło bigosik taki, że jeszcze dziś mi ślinka cieknie jak go wspominam. Chociaż prawdę mówiąc, to mi dziś ślinka cieknie nawet na wspomnienie zwykłego kartofla!
- O, właśnie. Moje największe marzenie, to nazreć się do syta chlebem i ziemniakami.

Kiedys w czasie takiej rozmowy Bolek Fabian zerwał się nagle i ze słowami:

- Czekaście, zaraz wam coś ciekawego przeczytam - zaczął grzebać na zbitej z żerdzi półce, zawalonej jakimiś rupieciami.

Po chwili wyciągnął gruby tom, którym - jak się okazało - była znana książka kucharska Cwierciakiewiczowej, przywieziona - o ironio losu! - na posiołek przez teściową Bolka, panią Pollakową.

Przez chwile Bolek wertował opasłą księgę, aż wreszcie znalazł coś odpowiedniego.

- O mam, słuchajcie. Przepis na tort weselny.

A potem zdołał przeczytać tylko trzy słowa. Przerwał mu wybuch takiego śmiechu, że o dalszym czytaniu nie mogło być mowy. Słowa te, a mianowicie: "Weź kopę jaj..." wydały się nam, którzy od przeszło roku nie widzieliśmy ani razu jajka, czymś tak abstrakcyjnym i śmiesznym, że przez długi czas śmialismy się do lez. Kiedy potem opowiadaliśmy o tym innym znajomym na posiołku - reagowali oni w ten sam sposób. Cytatę Bolka uznano za najlepszy dowcip, a zwrot "weź kopę jaj" stał się na posiołku synonimem czegoś zupełnie nieosiągalnego, czegoś w rodzaju marzenia ściętej głowy.

Ale mimo że rozmowy takie jeszcze bardziej zaostrzały głód, były one powszechne i z góry wiadomo było, na czym skończy się każda wieczorna pogawędka. Celowały w tym oczywiście panie, a pamiętam, że

niektóre zapisywały sobie nawet różne gastronomiczne recepty, co stanowiło przedmiot docinków ze strony mężczyzn.

Brak komunikacji, to był nie tylko głód. Był to także brak możliwości odstawienia do szpitala ludzi, których dolegliwości wymagały interwencji chirurga. Wprawdzie i przedtem nie cackano się w takich przypadkach, ale parę osób w ciągu zimy jednak do szpitala odtransportowano. Teraz okazało się to zupełnie niemożliwe. A właśnie nasz współlokator, Szwarctuch zanieczyścił prawdopodobnie ranę na ramieniu i w rezultacie wywiązała się zgorzel. Ręka spuchła potwornie, gorączka utrzymywała się około 40 stopni i chory męczył się bardzo. Wezwany felczer pokiwał tylko głową, kazał - jak to było do przewidzenia - smarować reke Rivanolem, co pomóc mogło tyle, ile umarłemu kadzidło i poszedł.

Zrozpaczona Ida prosiła o pomoc innych lekarzy, ale i oni byli zupełnie bezradni. Janek Kunc, obejrzawszy rękę powiedział, że jeśli ogromny ropień nie otworzy się i to szybko, konieczne będzie przecięcie go i oczyszczenie rany, ale to można robić tylko dysponując odpowiednimi środkami opatrunkowymi i dezynfekcyjnymi.

Minęły jeszcze dwa dni, Szwarctuch był już nieprzytomny, a ropień nie otwierał się. O przetransportowaniu go do szpitala nie mogło nawet być mowy.

I wtedy, widząc, że życie chorego wisi na włosku, Janek zdecydował się na dokonanie zabiegu. Biegaliśmy po całym posiołku wypytując, czy ktoś ma środki opatrunkowe lub dezynfekujące i trochę gazy i bandaży dostaliśmy. Od jednej z pań, która pracowała u felczera dostaliśmy to, co tam było, t.j. jodynę i watę. Felczera o mającym nastąpić zabiegu Janek informować nie chciał.

Z braku skalpela, wybrał Janek najbardziej odpowiedni z przyniesionych mu nożyków, który ja naostrzyłem najlepiej jak umiałem.

Zabieg musiał się odbyć wieczorem, po pracy, bo do niedzieli było zbyt daleko, a jedynym światłem jakim dysponowaliśmy były t.zw. kopciłki, czyli lampki zrobione ze stoików z knotem zanurzonym w nafcie albo oleju. My w naszym domku nie mieliśmy i tego, to też od dawna używaliśmy do oświetlenia izby pociętej na wąskie pasemka brzozej kory, ale dwie kopciłki z naftą dostaliśmy na ten cel od sąsiadów, którzy uchowali jeszcze trochę drogiego płynu.

Mnie przypadło w udziale trzymanie jednej takiej lampki tak, by Janek jaknajlepiej widział pole operacyjne.

O jakimkolwiek znieczuleniu nie było oczywiście mowy.

Byłem młody i do takich widoków nie nawykły, to też gdy Janek, nasmarowawszy najpierw całe ramię jodyną, zrobił głębokie cięcie, przyczym nieprzytomny Szwarctuch okropnie jęknął i gdy z otwartego ramienia trysnęła dosłownie cuchnąca ropa - zrobiło mi się słabo i omal nie zemdląłem. Dopiero okrzyk zdenerwowanego Janka:

- Trzymajcie do cholery to światło jak należy!  
przywołał mnie do porządku.

Wydezynfektowawszy ranę jak się dało, Janek rzekł:

- A teraz zobaczymy co z tego wyniknie.

I stał się cud. Już następnego dnia Szwarctuch odzyskał przytomność i temperatura wyraźnie opadła. Ropa sączyła się jeszcze długo, ale stopniowo rana zaczęła się goić i po paru tygodniach zagoiła się zupełnie.

Nie była to jednakże najbardziej dramatyczna operacja, dokonana na pasiołku.

Zdarzyło się bowiem, że zaraz w parę dni po opisanym zabiegu, gdy droga była jeszcze w dalszym ciągu nie do przebycia, dostał zapalenia wyrostka robaczkowego syn innego, przebywającego na pasiołku lekarza.

Kiedy okazało się, że nie było to podrażnienie, ale stan zapalny, wymagający zabiegu operacyjnego - zwrócono się do komendanta, by z braku możliwości przetransportowania chłopca - helikopterów jeszcze wtedy nie było - poprosił chociaż telefonicznie o dostarczenie drogą powietrzną narzędzi chirurgicznych i materiałów opatrunkowych.

Obiecał to zrobić i - jak twierdził - dostał przyzeczanie, że sprawa będzie załatwiona. Wiedzieliśmy, że w ten sposób, zrzucając pakunki z samolotów, zaopatrywano m.in. ekspedycje polarne i geologiczne.

Ale minął dzień, potem drugi, a obiecany zrzut nie nadchodził. I wtedy ojciec chłopca - widząc, że dalsza zwłoka jest niemożliwa - zdecydował się dokonać operacji. Jako ginekolog miał on jako taką praktykę chirurgiczną. Pomagać mu zgodzili się Janek i jeszcze jeden nieukończony lekarz.

Na szczęście okazało się, że felczer miał trochę katgutów do zszywania ran. Ale i to było bardzo wiele.

Na rezultat operacji, robionej zresztą niemal na żywo, bo chłopca uspięto tylko kilkoma proszkami nasennymi, czekał z zapartym tchem cały posiołek.

Tym razem nie obyło się bez komplikacji i chłopiec długo jeszcze szybował między życiem i śmiercią, ale w końcu wyżył.

Za to ojciec jego, który sam dokonał zabiegu zmarł po paru tygodniach na zawał serca. Przeżycia były widocznie zbyt silne.

Wogóle zmarło tej wiosny dużo osób. Nie wiem w jakim stopniu przyczyniły się do tego warunki, a szczególnie brak leków. Nie wiem ilu spośród tych, których pogrzebaliśmy na wzgórzu, przy drodze miało szanse utrzymania się przy życiu, bowiem nikt z nas takich dociekań wówczas nie robił, a dziś jest na nie zbyt późno.

Ale napewno stwierdzić można, że dla bardzo wielu korostielowski cmentarz nie musiał stanowić kresu drogi.



## Sabotażyści

---

Wkrótce potem, kiedy droga podeszła na tyle, że nadawała się już do przebycia, do posiołka dotarł transport jakichś skrzyń. Okazało się, że była to piła mechaniczna, t.zw. "cyrkularka", napędzana ropnym silnikiem, która w naszym tartaku zastąpić miała piły ręczne, przy pomocy których dotąd cięto bale na deski. Praca przy tej ręcznej pile była nawiasem mówiąc wręcz katorżnicza. Obsługiwało ją dwóch mężczyzn, a wyglądało to tak:

Okorowany i oczyszczony z gałęzi bal kładziono na dwóch wysokich kozłach. Już samo wtoczenie go tam nie było rzeczą łatwą.

Potem jeden z pilujących zajmował miejsce na górze, stojąc na samym balu. Drugi stał pod spodem. Pila miała około dwóch metrów długości i była u góry szersza niż u dołu. Dzięki temu, wskutek pionowych ruchów wahadłowych, wykonywanych przez pilujących, wrzyniała się ona w drzewo.

Stojący na górze podciągał pilę, a potem stojący na dole sciągał ją silnie w dół. A trzeba było jeszcze pilnować zachowania właściwego kierunku, by deski miały mniej więcej jednakową grubość.

Była to praca ogromnie trudna i wyczerpująca, to też tylko najsilniejsi dawali sobie z nią radę. Zapłatą był nieco większy przydział chleba.

I oto teraz ta katorżnicza praca zastąpiona być miała przez pierwszą na posiołku maszynę poruszaną nie za pomocą siły ludzkiej.

Chociaż nie! Przepraszam! Była to druga taka maszyna, bo pierwszą stanowił poruszany przez chodzącego w kółko konia kierat do wyrabiania gliny na niedawno powstałej posiołkowej cegielni.

Razem z nową pilą przyjechało dwóch mechaników i po pewnym czasie głośny dźwięk wirującej piły obwieścił narodziny nowej, zmechanizowanej ery na tartaku.

Do obsługi piły majster wyznaczył dwóch mężczyzn, z których jeden był z zawodu mechanikiem, a drugi miał przed wojną taksówkę. Mechanik nazywał się Zaleski, a taksjarski Rozenman. Do pomocy, t.zn. do korowania bali, wtaczania ich i sztaplowania, czyli układania gotowych desek wyznaczony został jeden z synów starego Chaima, Elek i - niewiedzieć dlaczego - ja.

Przyznać muszę, że z nominacji tej byłem bardzo zadowolony, tym bardziej, że do innych prac pomocniczych na tartaku, jak sprzątanie trocin i kory, wyznaczono wspomnianą już poprzednio adeptkę sztuki cyrkowej Alę, która podobała mi się bardzo, a do której nigdy jakoś nie udawało mi się zbliżyć, gdyż - choć nie wiele ode mnie starsza - uważała się za dorosłą i trzymała się raczej w towarzystwie starszej dużo ode mnie młodzieży.

Nowa praca i stała bliskość Ali budziły w moim szesnastoletnim sercu nowe nadzieje. I rzeczywiście zbliżyliśmy się z Alą bardzo

szybko. A że praca była lżejsza niż w lesie, czułem się bardzo szczęśliwy. Ale ta idylla trwała bardzo, bardzo krótko.

Mniej więcej w dwa tygodnie po rozpoczęciu naszej tartacznej działalności przydarzyło się coś, co przemienić miało idyllę w piekło.

Stało się to rankiem, gdy na ruchomych kołach leżał pierwszy w tym dniu piłowany kloc. Nagle usłyszeliśmy głośne zgrzyty, coś jak pocisk przeleciało ze świstem nad naszymi głowami, a gdy stojący przy motorze Rozenman zatrzymał pas transmisyjny stwierdziliśmy, że wszystkie niemal zęby piły rotacyjnej były wytamane.

Już po krótkich oględzinach pnia stwierdziliśmy, że przyczyną awarii był wbity w bal przez któregoś z drwali metalowy klin, służący do rozszczepiania drewna przy rąbaniu na długie szczapy lub przy piłowaniu dla ułatwienia ruchów piły.

Dziwne było, że klin wbity został w pień jakieś półtora metra od korzenia. Potem, zastanawiając się nad tym doszliśmy do wniosku, że ktoś musiał go wbić najpierw częściowo, by używać go do zawieszania garderoby i chleba dla ochrony przed mrówkami, a potem nie mogąc go wyciągnąć, wbił go poprostu do końca.

Gdybyśmy koryjąc pień bystrzej na niego patrzyli, to być może zauważylibyśmy klin i uniknęłoby się nieszczęścia. Patrzyliśmy zwykle na koniec pnia, w miejsce, gdzie został on odpilowany od korzenia, ale nie spodziewaliśmy się, że metalowy klin tkwić mógł także w innym miejscu.

Ale nikt z nas nie przypuszczał jeszcze wtedy, że sprawa wywołać może aż tak poważne konsekwencje, jak to miało mieć miejsce.

Po oględzinach postanowiliśmy, że ktoś z nas pójdzie do kantoru i powiadomi majstra o tym, co się stało. Ponieważ zapasowej piły nie było rozumieliśmy, że praca w tartaku będzie na jakiś czas wstrzymana. Sądziliśmy, że każdy z nas wróci do swojej dotychczasowej pracy. Mnie żal było najbardziej rozstania z Alą.

Wysłany do kantoru Rozenman wrócił po kwadransie nie tylko w towarzystwie - jak się spodziewaliśmy - majstra, ale także komendanta.

Pozdziejew kłął piekielnie, a gdy spojrzał na pokancerowaną pilę, nie wytrzymał:

- Co, sabotaży wam się zachciało? No, czekajcie! Zobaczycie, jak my się umiemy z sabotażystami rozprawiać!

Był to jego zwykły sposób wystawiania się, to też początkowo nie przejęliśmy się zbytnio. Ale tym razem wpadł w jego ton i komendant:

- Gadać mi tu zaraz który wbił żelazo!

- Obywatelu komendancie - zaczął przepisowo Rozenman - A po co my mielibyśmy wbijać ten klin? Czy nam się tu źle pracuje na tartaku?

- Nie pytać, tylko odpowiadać! - wrzasnął rozwścieczony chyba logicznością pytania-odpowiedzi komendant. - A nie odpowiecie, to wszystkich pod sąd za zorganizowany sabotaż oddam!

- Ja naprawdę nie rozumiem...- zaczął Zalewski

- Milczeć! Tyś wbił żelazo?

- Nie!
- Ty? - komendant wskazał na Rozenmana
- Nie
- Ty? - nastąpiła moja kolej.

A gdy i Elek zaprzeczył, komendant wrzasnął:

- Jesteście wszyscy aresztowani! Marsz do komendantury!

Po kółkunastu minutach, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego co zaszło, znaleźliśmy się w areszcie w budynku komendantury. My, to znaczy mężczyźni, bo Alę, której zresztą w tym momencie na tartaku nie było, burza ominęła.

Siedząc w ciasnym pokoiku na podłodze zastanawialiśmy się, co teraz będzie. Trzej z nas wierzyli, że komendant wypuści nas, gdy mu pierwsza złość przejdzie. Tylko Elek był pesymistą.

- Mój tata - mówił - poznał ich już za rewolucji. Żeby u nich posiedzieć, a nawet głowę stracić, wcale nie trzeba być winnym. Ale ktoś musi być winny. No to się bierze pierwszego z brzegu i sprawa załatwiona.

Do wieczora nikt się u nas nie zjawił. Ani swojej racji chleba, ani zwykłej zupy nie dostaliśmy. Dopiero gdy zaczęliśmy dobijać się do drzwi, zjawił się pomocnik komendanta, odprowadził nas kolejno do latryny i dał nam po kubku wody. Błagałem go, żeby powiadomił o tym co się stało moją matkę i obiecał, że to zrobi. Dużo później dowiedziałem się, że prośby nie dotrzymał, a matkę powiadomiła Ala.

Prawie cała noc zeszła na rozważaniach - co się z nami stanie.

Wreszcie rano usłyszałem podniecony głos matki, która przed wymarszem do pracy usiłowała się dostać do komendanta. Jak się potem dowiedziałem udało jej się to, ale komendant powiedział, że teraz już nie on, ale prokurator decydować będzie o moim losie. To matkę nawet uspokoiło, bo sądziła, że lepiej mieć do czynienia z przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości, który przecież powinien stać na jej straży, niż z chamem - komendantem.

Mój Boże! Jak mało znaliśmy jeszcze wtedy system sowiecki!

Krótko po wyjściu ludzi do lasu drzwi się otworzyły i wkroczył komendant ze swoim pomocnikiem. Dowiedzieliśmy się, że zaraz wymaszerujemy do Wilwy, a stamtąd odstawieni zostaniemy do rejonowego miasta Czusowej, do dyspozycji prokuratora.

Na nasze prośby, że chcielibyśmy zabrać z domu jakąś odzież i przedmioty osobistego użytku, komendant powiedział:

- Tam wam nic nie będzie potrzebne. Tam dostaniecie wszystko - jak się wyraził - kazonne.

Dostaliśmy zmniejszoną wyraźnie rację chleba, kubek wody i po paru minutach komendant kazał nam wyjść na placyk. Tam stała już żona Zalewskiego, która z uwagi na małe dziecko nie pracowała i siostra Elka. Moja matka i żona Rozenmana były w lesie, tak że nam nie udało się z nimi pożegnać. Także pożegnanie tamtych było króciutkie, bo pomocnik komendanta już siedział na koniu i niecierpliwił się.

Powiedział nam jeszcze, że w razie jakiegokolwiek próby ucieczki będzie strzelał bez uprzedzenia i przy tym wymownie potrząsnął karabinem, który trzymał nie zawieszony na ramieniu, ale oparty o



siodło, zwrócony lufą do przodu, a więc gotowy do strzału.

Było to o tyle nie potrzebne, że o jakiegokolwiek ucieczce w tych warunkach nie mogło być mowy.

Po chwili wyruszyliśmy. Nasz strażnik na koniu, a my pieszo.

Pomyślałem sobie, że tak pewnie za carskich czasów prowadzono politycznych zesłańców na Sybir.

Muszę się przyznać, że w swojej młodzieńczej naiwności nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy z groźby sytuacji. Być może, że mnie ona nawet - głupiego - trochę bawiła. Traktowałem to, co się działo jako ciekawą przygodę. Bo przecież o ile nie jesteśmy ani trochę winni - rozumowałem - to zwolnią nas i to pewnie szybko. a tymczasem się coś niecoś zobaczy i człowiek wyrwie się trochę z posiołkowej izolacji.

Zal mi było tylko bardzo matki, która, byłem pewny, przeżywać będzie rozstanie bardzo silnie

Maszerowaliśmy szybko i w ciszy, bo rozmawiać nasz anioł stróż nie pozwalał. Wkrótce dotarliśmy do tatarskiej wioski, gdzie nasz przemarsz wzbudził wielkie zainteresowanie wśród dzieciarni. Starsi albo byli przy pracy, albo nie chcieli się pokazywać.

Do Wilwy przybyliśmy już nocą, zupełnie wykończeni, to też, gdy wprowadzono nas do milicyjnego aresztu, rzuciliśmy się na twarde prycze i zasnęliśmy natychmiast nie myśląc o niczym i nie rozmawiając, choć teraz nikt nam tego nie bronik.

Rano zbudził nas dyżurny milicjant i dał nam po kawałku chleba z gorącą zbożową kawą. Kiedy spojrzałem na swoich poszarzałych ze zmęczenia i od dwóch dni nie golonych towarzyszy niedoli, pomyślałem sobie jak bardzo szybko zmienia się wygląd człowieka w takich warunkach.

Długo nam odpoczywać nie dano. Zaraz po śniadaniu wkroczyli dwaj milicjanci, którzy najpierw obejrzeliby zawartość naszych kieszeni, a potem obmacali nas dokładnie. Następnie kazali wyjąć sznurowki, którymi zasznurowane były półbuty na moich i Zalewskiego nogach oraz postronki z łapci na nogach pozostałych. Zrozumieliśmy, że ma to służyć utrudnieniu ucieczki. Ale na tym nie koniec. Kazano nam wyjąć ze spodni paski. Na naszych wychudzonych figurach groziło to opadnięciem spodni, gdyby choć przez moment nie były one podtrzymywane rękami.

Potem wprowadzono nas do dyżurki, gdzie usłyszeliśmy raz jeszcze groźbę strzelania przy próbie ucieczki, kazano nam chodzić parami i zaraz ruszyliśmy. Obaj eskortujący nas milicjanci nieśli karabiny pod pachami, z lufami skierowanymi do przodu.

Musielismy wyglądać na niezłych przestępców. Sądze, że to przesadne widowisko było celowe i służyć miało zastraszeniu miejscowej ludności.

Zauważyłem, że przechodnie udają, że nas, kroczących środkiem ulicy wogóle nie dostrzegają. Ale nagle spostrzegłem stojącą w furtce domu postać Marii Gałuzy. Widziałem, że i ona mnie poznała. Patrzyła na nas nic nie mówiąc, ze łzami w oczach, a gdy mijaliśmy ją zauważyłem, że zrobiła nieznacznie ręką znak krzyża. Była ona

chyba jedyną osobą w czasie przemarszu przez Wilwę, która otwarcie odważyła się patrzeć na nas.

W wąskotorówce jechaliśmy w wagoniku służbowym jako jedyni jego pasażerowie. Po przybyciu do Paszy przedefilowaliśmy znów przez niemal wymarłą ulicę do budynku NKWD.

Tu nasi konwojenci przekazali nas za pokwitowaniem nowym opiekunom i wkrótce znaleźliśmy się w piwnicznej celi z małymi okienkami u sufitu, opatrzonymi grubymi kratami i zasłaniającym widok szalunkiem z desek.

Przyniesiono nam po misce zupy z kawałkiem chleba, a strażnik, który to przyniósł, powiedział nam, że zaraz pojedziemy dalej.

Rzeczywiście, wkrótce zaprowadzono nas do dyżurki, gdzie raz jeszcze sprawdzono nasze personalia, obmacano, a potem o dziwo zwrócono paski do spodni. Jeden z nich, ładny, skórzany, przedwojenny pasek Rozenmana zdążył w międzyczasie przejść metamorfozę i zamienić się w jakiś wyszmelcowany rzemien, ale nie w głowie było nam zwracać uwagę na takie szczegóły.

Moją głowę tymczasem zaprzętało to, że w czasie sprawdzania personaliów w teczce, do której zaglądał NKWD-zista znów zobaczyłem nieszczęsny rysunek z sylwetką marszałka Piłsudskiego. Ale nie miałem czasu na rozmyślania.

Wyjaśniło się - dlaczego zwrócono nam paski. Oto władze w Paszy były lepiej wyposażone niż milicja w Wilwie, więc przed wymarszem skuto nam ręce kajdankami.

Potem był znów pociąg, tym razem normalnotorowy, w którym uhonorowani zostaliśmy specjalnym przedziałem i znowu marsz przez ulice rejonowego miasta Czusowej.

Tu otworzyła się przed nami brama już nie prowincjonalnego aresztu, ale prawdziwego, otoczonego wysokim murem z drutem kolczastym i w cementowanymi odłamkami szkła na górze i z wieżyczkami wartowniczymi w czterech rogach więziennego terenu.

Uczucie wstydu, jakiego przez cały czas doznawałem maszerując ze skutymi rękami ulicami miasta, przemieniło się teraz przy wkraczaniu w bramę więzienna w strach, który odczułem naprawdę po raz pierwszy.

## Sowiecki chrzest

Formalności w więziennej kacerarii trwały już dużo dłużej niż na poprzednich etapach.

Po "pokwitowaniu" nas zabrał się przyjmujący dyżurny podoficer do spisywania naszych personaliów, przyczym odrazu na wstępie doszło do spięcia. Kiedy bowiem pierwszy z nas odpowiadając na pytanie dotyczące obywatelstwa powiedział "polskie", spisujący dane podoficer spojrzał na niego spodełba i wybuchnął:

- Jakie tam znowu polskie? Nijakiej Polski nie ma i nigdy nie będzie.

- Ale my innego obywatelstwa nie mamy, tylko polskie.

- No to napiszemy "bez obywatelstwa" - zawyrokował dyżurny.

Drugie spięcie wywołała rubryka dotycząca karalności. Oczywiście na pytanie o nią odpowiedział pierwszy rejestrowany negatywnie.

- A za co zostaliście zesłani do specposiołka? Za niewinność? - ironizował podoficer.

- Żebyśmy to my wiedzieli za co - odrzekł pytany.

- Znamy takie niewiniątka jak wy, znamy. Ale my to zaraz wyjaśnimy - rzekł i zaczął kręcić korbką przedpotopowego telefonu. Poprosił o połączenie z rejonową prokuraturą, wyjaśnił o co chodzi, a potem, wysłuchawszy z wyraźną przyjemnością odpowiedzi, rzekł:

- Tacy znowu niewinni to wy nie jesteście jeżeli was jako społecznie niebezpieczny element przesiedlili. A to coście teraz zrobili, to pewnie też nie wasza wina, co? - tu spojrzał do przekazanych mu przez konwojentów papierów - Oho, sabotażyk! to widzę, że tu się szykuje dłuższa gościna, ale pewnie nie u nas tylko w jakimś porządnym obozie, gdzie was oduczą przeciw władzy radzieckiej sabotaż uprawiać!

Nie mogłem w żaden sposób zrozumieć, co miało wspólnego przypadkowe zniszczenie piły z sabotażem przeciwko władzy radzieckiej i chciałem coś jeszcze powiedzieć, ale zdążyłem tylko wydusić:

- To chyba nieporozumienie..., a już podoficer wściekle ryknął:

- Zamknij mordę gówniarzu! Kto ci się pozwolił odzywać?

Odpowiadać mi tylko na pytania!

Ceremonia przemienienia nas w więźniów trwała jeszcze długo. Najpierw zaprowadzono nas do piwnicy z natryskami i kazano rozebrać się do naga. Nagle w rozbieralni pojawiła się kobieta z maszynką do strzyżenia w rękę i kolejno ostrzygła nam "na zero" głowy i wszystkie inne owłosione miejsca. Czuliśmy się potwornie zawstydzeni i upokorzeni. Wraz z włosami znikła jakgdyby część naszego człowieczeństwa. Nie mówiac już o nieracjonalnym uczuciu silnego wstydu, jakiego doznałem, kiedy wskutek fryzjerskich zabiegów młodej kobiety wokół moich genitaliów organizm zareagował naturalnym podnieceniem.



Potem każdy dostał garść półpłynnego, szarego mydła i kazano nam się wymyć pod natryskami z zimną wodą. To było jedyne przyjemne w całej tej procedurze.

Nie dostaliśmy już po kąpieli naszych ubrań, tylko wiezienną szarą bieliznę, drelichowe bluzy i spodnie, a na nogi drewniane chodaki.

Kiedy napowrót wprowadzono nas do dyżurki, czekał tam już fotograf i każdy z nas, z zawieszonym na szyi numerem sfotografowany został z frontu i dwukrotnie z profilu. Te numery miały nam w przyszłości - jak nas poinformowano - zastąpić personalia.

Formalności dopełniło pobranie odcisków palców.

Teraz nastąpiło rozdzielenie nas. Najpierw wartownik odprowadził gdzieś Rozenmana i Zalewskiego, którzy na odchodnym rzucili "do widzenia". Nikt z nas nie przypuszczał wtedy, że oto rozstawaliśmy się na zawsze i nigdy już do "widzenia" dojść nie miało.

Mnie i Elka zaprowadzono do sporej celi, w której stały cztery piętrowe prycze.

Kiedy żelazne drzwi się za nami zamknęły, a my niezdecydowanie staliśmy nadal, nie mogąc w półmroku rozeznąć się ile osób znajduje się już w celi i gdzie są wolne miejsca, ktoś zbliżył się do nas i powiedział:

- Witajcie nowicjusze - widocznie staremu więziennemu wydze wystarczył jeden rzut oka by nas właściwie ocenić.

- Mamy tu trzy wolne prycze - ciągnął - więc możecie wybierać. Wybraliśmy dwie górne, stojące obok siebie. Oczywiście wolne były te najgorsze, to znaczy ustawione najdalej od okienka, a najbliżej "parazy", to jest wiadra, zastępującego klozet, ale to zrozumieliśmy dopiero później.

Zajęcie prycz było właściwie czysto teoretyczne, bo nie mieliśmy absolutnie niczego, co możnaby tam było położyć. Wszystko, co posiadaliśmy nosiliśmy na sobie. Nasze własne rzeczy złożono do depozytu.

Na pryczach leżały sienniki i po jednym cienkim kocu. Poduszkę zastępowały małe, również sianem napelnione woreczki.

Zapoznawszy się z przyszłymi łóżkami, staliśmy nadal, nie wiedząc, co ze sobą robić. Nasze oczy przywykły już do półmroku i widzieliśmy, że w celi znajduje się poza nami pięciu mężczyzn. Siedzieli oni na dwóch pryczach pod oknem i wpatrywali się w nas.

- No cóż - odezwał się ten, który wskazał nam wolne prycze - dawajcie, zapoznamy się. Ja jestem Iwan Piotrowicz, albo jak mnie tu nazywają, Pop. On - tu wskazał na siedzącego najbliżej ciemnego bruneta - to Grisza Rojzen, krawiec. Ten - kolej przysła na młodego, skośnookiego chłopca - to Kim, jak zresztą wszyscy Koreańczycy - zażartował - a ten wielkolud, to Siergiej Stiepanowicz, wielki ale poczciwy. No i wreszcie ostatni, ale nie najgorszy - nawiązał do znanego angielskiego powiedzonka - to Wiktor Aleksiejewicz, nauczyciel, ale dla nas to nawet profesor - zaśmiał się, wskazując na chudego mężczyznę w

okularach w stalowej oprawie - A was jak nazywają?

Podaliśmy swoje imiona i nazwiska bez t.zw. otczestwa czyli imienia ojca, co od razu wywołało poruszenie.

- E, to wy cudzoziemcy? A za co tutaj popadliście? Z którego paragrafu?

Ja mówilem po rosyjsku lepiej niż Elek, to też mnie przypadło w udziale wyjaśnić i jak znaleźliśmy się na Syberii i za co dostaliśmy się do więzienia..

Ale chyba nam nic nie zrobią - zakończyłem - bo przecież naprawdę nie jesteśmy ani trochę winni. Wy macie większe doświadczenie - zwróciłem się do dawnych lokatorów celi - jak sądzicie? Prędko nas wypuszczą?

- Oj bracie, bracie - odparł Iwan "pop" - młody jesteś i tutejszych zwyczajów nie znasz. Tu kara nie od winy zależy, tylko od okoliczności. Gdy na przykład trzeba kogoś postraszyć, albo znaleźć kogoś, kto nadaje się na winnego i narobić wokół niego szumu, żeby odwrócić uwagę od kogoś innego, albo odwrotnie, zwalić winę na jakąś wytypowaną kategorię ludzi. Ot na przykład jeśli wasz komendant nie wykonał planu dostaw drewna, to znalezienie sabotażystów może być dla niego świetnym wytłumaczeniem.

A z winą synku to różnie bywa. Nas tu widzisz było pięciu w celi. I my się już nawzajem znamy i nie mamy powodu przed sobą czegoś ukrywać, bo wiemy, że prowokatorów wśród nas nie ma. I wiesz co? Żeby tak szczerze powiedzieć, to jedyny Kim, co może czasem trochę zgrzeszył wobec radzieckich praw - tu chłopak, o którym była mowa usmiechnął się i pokiwał potakująco głową - Ale z pozostałymi to na dwoje babka wróżyła. Tu, w tym kraju jest takie powiedzonko: "aby tylko człowiek był, to i paragraf się znajdzie". I tak właśnie było z nami czterema. Jak się nas chcieli pozbyć, to odpowiednie paragrafy się znalazły. Poczekaj, posiedzisz tu z nami, to nasłuchasz się ciekawych rzeczy - zakończył.

Tymczasem jednak tymi, którzy opowiadali byliśmy my. Najbardziej interesowało naszych towarzyszy niedoli życie w przedwojennej Polsce. Dla zamkniętych hermetycznie w sowieckiej ojczyźnie ludzi, nawet ościenna Polska, tak bliska, a należąca do zupełnie innego świata, była czymś niezwykle egzotycznym.

Odpowiadaliśmy więc najlepiej jak potrafiliśmy na pytania najrozmaitsze i często rzeczy dla nas najzupełniej oczywiste wywoływały zachwyt wśród słuchaczy. Dotyczyło to na przykład spraw wolności wyznawania religii, podróży zagranicznych, prawa posiadania własnych gospodarstw rolnych i wielu, wielu innych, których nie sposób wliczyć.

A tymczasem dni mijały, a z nami się nic nie działo. Nikt nie wzywał nas na przesłuchania i zupełnie nie zapowiadało się na szybkie zakończenie sprawy. Starzy współwięźniowie uspakajali nas, że jest to normalna procedura, mająca na celu wstępne "zmiękczenie" - jak to nazywali - oskarżonego.

Siedzenie w celi urozmaicały jedynie krótkie, kilkunastominutowe spacerunki po podwórzu więzienia. Chodziło się gęsiego, z rękami założonymi w tył i choć na podwórze wyprowadzano więźniów z paru cel równocześnie, nie udało nam się nigdy spotkać Rozenmana i Zaleskiego.

Innym urozmaiceniem były posiłki. Rano dostawaliśmy kubek gorącej słabutkiej herbaty i całodzenną rację chleba. Był on już pokrojony na porcje, zwykle minimalnie różniące się od siebie wielkością. Podział odbywał się dla zachowania sprawiedliwości w taki sposób, że jeden z więźniów odwracał się do ściany, a inny brał do ręki porcję chleba i pytał:

- Komu?

Odwrócony wymieniał kolejno imiona współtowarzyszy i w ten sposób przypadek decydował, komu przypadły większe, a komu mniejsze kawałki. Był to - jak nam wyjaśniono - stary więzienny zwyczaj.

Na obiad dostawaliśmy kociotek zupy, a wieczorem znów jakiś gorący, ziołowy napój.

Do głodu byliśmy już przyzwyczajeni, ale gdy się pracowało doskwierał on mniej. Całodzienna bezczynność przywodziła na myśl jedzenie. Okropnie trudno było zmusić się do dzielenia porcji chleba na kilka części i nie zjeść jej całej natychmiast rano.

Tym jednak, co najbardziej urozmaicało pobyt w celi były opowiadania naszych współlokatorów. Sądzę, że były one na tyle ciekawe i charakterystyczne dla panujących stosunków, że warto je tu streścić.

Oto jak układało się życie naszych towarzyszy niedoli:

#### Iwan Piotrowicz

-----

Najbardziej rozmowny z więźniów, ten, którego nazywano "popem" nie był bynajmniej duchownym. Przeciwnie, zawód jego był jaknajbardziej przyziemny i prozaiczny. Iwan był mianowicie księgowym w stacji maszynowo-traktorowej w pobliskim, małym miasteczku. Urodzony na Ukrainie, przesiedlony został na Syberię w trzydziestych latach. Rodzice zmarli w czasie t.zw. wielkiego głodu, to też dziwne było, że w wychowywanym już od młodych lat w duchu nie tylko ateistycznym, ale wręcz wrogim religii człowieku przetrwała wyniesiona z domu rodzicielskiego wiara. W pierwszych latach zsyłki poznał Iwan również przesiedlonego i jakimś cudem ocalałego od czystek byłego diakona. Iwan zbliżył się do tego - jak opowiadał - zapamiętałego w swojej wierze i ascetyzmie człowieka. Obserwowanie różnego rodzaju prześladowań i upokorzeń, jakich exdiakon doznawał nie przyczyniło się bynajmniej do wyrzeczenia się wiary przez Iwana. Przeciwnie, umocniło w nim przekonanie, że cierpienie za wiarę jest jedynym sposobem zbawienia duszy w grzesznym świecie, w jakim przyszło mu żyć. Jak długo wiarę swoją traktował jako rzecz osobistą i nie glosił jej otwarcie, wszystko układało się dobrze.

Stopniowo jednak Iwan rozmawiać zaczął na te tematy z różnymi



znajomymi i o dziwo okazało się, że ludzi głęboko wierzących, choć obawiających się przyznać do swojej religijności, było w jego otoczeniu zaskakująco dużo.

Ludzie ci zaczęli się z czasem spotykać, najpierw by porozmawiać, potem by poczytać przez kogoś uchowane stare wydanie Biblii, potem spędzano wspólnie przedświąteczne wieczory, a w końcu spotykano się też potajemnie, by się w gronie współwyznawców pomodlić.

Oczywiście i w miasteczku, w którym mieszkali, system konfidentów NKWD działał jak wszędzie, to też wkrótce wezwano Iwana na - jak to było praktykowane - nocne przesłuchanie. Oficer śledczy zapytał go najpierw czy przyznaje się, że u niego w domu zbiera się "różny element". Iwan odrzekł, że często spotykają się u niego znajomi, by pogawędzić przy samowarze.

- A o jakich to sprawach gawędzicie?

- O różnych. A głównie o filozoficznych.

- Patrzcie go! Buchalter-filozof. A o jakiej to filozofii dyskutujecie, można wiedzieć?

- Owszem. Mówimy i o filozofii marksistowskiej i o idealistycznej - zaryzykował Iwan.

- Idealistycznej - śledczy wiedział z partyjnego szkolenia, że to coś przeciwstawnego marksizmowi. - A o religii i wierze też mówicie?

- Filozofia idealistyczna wiąże się z zagadnieniami wiary - odparł dyplomatycznie Iwan.

- Ty mi tu nie mąć głowy filozofiami, tylko odpowiedz na pytanie: zajmujesz się religijną propagandą czy nie - trzasnął pięścią w stół śledczy.

- Propagandą się nie zajmuję, bo to nie potrzebne. W Boga wierzy ten, kto chce wierzyć i namawiać do tego nie trzeba - wybuchnął zdesperowany Iwan. - A radziecka konstytucja zezwala każdemu na wyznawanie religii, więc żadnego wykroczenia w tym nie ma.

- Czy jest wykroczenie, czy nie ma, to my tu decydujemy! A tobie ot co powiem. Jesteś księgowym i nawet ponoć dobrym, to zajmuj się lepiej swoimi sprawami i przestań ludzi na manowce sprowadzać. A nie posłuchasz rady, to cię tak urządzimy, że na prawdziwego męczennika za wiarę wyjdiesz. Zapamiętaj to sobie dobrze!

Po tym przesłuchaniu trzeba było aktywność ograniczyć. Ale głęboka wiara w słusność tego, co robi, nie pozwoliła Iwanowi zerwać z grupką ludzi, którzy widzieli w nim, zwyczajnym świeckim człowieku duchowego pasterza. Spotkania stały się tylko rzadsze i bardziej zakamuflowane.

I przez pewien czas był spokój. Aż pewnego dnia zgłosiła się do Iwana młoda kobieta, której rodziców znał on jako ludzi wierzących i poprosiła o coś zgoła nieoczekiwanego. Oto bowiem została ona przed kilkoma tygodniami matką. Już wcześniej i ona i mąż postanowili, że dziecko ich musi zostać ochrzczone. Ale po pierwsze mąż był nauczycielem, a ona pracownicą miejscowego komitetu

wykonawczego, więc oboje utraciliby natychmiast pracę w przypadku jawnego chrztu, a po drugie w całym obwodzie nie było - poza siedzącymi w niedostępnych obozach - ani jednego duchownego. Ponieważ więc Iwan uważany był przez wszystkich wierzących ludzi miasteczka za duchowego ojca - on to powinien był dokonać ceremonii chrztu.

Początkowo Iwan miał wątpliwości. Ani nie wiedział, czy jest do tego uprawniony, ani też nie znał bliżej ceremoniału. Stopniowo doszedł jednak do wniosku, że takiej prośbie odmówić się nie godzi.

Przemyślano więc wszystko i akt chrztu odbył się przed zaimprovizowanym w domu dziadków dziecka ołtarzem. Obecni byli tylko najbliżsi i przedsięwzięto wszystkie środki ostrożności. Okna pokoju były szczelnie zasłonięte, a przed domem stał ktoś, kto uprzedzić miał w przypadku, gdyby jakiś obcy się zbliżał. Pamiętano o wszystkim, z wyjątkiem jednego drobiazgu. Zapomniano, że dzieci, nawet bardzo małe, mają języki i lubią się nimi posługiwać, by się przechwalać. A siostra młodej matki, która mieszkała w domu rodziców miała pięcioletnią córeczkę. W czasie ceremonii mała nie była obecna, ale widziała napewno przygotowania do niej, zawieszanie ikon i dekorowanie ołtarza, a może podejrziała także cośnieważnego z samego aktu chrztu, dość na tym, że nie upłynęło wiele czasu, a wieść o tym, co miało miejsce dotarła przez dzieci do jakiegoś gorliwca, który nie omieszkał powiadomić o tym właściwych władz.

Iwan i rodzice dziecka zostali zaarrestowani. Już wcześniej ustalono, że gdyby się coś stało, to będą wszystkiemu zaprzeczać. I tej linii trzymał się Iwan od początku. Ale już po paru dniach nastąpiła konfrontacja i w jego obecności rodzice dziecka przyznali się do wszystkiego. Dalsze zaprzeczanie było bezcelowe. Postanowił tedy Iwan bronić się twierdzeniem, że nie stało się nic, co byłoby niezgodne z obowiązującym ustawodawstwem. Ta linia obrony - słuszna niewątpliwie z formalnego punktu widzenia - spowodowała jedynie to, że nikt nigdy nie sformułował przeciwko niemu jakiegokolwiek aktu oskarżenia. Siedział więc tak już od dwóch lat w niekończącym się "śledztwie", a od półtorej roku nikt go już nawet nie przesłuchiwał.

Trzeba przyznać, że sytuację swoją znosił ze stoickim ścią spokojem.

- Bogu dzięki i za to, że nie jestem żonaty i dzieciaty - mówił -  
Przynajmniej ja tylko jeden cierpię.

Co się stało z rodzicami ochrzczonego dziecka - nie wiedział. Był jednak przekonany, że do złożenia obciążających go zeznań zostali oni zmuszeni albo przy pomocy szantażu, że na przykład odbiorą im dziecko, albo drogą fizycznego ich wymuszenia.

Grisza Rojzen  
-----

Zawód krawiecki odziedziczył Grisza po swoim ojcu, którego

ojciec także był krawcem. Dziadek założył pracownię krawiecką w Charkowie na długo przed rewolucją. Ojciec odziedziczył ją, gdy dziadek zginął podczas jakiegoś pogromu i jeszcze ją rozszerzył. I to stało się jego nieszczęściem. Jako właściciel dużej, centralnie położonej pracowni krawieckiej został bowiem po rewolucji uznany za niepożądanego w Charkowie burżuja, w rezultacie czego wyładował w jakiejś dziurze na Syberii. Do końca życia zwykł był mawiać, że gdyby został zwykłym krawcem, to żyłby w Europie i nikt by się go nie czepiał. A przez ten spadek to ani majątku nie ma, ani ludzi, z którymi przez kilkadziesiąt lat obcował, ani nawet po żydowsku nie ma z kim porozmawiać, bowiem jak raz w tym miasteczku Rojzenowie byli jedyną żydowską rodziną, jeśli nie liczyć mieszkającego tam przez pewien czas sekretarza rejonowego komitetu partii, Żyda, który jednak od innych Żydów wolał stronić.

Nic więc dziwnego, że kiedy Griszy zaproponowano, że zostanie wybrany na prezesa spółdzielni krawieckiej, t.zw. artelu, w którym pracował, bronił się - pamiętając narzekania ojca - energicznie. Ale nic to nie pomogło.

Gdzieś tam zdecydowano, że Grisza ma być demokratycznie wybrany, więc gdy kandydaturę jego zgłosił na dorocznym zebraniu sekretarz partii, do której Grisza nota bene nie należał, został on jednogłośnie wybrany na prezesa. Ten że tak powiem „wybór z nominacji”, albo nominacja za pomocą wyborów zmieniły całkowicie życie Griszy.

Dotąd siedział on sobie spokojnie i szuł zamówioną w pracowni, szumnie zwanej atelier, odzież. Teraz jedynym jego czysto krawieckim obowiązkiem było robienie przymiarek i określanie niezbędnych poprawek.

Resztę dnia zajmowały sprawy administracyjne, co było jeszcze znośne, albo też przyjmowanie zamówień i ustalanie kolejności ich wykonania. I tu właśnie tkwił cały problem.

Był to okres, w którym nabycie w sklepie pożądanego materiału było w Związku Radzieckim prawie niemożliwe. O nadejściu do sklepów poszukiwanych materiałów ludzie informowani byli jakimiś tajemnymi drogami zawczasu. To też długo przed otwarciem sklepu, w którym materiał miał być sprzedawany, ustawiały się przed nim kolejki potencjalnych nabywców.

Oczywiście były też sklepy specjalne, w których zaopatrywać się mogli wybrańcy, a więc wyżsi funkcjonariusze partii i aparatu bezpieczeństwa, wojskowi, niektórzy pracownicy komitetów wykonawczych i prokuratury oraz kierownicy dużych zakładów pracy.

Ale i w tych specjalnych sklepach przydziały były dość szczupłe.

Pewien przydział materiałów ubraniowych dostawały także zakłady krawieckie, szyjące na zamówienie.

Prowadziły one rejestry zamówień, które realizowane być miały w kolejności zgłoszeń. Ale w praktyce ten, kto nie miał „blatu”, czyli wszechobecnej w tym kraju protekcji, czekać mógł na swoją kolejkę w nieskończoność.

Najbardziej pożądanym materiałem były granatowe gabardyny i



szewioty. Marzeniem każdego szanującego się sowieckiego funkcjonariusza było posiadanie ubrania i płaszcza z tych materiałów. A tu jak na złość przydziały były bardzo małe. A ilość tych, co chcieli zdecydować o kolejności realizacji zamówień kształtowała się odwrotnie proporcjonalnie do wielkości przydziałów.

Decydować chcieli rejonowy szef artelu i przewodniczący lokalnego komitetu wykonawczego i sekretarz partii i prokurator i szef urzędu bezpieczeństwa i zastępcy wszystkich wyżej wymienionych i nie wiedzieć kto jeszcze.

Początkowo biedny Grisza, siedząc wieczorami w swoim biurze usiłował łamać sobie głowę nad pogodzeniem interesów wszystkich rozkazodawców. Wkrótce jednak zorientował się, że było to zupełnie nieosiągalne, to też zaczął stosować metodę: kto stoi wyżej w sowieckiej hierarchii, tego rozkaz jest najważniejszy.

Zdawać by się mogło, że ta metoda zapewnić mu powinna spokojne życie, ale tak wcale nie było.

A nie było tak dlatego, że Griszyzna ocena ważności często nie była zgodna z subiektywnym poczuciem ważności samych zainteresowanych.

Zdarzało się więc, że gdy przychodził klient z kartką od jednego z miejscowych dygnitarzy, nakazującą uszycie ubrania w ciągu tygodnia, Grisza łączył się telefonicznie z autorem listu i mówił:

- Towarzyszu taki a taki. Waszego polecenia wykonać nie mogę, bo w tym tygodniu wykonujemy zamówienie dla towarzyszy....- tu wymieniał nazwiska miejscowych dygnitarzy, którzy jego zdaniem byli ważniejsi od rozmówcy. Ale często słyszał w odpowiedzi:

- A ty ich poślij do j..... maci i rób dla tego co ja ci każę.

I patrz z czego żyjesz! Chyba się rozumiemy?

Często w takich przypadkach nie umiając pogodzić interesów samozwańczych zwierzchników, Grisza sam siadał wieczorami do maszyny i w tajemnicy przed pracownikami, których się wstydził, sam wykonywał zamówienie.

Przez pewien czas jakoś to wszystko funkcjonowało. Grisza skrupulatnie gromadził pisemne, otrzymywane, z "góry" polecenia i rejestrował polecenia przekazywane telefonicznie. Sądził, że stanowi to dla niego jakąś asekurację na wypadek na przykład nagłej kontroli.

Z czasem jednak nerwy zaczęły Griszy odmawiać posłuszeństwa i coraz częściej zdarzać się zaczęło, że on sam tracił panowanie nad sobą i podnosił głos, gdy żądano od niego rzeczy niemożliwych. Wreszcie doszło kiedyś do tego, że gdy rejonowy szef NKWD zagroził mu telefonicznie konsekwencjami jeśli nie wykona polecenia, Grisza nie wytrzymał i wykrzyknął:

A pocałujcie mnie w dupę! Róbcie ze mna co chcecie! Wolę już siedzieć niż zwariować tutaj! - poczem cisnął słuchawkę. No i wybrał. Rezultat tej rozmowy nie kazał na siebie długo czekać. Uznano widocznie, że "murzyn zrobił swoje" i spółdzielnia potrzebuje nowego szefa. A że kadencja nie upłynęła, a zmianę należało przeprowadzić szybko, więc zadziałano inaczej.

Pierwszym sygnałem, że okręt tonie było pojawienie się zaraz

nazajutrz po rozmowie w kantorze samego sekretarza rejonowego partii.

Zaczął on najpierw niewinną rozmowę o spółdzielni, a potem nagle zapytał:

- Acha ! powiedz no Rojzen, komu ja za twoich czasów szyć kazałem? Bo już nie pamiętam, a ludzie dranie ciągle się o nowe upominają.

- Proszę bardzo. Tu wszystko jest - Grisza wyciągnął starannie skompletowane kartki - O, to są polecenia od towarzysza sekretarza - pokazał spiętą paczuszkę liścików.

- Ho, ho, To u ciebie widzę porządek - wyciągnął rękę sekretarz -

Ano pokaż, kto tam nas obu naciągnął - zaśmiał się, biorąc z rąk Griszy pakiecik. Ale zaraz też, nie patrząc nawet na kartki, schował je do kieszeni.

- A teraz słuchaj - powiedział - tego tu - poklepał się po

kieszeni w której znikły liściki - nigdy nie było! Rozumiesz?

Po tych słowach wstał i bez pożegnania wyszedł.

Grisza rozumiał już, że z nim nie dobrze. Chcąc więc uratować choć resztę swojej "asekuracji", wpakował pozostałe kartki i swoje zapiski do stalowej kasety, w której przechowywał bieżącą kasę spółdzielni. Po pracy pomaszerował z tym do domu. Kasetę schował do szafy z ubraniami i rozmyślał, dzieląc się swoimi kłopotami z żoną, co dalej robić. A podczas kiedy on rozmyślał, inni działali.

Późnym wieczorem ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

- Milicja, otwierać! - usłyszał, gdy zapytał kto puka.

Milicjant zaprowadził go do atelier, przed drzwiami którego czekało już kilka osób z zastępcą prokuratora na czele. Grisza poznał też głównego księgowego nadzzędnej instytucji.

- Otwierajcie - powiedział prokurator. - Mamy dane, że w waszej pracowni dokonano nadużyć. Komisja - wskazał na obecnych - przeprowadzi inwentaryzację i wszystko zabezpieczy.

Po chwili poszczególni członkowie komisji sprawdzali już stan znajdujących się w magazynie materiałów i dodatków krawieckich, liczyła gotowe i półgotowe sztuki odzieży, a nawet spisywała inwentarz.

Grisza przypatrywał się temu wszystkiemu, zastanawiając się, co też mu mogą zarzucić. Był pewny, że książki prowadzone były prawidłowo, a stan magazynu był zgodny z zapisami. Wtem podszedł do niego główny księgowy i powiedział:

- A teraz chciałbym sprawdzić książkę kasową i porównać z faktycznym stanem kasy.

- Ale ja - Grisza zdrętwiał, rozumiejąc, że teraz go mają - ja zabrałem kasetę z pieniędzmi do domu.

- Towarzyszu! Wy chyba żartujecie? Wiecie przecież, że przepisy zabraniają zabierania do domu pieniędzy przedsiębiorstwa?

- A dlaczegoż to jeśli można wiedzieć - wtrącił prokurator - towarzysz Rojzen trzyma kasę w domu?

- Bo mam tam jeszcze inne papiery, które chciałem zabezpieczyć.

- A cóż to za papiery?

- Takie, różne, osobiste - jękał Grisza, rozumiejąc, że jeśli

powie o jakie papiery chodzi, spotka go nie tylko kara, ale i zemsta zainteresowanych.

Po chwili Grisza w towarzystwie prokuratora i dwóch milicjantów udał się do domu, gdzie kasety przejął ten pierwszy. Gdy w kantorze sprawdzano jej zawartość, prokurator przejrzał papiery i kazał do protokołu wpisać tylko stan kasy.

Działo się to wszystko przed rokiem. Griszę oskarżono o próbę sprzeniewierzenia kasy spółdzielni, ale do rozprawy sądowej jeszcze nie doszło. Chyba dlatego, że Grisza, wbrew przepisom, jako więzień w śledztwie, był jedynym w celi pracującym. Szył ubrania dla różnych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, więzienia i ich rodzin.

Kim

---

Takich jak Kim było w Rosji wielu. Dzieci bez rodziców, bez domu, bez dokumentów, włóczyło się moc, szczególnie w latach dwudziestych. Potem władze starały się wyłapywać taką młodzież i umieszczać ją w specjalnych zakładach wychowawczych. Jednakże i w latach trzydziestych sporo było młodocianych włóczęgów, których głównym źródłem utrzymania były kradzieże.

Kiedy słuchałem opowieści Kima, przypomniał mi się dwa lata wcześniej widziany film sowiecki "Bezdomni". Film był dobry, ale gdyby ktoś zadał sobie trud spisania przygód Kima i zrobił z tego scenariusz, to wyszedłby fantastyczny film nie tylko przygodowy, ale będący poglądową lekcją stosunków panujących w ZSRR lat trzydziestych.

Kim nie wiedział nic o swoich rodzicach. Nie wiedział też, czy używane imię było jego prawdziwym imieniem. Wiedział tylko, że był z pochodzenia Koreańczykiem i że jako dziecko znalazł się w jakimś sierocińcu we Władywostoku. A że dla określenia Koreańczyków używano wówczas powszechnie imienia Kim, przeto i jego tak nazwano i tak już pozostało.

Reżym w sierocińcu był srogi, a jedzenie bardzo kiepskie, więc gdy Kim skończył czternaście lat, uznał, że jest już dostatecznie dorosły, by wyrwać się w świat i zacząć życie na własną rękę.

Od tego momentu stało się życie Kima pasmem stosunkowo krótkich okresów swobody i dłuższych - przebywania w domach dla dzieci bezdomnych, z których niezmiennie uciekał.

Kim nie ukrywał, że będąc na wolności utrzymywał się kradnąc co popadło. Przeszedł nawet specjalną szkołę u wielkiego specjalisty od "doliniarstwa", czyli kradzieży kieszonek. "Profesor" ten, którego najlepsze lata zawodowe przypadły jeszcze na okres przedrewolucyjny, przeniosłszy się samorzutnie z powodu podeszłego wieku w stan spoczynku, prowadził jednak nadal szkołę dla młodych adeptów sztuki doliniarskiej. W portowym Władywostoku, pełnym pijanych



często marynarzy było pole do działalności dla pokaźnej ilości specjalistów.

"Profesor" upodobał sobie szczególnie jako adeptów chłopców koreańskich, których uważał za wybitnie utalentowanych, to też Kim nie miał kłopotu z dostaniem się na "studia". Jak twierdził z dumą - uważany był za jednego z najlepszych uczniów. A wymogi były nie małe. Zadania stawiane przez profesora wymagały ogromnej zręczności i odwagi, bo ze złapanym na gorącym uczynku kieszonkowcem marynarze rozprawiali się zazwyczaj sami, rezygnując z usług sowieckiej Temidy.

Profesor zwykł był mawiać swoim uczniom, że gotowi do zawodu będą wówczas, kiedy potrafią dokonać tego, czego on sam kiedyś w młodości dokonać potrafił. I opowiadał przy tym taką historyjkę:

Przed rewolucją funkcjonował on w Odessie. Poszczególne rejony miasta podzielone były pomiędzy różne, nie wchodzące sobie naogół w drogę bandy. Policja była kupiona i doliniarzom nie przeszkadzała, a ci odwdzięczali się stroniąc od większych "skoków", a nawet sypiąc niekiedy pojawiające się na ich terenie bandy stosujące metody gwałtu.

Od czasu do czasu zdarzało się jednak, że profesor bywał zatrzymywany. I oto kiedyś stanął on przed obliczem jakiegoś wysokiego funkcjonariusza odesskiej policji, który przypatrując mu się rzekł:

- Powiedz no kochaneczku, jak ty to robisz, że nigdy nie łapiemy cię na gorącym uczynku, chociaż wszyscy policjanci w całej Odessie wiedzą, że działasz, że tak powiem aktywnie?

- O, to bardzo proste. To się robi tak - odrzekł profesor i ze słowami - Pan komisarz sobie teraz stanie o tutaj - przesunął komisarza o dwa kroki - A ja sobie stanę tutaj i zapytam pana komisarza, która teraz jest godzina. No, proszę powiedzieć!

Komendant sięgnął do kieszeni kamizelki, w której zwykł był nosić swoją wielką "cebule", a potem zaczął gwałtownie obmacywać się po innych kieszeniach, sądząc, że przez pomyłkę włożył zegarek gdzieindziej.

- Jeśli pan komisarz nie wie, to ja mogę powiedzieć, która jest godzina - roześmiał się profesor, wyjmując ze swojej kieszeni zegarek, który zdążył wyciągnąć przestawiając komisarza.

Mistrz twierdził, że jego kunszt wywołał taki zachwyt, że uniknął konsekwencji za uczynek, który był powodem aresztowania go wówczas.

Kim obwędrował cały niemal Związek Radziecki. Mimo wciąż jeszcze bardzo młodego wieku, zdążył on - jak sam twierdził - zapoznać się z kilkunastoma zakładami wychowawczymi i tak zwanymi koloniami poprawczymi.

W czasie swoich podróży wyspecjalizował się w kradzieżach kolejowych. Twierdził, że nawet ściągnięcie butów z cholewami z nogę śpiącego pasażera nie było dla niego problemem. W poczekalniach kolejowych, wypełnionych w Rosji wiecznie wyczekującymi, biwakującymi gdzie popadło ludźmi, Kim ze swoim kompanem-włóczęgą kradli walizki i tobołki nieuważnych lub śpiących pasażerów.

Pewnego razu spostrzegli w jakiejś poczekalni kolejowej, że czekająca zapewne na przesiadkę rodzina pozostawiła na straży swoich trzech walizek starą babcie, podczas gdy młodszy pasażerowie udali się po coś do miasta. Ażeby jednak bagaż był bezpieczniejszy - położono walizki jedna obok drugiej, a na nich ułożono babcie.

Walizki wyglądały zamożnie, to też Kim i jego towarzysz postanowili jedną spod babci wyciągnąć. Oczekali więc aż babcia zasnęła, a potem Kim ulokował się na podłodze tuż koło niej i zaczął powoli wysuwać walizkę, podczas gdy współnik przyglądał się bacznie nielicznym, naogół drzemiącym podróżnym siedzącym również w poczekalni.

Kimowi szło dobrze, ale współnik zauważył w pewnej chwili, że siedzący w pobliżu na ławce mężczyzna dostrzegł manipulację Kima i właśnie otworzył usta by narobić alarmu. Nie namyślając się długo, stanął więc jednym susem przed zdeorientowanym pasażerem, położył palec jednej ręki na wargach, a drugą rozchylił kurtkę, pod którą widoczna była rękojeść długiego, uzbeckiego noża, a potem przesunął wymownie wskazującym palcem po szyi. Cała ta scena rozegrała się błyskawicznie, w absolutnej ciszy.

Mężczyzna, który już, już zamierzał narobić szumu, patrzył przez chwilę wybałuszonymi oczami na współnika Kima, a potem bezradnie usiadł ponownie na ławce i odwrócił głowę, dając jakby do zrozumienia, że nie chce widzieć co się dzieje.

Tymczasem Kim z walizką już się zdarzył wynieść z dworca. Wspólnik odczekał jeszcze chwilę, by dać mu możliwość oddalenia się, a potem spokojnie sam opuścił poczekalnię. Liczył na to, że nastraszony mężczyzna będzie się wstydził wszcząć spóźniony alarm, bo wyjaśniłoby się, że nie zrobił tego wcześniej ze strachu. Żaden okrzyk "trzymać złodzieja" nie zabrzmiał za jego plecami, gdy napięty i przygotowany do ucieczki opuszczał poczekalnię.

Później - jak twierdził Kim - nieraz jeszcze powtarzały się podobne sytuacje. Przeciągnięciu palcem, a czasem i nożem po gardle towarzyszyło czasem uprzejme pytanie: "Co, chcesz się golić?". I to podobno zawsze skutkowało.

Kim twierdził też, że niekiedy, zwłaszcza zimą, chłopcy dawali się złapać dobrowolnie. Ale wówczas wybierali takie okolice, które były znane wśród takich jak oni z tego, że w tamtejszych zakładach dla bezdomnych dawało się żyć.

Ale z czasem Kim przekroczył wiek, który był rękojmią, że wpadka oznacza nie więzienie lub obóz pracy, ale w najgorszym razie zakład poprawczy dla młodzieży. Teraz trzeba się było mieć na baczności. Przez długi czas się to jakoś udawało. Aż wreszcie nastąpiła wpadka i to wpadka potwornie głupia. Kim nie mógł sobie podarować swojej nieostrożności.

Ostatnią swoją podróż kolejową na wolności odbywał Kim na trasie skądś tam do Swierdłowska.

Kres podróży był już niedaleki i trzeba było pomyśleć o zaopatrzeniu się w gotówkę, a właśnie na którejś stacji, gdy pasażerowie ówczesnym zwyczajem poszli do stacyjnego bufetu,

zauważył Kim, że jeden z jadących w jego wagonie oficerów NKWD pfacząc za coś wyciągnął, a potem schował spowrotem do kieszeni munduru spory zwitek grubszych banknotów rublowych. Wkrótce po ruszeniu pociągu oficer zdjął bluzę i powiesił ją na haczyku, tuż przy korytarzu wagonu. Spoczywające w kieszeni bluzy pieniądze nie dawały Kimowi spokoju. I wreszcie odważył się on na najśmielszy "wyczyn" swego życia.

Zainicjował więc w korytarzu chóralny śpiew, do którego w rosyjskim pociągu znajduje się zawsze dużo chętnych, a potem, gdy zebrała się spora grupka śpiewających, manewrował tak, by znaleźć się tuż obok bluzy. Gdy to się powiodło, nie było już dla jego zręcznych palców żadnym problemem uwolnienie oficera od jego kasy.

I wszystko skończyłoby się dla niego napewno szczęśliwie, gdyby nie to, że upojony sukcesem, postanowił po paru minutach ryzykować raz jeszcze.

Tym razem wpadł mu w oko leżący na półce na bagażu aparat fotograficzny.

Kim wyczekał odpowiedni moment i gdy wszyscy pasażerowie przedziału odwróceny byli w kierunku śpiewających, sięgnął wolno, od niechcienia po aparat i zaczął go oglądać jakgdyby z amatorskiego zaciekawienia. Upewniwszy się, że nikt poza małym, wyglądającym przez okno chłopakiem nie mógł widzieć jego manewru, Kim wstał powoli, przecisnął się przez stłoczonych w korytarzu pasażerów i wolno skierował się do sąsiedniego wagonu.

Pociąg wjeżdżał już na przedmieścia Swierdłowska i zwolnił bieg.

Kim myślał właśnie o tym, że bezpieczniej będzie wyskoczyć gdzieś starym zwyczajem przed stacją, by uniknąć ewentualnych kontroli, a także alarmu, jaki wywołać mogli właściciele aparatu, gdy nagle z tyłu doszedł go głos:

- Hej wujku! A dlaczego zabrałeś mój aparat?

Kim wolał nie wyjaśniać. Skoczył więc do drzwi, szybko je otworzył i szykował się do skoku, który wobec wolnego biegu pociągu nie był zupełnie groźny, gdy chłopiec dopadł go i z całej siły się w niego wczepił, krzycząc:

- To mój aparat! Oddaj mi mój aparat!

Kim wiedział, że się od chłopca tak łatwo nie uwolni. Skok pociągnąłby niechybnie wypadnięcie z pociągu także i dziecka. Przez moment Kim się wahał. Ale wyobraźnia podsunęła mu widok wpadającego pod pociąg chłopca. I to przeważało szalę. Kim zatrzasnął drzwi wagonu, a gdy się odwracał by oddać chłopcu aparat, w ramię jego wpiła się reka... okradzonego przez niego dopiero co oficera NKWD.

Opowiadanie o swoich losach Kim zakończył skargą:

- Że też to się musiało przydać właśnie teraz, kiedy się lato zaczyna!

Był on najświeższym, nie licząc nas, lokatorem celi. Był on też jedynym, którego drogi miały się skrzyżować z moimi w przyszłości. Spotkaliśmy się w niezwykle dziwnych okolicznościach w kilka lat później w czasie wojny, gdy ja byłem oficerem łącznikowym na froncie, a Kim... Otóż Kim był także oficerem, lejtnantem lotnictwa.



Ale to już całkiem inna historia.

### Sergiej Stiepanowicz

-----

W potężnym Sergieju już na pierwszy rzut oka poznać było można człowieka poczciwego i dodrodusznego. Jego siwe oczy otaczała siateczka drobnych zmarszczek, świadczących o skłonności do śmiechu. I istotnie był on zawsze pogodny i uśmiechnięty, choć sytuacja, w jakiej się znalazł wcale do wesółych nie należała.

Historia życia Sergieja była nieskomplikowana i być może możnaby jego osobę pominąć zupełnie w niniejszym opisie, gdyby nie charakterystyczność "przestępstwa" za które dostał się za kraty.

Sergiej był, a właściwie my dwaj, nowoprzybyli byliśmy rzecz można kolegami po fachu Sergieja. Pracował on bowiem od wczesnej młodości jako drwal. I niewątpliwie, dzięki swoim warunkom fizycznym musiał on być drwalem co się zowie.

Prawdziwym jednak jego powołaniem była stolarka meblowa i rzeźba w drzewie. Sergiej wyrzycił sobie w komórce za domem warsztacik i tam, wieczorami po pracy i w wolne dni klecił bogato snycersko ozdobione meble i rzeźbił figurki ludzi i zwierząt.

Z figurkami nie było kłopotu. Można je było wycinać z przygotowanego z góry, odpowiedniego drewna. Gorzej było z meblami. Do ich wyrobu należało używać specjalnie wybranych, pozbawionych sęków desek z odpowiedniego drzewa, które ponadto musiały być dobrze wysuszone.

Tymczasem - choć to brzmić może nieprawdopodobnie - oficjalne nabycie drzewa w było tym centrum przemysłu drzewnego zupełnie nieosiągalne.

Robotnicy mogli co prawda czasami otrzymać zezwolenie na zakup desek, ale był to materiał budowlany, nie nadający się zupełnie na robienie mebli. Czasem tylko udawało się Sergiejowi zdobyć coś odpowiedniego, a wówczas magazynował deski w swojej komórce, gdzie w specjalny sposób ustawione schły bardzo długo. Potem powstawały z tego meble, które stanowiły przedmiot zazdrości sąsiadów. Ale Sergiej nie sprzedawał swoich mebli nikomu. Czasem tylko darował komuś w prezencie jakąś pięknie rzezbioną sztukę. Reszta zdołała jego własną, rękami Sergieja i rodziny zbudowaną chałupę.

Kiedy najstarsza córka, mieszkająca w położonym o kilkanaście kilometrów miasteczku zawiadomiła rodziców, że zamierza wyjść za mąż, postanowił Sergiej zrobić młodej parze prezent ślubny w postaci umeblowania do ich przyszłego wspólnego mieszkania.

Najchętniej zrobiłby te meble z pięknego i ulubionego przez niego materiału, którym był pewien gatunek syberyjskiej brzozy. Ale o zdobyciu takiego materiału nie było co i marzyć. Trzeba więc było zadowolić się zwykłą sosną.

I wtedy właśnie zaczęła Sergieja męczyć pewna myśl.

Oto dwa, czy trzy lata wcześniej zjawił się w ich punkcie wyrębu lasu na inspekcję obwodowy dyrektor przemysłu drzewnego. Usłyszawszy o pięknych rzeczach robionych przez Sergieja, zjawił się on w jego mieszkaniu i obejrzawszy meble, niewiele myśląc zażyczył sobie takiej samej sypialni, jaką tam zobaczył.

Sergieja zwolniony został na jakiś czas z pracy, by najpierw wyszukać w pobliskich lasach odpowiednie brzozy, potem by dopilnować ich właściwego popiłowania i zmagazynowania, a wreszcie, gdy drewno już odpowiednio wyschło - by wykonać meble.

Przez cały ten czas płacono Sergiejowi jego średnie akordowe zarobki, to też nie potrzebował się on spieszyć. W rezultacie i materiał był to się zowie i sam produkt wyszedł taki, że nie powstydzili się tego najlepsi artyści-stolarze.

Ponieważ komórka Sergieja była zbyt mała, pracował on wówczas w warsztacie przy kantorze. Wobec ludzi nazywało się to, że Sergiej robi meble dla budującej się w pobliskiej miejscowości szkoły.

I teraz, zabierając się do robienia "wyprawy" dla córki, uswiadomił sobie Sergiej, że nie całe przygotowane na dyrektorskie meble drewno zostało zużyte. Z leżącego dotąd w warsztacie przy kantorze materiału można by zrobić właśnie dokładnie to, co sobie obmyślił dla córki.

Wiedział on, że jeśli zwróci się o odstąpienie i spotka się z odmową, to sprawa będzie całkowicie zaprzeczona. Postanowił tedy działać inaczej.

Pewnego dnia pożyczył od sąsiada-woźnicy na godzinę konia i sanie, podjechał pod warsztat i najspokojniej w świecie zaczął ładować na nie brzozowe deski. Nikogo to nie zdziwiło, bo wiadano, że to właśnie Sergiej używał ich poprzednio jako materiału do swojej pracy. To też przez nikogo nie niepokoiony zwiózł wymarzony materiał do swojej komórki.

Potem przez kilka zimowych miesięcy trwała wyteżona praca nocna i wreszcie tuż przed nadejściem wiosny i ślubu prezent był gotowy.

Był jeszcze problem, jak meble dostarczyć do miasteczka. Okazało się, że jedynym sposobem było znowu wypożyczenie od przyjaciela sąsiada jego służbowego konia. By go do użyczenia zaprzęgu nakłonić musiał Sergiej nie tylko wiele się nabiedzić, ale także obiecać, że po pierwsze zrobi jakieś meble również dla sąsiada, a po wtóre - w razie wypadki - powie, że konia i sanie wziął ze stajni bez wiedzy tego ostatniego.

Uradzono, że najbezpieczniej będzie jeśli kilkunastokilometrową drogę do miasteczka odbędzie Sergiej w nocy z soboty na niedzielę, a powróci w nocy z niedzieli na poniedziałek.

I tak też się stało. W sobotę wieczorem meble załadowano na sanie, starannie okryto i żegnany przez żonę Sergiej ruszył w drogę.

Po trzech godzinach był już u celu podróży, gdy przy pierwszych domach miasteczka zatrzymał go milicjant, zaintrygowany widocznie nocnym transportem.

Potem był komisariat i oto teraz siedział Sergiej w oczekiwaniu

na sprawę za kradzież państwowych desek i bezprawne użycie do celów prywatnych równie państwowego konia.

- A najgorsze - mówił - że na ślubie córki nie był, a młodzi się nawet położyli na czym nie mieli w noc poślubną.

Opowiadał też Sergiej, że kiedy wyznaczono mu obrońcę z urzędu i ten widział się z nim jeden jedyny zresztą raz, to zapytał on adwokata, czy nie należałoby powiedzieć, że jak dla dyrektora można było zrobić tyle, to dlaczego nie wolno było jemu na taką okazję jak ślub córki skorzystać z resztek. Ale urzędowy obrońca tylko zamachał rękami i wykrzyknął:

- Tylko nie to! Tylko nie to Sergieju Stiepanowiczu. Jemu nic nie zrobią, ale za to wam dostanie się podwójnie.

### Wiktor Aleksiejewicz

-----

Wiktor był postacią bardzo ciekawą. Pochodził z bardzo zamożnej rodziny właścicieli ziemskich, ale już w gimnazjum, w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową zetknął się z ruchem rewolucyjnym i idee klasyków marksizmu pochłonęły go całkowicie. Jako kilkunastoletni chłopak brał już czynny udział w działalności kółek rewolucyjnych i to na najtrudniejszym i najbardziej niebezpiecznym odcinku. Został bowiem wyznaczony do prowadzenia pracy agitacyjnej wśród żołnierzy. Chociaż wpadka groziła tu srogimi karami, nie mówiąc już o reputacji rodziny, Wiktor oddał się tej działalności z całym swym młodzieńczym zapałem i wkrótce stał się popularny, szczególnie wśród marynarzy i żołnierzy garnizonu Petersburga i Kronsztatu.

Nic więc dziwnego, że po wybuchu rewolucji został młodociany Wiktor komisarzem politycznym pułku uformowanego z wówczas już piotrogrodzkich robotników.

Zdobył też sobie dużą popularność dzięki płomiennym, trafiającym do mózgów i serc bojowników rewolucji przemówieniom.

Ale już wówczas zdarzało się, że Wiktor bywał wysmiewany, a czasem i ganiony przez zwierzchników za swój, jak to nazywano "inteligencki liberalizm", który przejawiać się miał jakoby w jego częstych sprzeciwach wobec bezmyślnych aktów gwałtu, jakich często dopuszczali się czerwoni gwardziści.

- Hydrę kontrrewolucji wypłenić trzeba z korzeniami! - mawiał dowódca pułku, nie obciążony "mieszczańskimi przesądami" robociarz. - Nie wytępiamy my ich, to oni nas wytepią!

Po rewolucji zaofiarowano Wiktorowi wysokie stanowisko w komisariacie oświaty ludowej. Objął je i równie energicznie, jak poprzednio organizował oddziały bojowe, tak teraz zajął się organizacją powszechnego nauczania w zacoferanej Rosji. Wiele czasu poświęcał na wyjazdy w teren i staczenie bojów z miejscową biurokracją.



Na początku lat trzydziestych ktoś przypomniał sobie, że Wiktor włada świetnie językiem francuskim, którą to umiejętność wyniósł z domu rodzicielskiego, dzięki wychowawczyni - Francuzce.

Wysłano więc Wiktora najpierw na placówkę dyplomatyczną do Paryża, a potem do Ligi Narodów do Genewy.

W czasie pobytu w Paryżu Wiktor poznał i zaprzyjaźnił się nawet z pewnym emigrantem rosyjskim, literatem, który choć bardzo postępowo nastawiony, nie mógł jednak zdecydować się na powrót do ZSRR. W czasie długich dyskusji starał się go Wiktor przekonać, że miejsce pisarza jest tam, gdzie może on - pisząc w języku ojczystym - bezpośrednio dotrzeć do swego czytelnika. Jednakże tamten wysuwał cały szereg zastrzeżeń, głównie odnośnie ograniczenia wolności swobodnego wypowiedzania się w Związku Radzieckim i ostatecznie wysiłki Wiktora się nie powiodły. Ale przyjaciółmi pozostali i korespondencja trwała nadal po wyjeździe Wiktora do Genewy, a nawet potem, gdy wrócił on już do Rosji.

Powrót ten nastąpił nawiasem mówiąc w samą porę, to jest przed wielką czystką lat trzydziestych, kiedy to niemal wszyscy odwołani ze swoich placówek dyplomaci stracili po powrocie głowy.

Wiktorowi zaproponowano wtedy powrót do komisariatu oświaty, ale w nim odżyło dawne marzenie bezpośredniej pracy z młodzieżą.

Jego ulubionym "hobby" była zawsze literatura, a zwłaszcza klasyczna literatura rosyjska i historia. Uważał się za dostatecznie w tych przedmiotach kompetentnego by móc nauczać młodzież, to też poprosił, by skierowano go jako nauczyciela na prowincję.

Prośba ta wywołała spore zaskoczenie. Nie było to w szeregach sowieckich funkcjonariuszy normalne żeby ktoś o takiej przeszłości jak Wiktor i z takimi jak jego świetnymi perspektywami dalszej kariery, sam, dobrowolnie skazywał się na podrzedną pracę w jakiejś dziurze.

Być może, że już wtedy zastanawiano się, jakie to ukryte przyczyny skłoniły Wiktora do takiego kroku. Ostatecznie jednak skierowano go do wybranego przez niego samego, jednego z miast syberyjskich.

Wiktor nie zgodził się także na objęcie stanowiska dyrektora szkoły. Chciał być prosto - i został w końcu - zwyczajnym nauczycielem literatury i historii.

Traf chciał, że w szkole, w której zaczął pracować, przedmiotów tych nauczał także dyrektor szkoły. Różnica pomiędzy nimi polegała jednakże na tym, że Wiktor naprawdę znał literaturę, czego o dyrektorze nie można było powiedzieć i że Wiktor chciał w uczniach obudzić zainteresowanie i miłość do jednego, jak i drugiego nauczanego przedmiotu. W oczach dyrektora natomiast dobrym uczniem był ten, kto wyuczył się na pamięć sztywnych, podręcznikowych tez.

Być może, że stosunek dyrektora do Wiktora ułożyłby się inaczej, gdyby znał on chlubną, rewolucyjną przeszłość nowego nauczyciela. Ale Wiktor się nią nie chwalił, więc dyrektor traktował go raczej jako człowieka wysłanego na Syberię z - wówczas już Leningradu - za jakieś przewinienia. A z takim można sobie było poczynać dowolnie.

Nieraz więc zdarzało się, że na zebraniach grona nauczycielskiego i szkolnej komórki partyjnej dyrektor gromił Wiktora za odstępowanie od obowiązującego materiału szkoleniowego, niepotrzebne poświęcanie czasu na literaturę burżuazyjną, a nawet - o zgrozo! - wychwalanie literatów zdecydowanie mieszczańskich, a nawet zdaniem dyrektora kontrrewolucyjnych.

Wiktor podejmował dyskusje niechętnie, widząc, że nie może ona dać żadnych rezultatów. Ale kiedyś, gdy spotkał go znów zarzut, że zbyt mało poświęca czasu literaturze sowieckiej, nie wytrzymał i wybuchnął:

- A gdzie ona jest ta literatura? Gdzie są następcy Puszkina i Lermontowa? Powiem wam gdzie są: Popelnili samobójstwa, jak na przykład Majakowski i Jesienin. A kto ma zastąpić Gogola, Gribojedowa, Dostojewskiego czy Czechowa? Nikt ich zastąpić nie może, bo nikomu nie wolno krytykować współczesnych zjawisk społecznych, co oni mogli robić w swojej epoce. A kto ma być spadkobiercą Lwa Tolstoja? Jego zapity i zakłamany potomek Aleksy, który co innego mówi, a co innego pisze? Czy może Szołochow, który napisał - zresztą nie wiadomo czy on sam - jedną dobrą książkę, a potem już poświęcił się propagandowej, lukrowanej literaturze? Czego więc mam tych młodych uczyć? Gdzie jest ta radziecka literatura, którą towarzysz dyrektor chce zastąpić klasyków?

W czasie tej tyrady dyrektor usiłował Wiktorowi kilkakrotnie przerwać, a gdy to mu się nie udało i ten wreszcie skończył, dyrektor zwrócił się do obecnych:

- No cóż, wylażło szydło z worka. Teraz już towarzysze wiemy jakiego ptaszka nam tu przysłali. Mam nadzieję, że towarzyszka - tu zwrócił się do jednej z obecnych, która protokołowała przebieg posiedzenia - dobrze zanotowała co tu było powiedziane. A teraz zebranie zamykam.

Oczywiście tego jeszcze samego dnia odpowiedni meldunek został wysłany do "właściwych władz".

Ale tym razem skończyło się tylko na tym, że Wiktor wezwany został do obwodowego sekretarza partii, który - jak się okazało - był jego starym znajomym, jeszcze z okresu wojny domowej i dostał solidną reprimendę. Przeniesiono go też do innego, pobliskiego miasta, ale nauczać mu narazie pozwolono.

A potem nastąpiły czystki i procesy lat 1937-38. Wiktor widział, jak jeden po drugim znikali jego dawni towarzysze i przyjaciele, o których wiedział, że byli równie oddanymi komunistami jak on sam. Wiktor patrzył na to i nie mógł niczego zrozumieć. I wreszcie doszedł do wniosku, że tam w Moskwie do władzy dorwała się grupa ludzi, którzy zdradzili ideę i że trzeba to światu wyjaśnić. Ale jak to zrobić, gdy się jest nic nie znaczącym nauczycielem w małym syberyjskim miasteczku? I właśnie wtedy otrzymał list od swojego paryskiego przyjaciela, literata, w którym tamten nie bez ironii zapytywał, czy to czasem nie on miał rację w czasie ich dawnych dyskusji.

List ten nasunął Wiktorowi myśl wywnętrzenia się wobec przyjaciela i przekazania za jego pośrednictwem tym, którym los rewolucji był bliski tak, jak jemu samemu, swoich konkluzji odnośnie tego, co dzieje się w Związku Radzieckim.

List do przyjaciela redagował długo i zaklinał go by treść udostępnił jedynie towarzyszom z francuskiej partii komunistycznej. Nie z asekurantwa - jak pisał - ale dlatego, bo uważał, że sprawy te nie powinny wyjść poza krąg ideologicznych braci. Liczył się z tym, że jak większość zagranicznej korespondencji, list jego może dostać się w ręce cenzury, ale o tej ewentualności rozmyślał nie z obawy o swoją skórę, ale dlatego, że nie pozwoliłoby to jego posłannictwu dotrzeć do przeznaczonych rąk.

Po wysłaniu listu czekał dość długo. Po paru tygodniach był już przekonany, że list dotarł do celu.

Nocne dobijanie się do jego drzwi nastąpiło dopiero w dwa miesiące po wysłaniu listu. Wiktor długo rozmyślał, co zrobi jeśli dojdzie do aresztowania go. Postanowił sobie, że przewód sądowy wykorzysta do publicznego wygłoszenia swoich poglądów. Ale wówczas już nerwy jego były mocno nadszarpnięte, to też gdy usłyszał dobijanie się NKWD do swojego kawalerskiego mieszkania i upewnił się kim byli nocni goście, otworzył szybko okno i rzucił się z drugiego piętra na bruk. Poturbował się ciężko, ale się nie zabił. Przez dwa lata leżał w więziennym szpitalu, a teraz już kilkanaście miesięcy przebywał w więzieniu śledczym, cicho i spokojnie czekając na to, co nastąpi.

Nurtował go wciąż jeden problem: dlaczego trwało tak długo od nadania listu do momentu zaaresztowania? Czy był to wewnętrzny bałagan, który spowodował zwłokę w decyzji od momentu wyłowienia listu przez cenzurę, czy też...list przedostał się przez jej sito i wrócił do ZSRR za przyczyną tych, do których miał dotrzeć - francuskich towarzyszy.

Nie sadzę, by Wiktorowi udało się kiedykolwiek rozwiązać ten dylemat.

W każdym razie śledztwo, jakie toczyło się przeciwko niemu obejmowało takie zarzuty, jak przekazywanie wrogim zagranicznym ośrodkom wiadomości o ZSRR i sianie wrogiej propagandy.

Tylko tyle! Nic więcej!

Oczywiście sporo czasu upłynęło nim zapoznaliśmy się z wszystkimi opisanymi tu przeżyciami naszych współwięźniów. Około trzech tygodni spędziliśmy już w celi, a ani razu jeszcze nasze numery nie były wywołane na przesłuchanie.

Aż wreszcie wywołano równocześnie i mnie i Elka. Konwojent zapowiedział nam, że nie wolno nam się rozglądać ani porozumiewać między sobą, co było o tyle dziwne, że dotąd mogliśmy przecież gadać ze sobą dowoli i - gdybyśmy chcieli - mieliśmy możliwość wszystko przed zeznaniami uzgodnić.



Długimi korytarzami podziemnymi poprowadzili nas do poczekalni. Tu zatrzymano Elka, a mnie wprowadzono do pokoju, którego umeblowanie stanowił tylko stół z lampą biurową i dwa krzesła. Na ścianie wisiał ponadto herb ZSRR i portrety Stalina i jeszcze jakiegoś generała, tysego, w binoklach i z czterema rombami na kołnierzu. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że to osławiony Beria.

Za stołem siedział starszy lejtnant, który sprawdził moje personalia i powiedział:

- No synku, Rozenman i Zalewski już się do wszystkiego przyznali. Wiem, że ty do tego ręki nie przyłożyłeś, ale też i nie przeszkodziłeś, kiedy oni dokonywali sabotażu. A to jest tak samo karalne. Ale ty jesteś młody i może nie zdawałeś sobie sprawy, że to co oni robili, to był sabotaż, co?

Patrzałem na niego oślepiały. Nie rozumiałem, do czego też mogli się przyznać Rozenman i Zalewski.

- To chyba jakieś nieporozumienie - wykrztusiłem - Ja nie widziałem, żeby oni coś robili. Oni sami byli bardzo zaskoczeni kiedy to się stało.

- Co ty ich jeszcze bronić chcesz? Oni się sami przyznali, a ty mi tu będziesz pieprzył, że nic nie było, że tartak się sam zniszczył, co?

- Tartak się nie zniszczył. To była tylko jedna piła, która...- zacząłem, ale oficer, który stracił już, albo raczej udawał, że stracił cierpliwość, przerwał mi::

- To było radzieckie dobro! Rozumiesz? Nie jest ważne, czy ktoś celowo niszczy cały tartak, czy jedną srobkę, jeśli chce szkodzić Związkowi Radzieckiemu. A że im się tylko jedną piłę zniszczyć udało, to nie świadczy, że nie zamierzali zniszczyć i pozostałych. Zresztą sami to zeznali, o...- tu wziął do ręki jakieś papiery - tutaj sami zeznają, że mieli w planie zniszczenie wszystkich pił w tartaku. Zeznali i podpisali. A ty mi tu będziesz głowę zawracał:

W tym momencie zrozumiałem, że mnie nabiera, że Rozenman i Zalewski do niczego się nie przyznali. Nie mogli przecież planować zniszczenia "wszystkich" pił, skoro ta fatalna była jedna, jedyna na naszym tak zwanym tartaku.

Oczywiście nie należało się przyznawac do tego, że przejrzałem taktykę przesłuchującego, ale byłem wtedy zbyt młody i zbyt mało miałem życiowego doświadczenia, by się powstrzymać od uwagi:

- Jak oni mogli planować zniszczenie wszystkich pił, jeśli tam wogóle była tylko jedna?

Ledwo to powiedziałem, zrozumiałem, że popełniłem błąd. Spokojny dotychczas śledczy zerwał się ze swego krzesła, trzasnął mnie dłonią w policzek z jednej, potem z drugiej strony tak, że spadłem ze stołka, a gdy gramoliłem się z ziemi, dołożył solidnego kopniaka w siedzenie.

- Nie chcesz grzecznie - powiedział przez zacisnięte zęby, to pogadamy inaczej. Masz tu papier i ołówek. Siądziesz teraz w drugim pokoju i napiszesz wszystko, co wiesz o sabotażu. I

radzę wszystko odrazu dokładnie opisać. Bo my cię do gadania prawdy i tak potrafimy zmusić. No, jazda - otworzył drzwi do poczekalni, kazał mię wprowadzić do innego, zupełnie bliźniaczego pokoju, a sam wezwał Elka.

Siedziałem nad wręczona mi kartką i zastanawiałem się, co mam pisać. Nie było mi łatwo formułować myśli po rosyjsku. W końcu jednak skleciłem paręnaście zdań, w których opisywałem feralny dzień i wyraziłem nasze przypuszczenie, że to któryś z drwali wbił żelazny klin w pień, a my - i tu wyraziłem żal - tylko go nie zauważyliśmy. Było to - dodałem samokrytycznie, bo tego nauczyli nas współwięźniowie w celi- oczywiście karygodne, ale wina nasza nie miała nic wspólnego z chęcią dokonania sabotażu.

Przeczytałem swoje zeznanie i byłem z niego zadowolony. Pomyślałem sobie, że podsuniecie myśli o wbitym przez jakiegoś drwala klinie może pomóc samemu śledczemu w znalezieniu sposobu na zamknięcie śledztwa w sprawie, w którą - jak przypuszczałem - sam nie mógł wierzyć.

Lejtnant zjawił się w moim pokoju po półgodzinie. Wziął ze stołu zagryzoloną cyrylicą kartkę, przeczytał ją, coś do siebie szepcząc, poczem spojrzał na mnie i wycedził:

- Czekaj burzujski wyskrobku! Ja cię nauczę z władzą radziecką igrać! - Otworzył drzwi i krzyknął do strażnika:

- Odprowadzić ich do celi.

Rzut oka na Elka wystarczył, by przekonać się, że jemu powiodło się jeszcze gorzej niż mnie. Jedno oko miał zupełnie zsiniałe i zapuchnięte. Po powrocie do celi podzieliliśmy się wrażeniami. Od Elka pisemnego zeznania lejtnant nie żądał, choć i on się oczywiście do niczego nie przyznał. Zastanawialiśmy się co robić, gdy nas wezmą na dalsze przesłuchania i wszyscy byli zdania, że trzeba się trzymać tylko prawdy.

- Zechcą wam parę lat wlepić, to i tak nic nie pomoże, ani sytuacji nie zmieni czyście się przyznali, czy nie. Ale jak macie czyste sumienie, a wiem, że macie, to lepiej przy swoim obstawać- mówił "Pop".

- Łatwo mówić, ale jak oni zechcą to wyduszą z człowieka co im się żywnie spodoba - zauważył Kim, który z metodami NKWD zdążył się już dobrze zapoznać na własnej skórze.

- Pop ma rację. Trzeba być uczciwym wobec samego siebie - powiedział patrząc na nas poważnie Wiktor - Nie pozwólcie się złamać tym tyrańskim pachółkom - dodał, nie przebijając w słowach, jak zwykle, gdy mowa była o sowieckich funkcjonariuszach.

Ale do dalszych przesłuchań miało wogóle nie dojść. Następnego dnia zauważyliśmy, że w więzieniu panuje jakaś inna, napięta atmosfera, a w obiad, dyżurny, który przyniósł zupę, wlewając ją z wiadra do naszych misek szepnął:

- Wiecie już? Dziś Hitler napadł na Związek Radziecki.

Wiadomość uderzyła w nas jak piorun z jasnego nieba. Byliśmy całkowicie odcięci od świata i nie mieliśmy pojęcia, czy to , co się

stało przyszło nagle, czy też zanosilo się na to - choć my o tym nie wiedzieliśmy - wcześniej.

Wszyscy zaczęli się zastanawiać, jak teraz potoczą się nasze losy. Stwierdziłem ze zdziwieniem, że w tych skrzywdzonych przecież bardzo przez system sowiecki ludziach jakiś swoisty patriotyzm wziął natychmiast górę nad nienawiścią do reżymu. Ale po chwili zastanowienia skonstatowałem, że przecież i ja życzę im, a nie hitlerowskiemu Niemcom zwycięstwa w tej wojnie, choć i ja nie mam powodu do zachwytów nad sowieckim reżymem.

Tymczasem jednak wiadomości, które do nas docierały nie były pocieszające.

Ja myślałem wciąż o pozostałym we Lwowie ojcu, to też gdy po paru dniach dowiedziałem się, że miasto to zajęte już zostało przez Niemców, serce scisnęło mi się na myśl, że ojciec mógł nie zdążyć ewakuować się. Już po wojnie dowiedziałem się, że tak się niestety stało i w trzy dni po wkroczeniu Niemców ojciec mój został osadzony w obozie, a po dalszych kilku dniach zamordowano go.

Krótko po wybuchu wojny Wiktor Aleksiejewicz i Kim zwrócili się do władz więziennych, by przekazały komendzie wojskowej ich prośbę o wcielenie do armii i skierowanie na front. Prośba ta jednak do dnia naszego rozstania nie została wysłuchana. Od spotkanego później Kima dowiedziałem się, że dopiero zimą został on wcielony do wojska, ale wtedy już nie siedział z innymi naszymi współwięźniami, to też nie wiedział co się z nimi stało.

Około piętnastego lipca w celi naszej zjawił się zastępca komendanta więzienia i oznajmił Elkowi i mnie, że zostaniemy odesłani spowrotem na posiołek.

Następnego dnia, po serdecznym pożegnaniu ze współwięźniami z celi odprowadzono nas do kancelarii, gdzie otrzymaliśmy naszą cywilną odzież. W trakcie tej procedury, w rękach odprawiającego nas podoficera pojawiła się nagle, nie wiem skąd kartka z moim nieszczęsnym rysunkiem profilu marszałka Piłsudskiego. Przez moment struchlałem, bojąc się, że oto wynikną nowe komplikacje. Ale podoficer, popatrzwszy na rysunek zapytał:

- A to co za portret?

Szybko wyjaśniłem, że to portret jednego znajomego, na co podoficer stwierdził, że ten mój znajomy bardzo jest podobny do towarzysza Stalina i oddał mi kartkę, którą nota bene szybko porwałem.

Cały czas wyczekiwaliśmy pojawienia się Zalewskiego i Rozenmana, a gdy z przydzielonym nam konwojentem, tym razem bez kajdanek i z paskami na spodniach mieliśmy opuścić kancelarię i ruszyć na stację, a oni wciąż się nie zjawiali, nie wytrzymałem i zapytałem o nich obecnego przy odprawianiu nas zastępcę komendanta.

Ten zastanowił się jakby przez moment, jakby rozmyślał, czy wogóle ma odpowiedzieć, a potem mruknął:

- U nas ich już dawno nie ma. Zostali przesłani gdzieindziej.

Napewno odesłali ich na posiołek stamtąd.

Byliśmy tak szczęśliwi, że nie zwróciliśmy uwagi na jego zmieszanie i wykrętną odpowiedź.



Radość z powodu zwolnienia była tak wielka, że nie sprawiła nam tym razem przykrości ani ponowna wędrówka przez miasto do stacji kolejowej pod "opieką" dwóch strażników z gotowymi do strzału karabinami, ani jazda pociągiem do Paszy, w czasie której nasi dozorczy odizolowali nas starannie w jakimś kącie od reszty spoglądających na nas ciekawie pasażerów. Spostreśliśmy natomiast wyraźne, spowodowane wojną zmiany. Samochody miały reflektory zamalowane na niebiesko, a okna mieszkań i sklepów były zaciemnione. Dachy wielu budynków, a szczególnie zakładów przemysłowych pomalowane były farbami maskującymi. Na wielu płotach i murach domów porozklejane były plakaty o treści patriotycznej, a głównie wzywające ludność zamieszkałą na tyłach do uczynienia wszystkiego by dopomóc frontowi.

Kiedy po przybyciu do Paszy wyszliśmy na peron, uwagę naszą zwróciła odrazu grupka siedzących na tobołkach, pilnowanych przez kilku uzbrojonych wartowników ludzi. Ze zdziwieniem rozpoznaliśmy w nich kilka znanych nam z posiołka rodzin.

Nasi dozorczy poprowadzili nas w inną stronę, ale nim odeszliśmy, zdążyliśmy jeszcze uśmiechnąć się do tamtych i pomachać im rękami. Zaskoczyło nas, że choć widzieli nas i nasze powitalne gesty, nikt z nich ani nie odwzajemnił uśmiechu, ani - poza jednym małym chłopcem - nie pomachał nam w odpowiedzi.

Zachodziliśmy w głowę, co się mogło stać i dlaczego właśnie tych kilka rodzin dokądś przewożą.

- Ty, a może oni likwidują cały posiołek, a nas będą gdzieś w miastach osiedlać - wysunął przypuszczenie Elek.
  - To nie byłoby tacy ponurzy - odrzekłem.
  - Ale jednak nas zwolnili - nie dawał za wygraną Elek.
  - To się jeszcze okaże. Zwolnili nas z więzienia, bo może wszystkich razem gdzieś jeszcze lepiej zadekują..
  - E tam, co może być jeszcze gorszego niż posiołek?
  - Oj, może, może. Mało się od naszych tam w celi nasłuchałeś?
- Ale nic, wkrótce się przekonamy.

Podniecony tym, że niedługo zobacze się z matka i dowiem się, co zaszło nowego w naszej sytuacji nie spostrzegłem niemal, kiedy dotarliśmy wąskotorówką do Wilwy, a stamtąd szybkim, niemal bez odpoczynku marszem dobrnęliśmy do posiołka.

Jak bardzo wszystko jest w życiu względne, przekonałem się patrząc na trzy szeregi domków w dolinie z tego samego miejsca, z którego po raz pierwszy ujrzałem posiołek przed przeszło rokiem. Tym razem bowiem widok sprawił mi prawdziwą radość.

Zostaliśmy doprowadzeni do komendantury, gdzie przyjął i pokwitował nas jakiś nieznany nam enkawudzista, który po odejściu konwojentów oświadczył, że on teraz jest komendantem posiołka. Wydawał się być dużo sympatyczniejszy od poprzedników. Znał naszą historię i w pewnym momencie zapytał, jak tam było w więzieniu.

Nie chciałem wdawać się w szczegóły, więc tylko zauważyłem, że to nic przyjemnego siedzieć w więzieniu wogóle, a szczególnie kiedy

człowiek jest zupełnie niewinny.

Komendant roześmiał się, poklepał mię po ramieniu i wyrzekł słowa, których znaczenie zrozumiałem dopiero później, gdy dane mi było bliżej zapoznać się z prawdziwą historią najnowszych dziejów Rosji:

- Nic, nic bracie. Przeszedłeś teraz przynajmniej prawdziwy sowiecki chrzest.

## Tak zwana wolność

Natychmiast po zwolnieniu nas przez komendanta, który nakazał nam następnego dnia stawić się do pracy w naszych dawnych brygadach leśnych wpadliśmy w objęcia naszych bliskich, którzy dowiedziawszy się już o naszym przybyciu, czekali przed komendanturą.

A potem przez całą niemal noc opowiadaliśmy sobie wzajemnie o tym, co w międzyczasie zaszło.

Na samym jednak wstępie nastąpiło spotkanie z rodzinami Rozenmana i Zalewskiego, którzy, jak się okazało, jeszcze na posiołek nie wrócili. Opowiedziałem zrozpaczonej żonie o mojej rozmowie z zastępcą komendanta więzienia i uspakajałem je jak mogłem twierdząc, że zaaresztowani byliśmy pod tym samym zarzutem, a więc skoro my zostaliśmy zwolnieni, to napewno i oni się lada dzień pojawią.

Niestety okazało się potem, że ani jeden ani drugi nigdy się już nie odnaleźli. Wiem o tym od osób, które były z ich rodzinami w kontakcie jeszcze wiele lat po zakończeniu wojny. Pewnie przestani zostali do jednego z osławionych obozów na dalekiej północy i tam zginęli. Dlaczego Elka i mnie ominął ten los pozostaje dla mnie zagadką. Być może zdecydował o tym nasz młody wiek. Mieliliśmy obaj po szesnaście lat.

Od matki dowiedziałem się, że na dziesięć dni przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej dostała od ojca list, w którym pisał, że ma już obietnicę miejscowych władz iż sciągną nas spowrotem do Lwowa i że wkrótce już powinniśmy być znowu razem. A potem wybuchła wojna i kontakt się urwał. Ten ostatni list ojca przechowuję do dziś jak największą rodzinną relikwię.

Dowiedzieliśmy się także, że spotkane na peronie w Paszyi rodziny nie były zwiastunami likwidacji posiołka, ale tymi, którzy wcześniej zadeklarowali swoją przynależność do narodu niemieckiego i na tej podstawie prosili o repatriację do Trzeciej Rzeszy. Spraw ich nie załatwiono w czasie, gdy między Sowiecami i Niemcami hitlerowskimi panowała jeszcze przyjaźń. Za to przypomniano sobie o nich teraz i zostali szybko zabrani z posiołka i pewnie gdzieś internowani. Usiłowali się co prawda wyrzec swoich poprzednich deklaracji, ale było już za późno.

Nowego komendanta uważali wszyscy za lepszego, bardziej ludzkiego od poprzedniego. Był on poza tym pozbawiony pokus, bowiem wraz z wybuchem wojny ustał wszelki dopływ paczek, a więc nie było co kraść.

Brak dopływu paczek w połączeniu z dalszymi, wywołanymi zapewne wojną ograniczeniami w dostawach i tak już poprzednio skąpych przydziałów żywności spowodował, że mieszkańcy posiołka w większym jeszcze niż poprzednio stopniu zdani byli na żywienie się zbieranymi w lesie darami przyrody.

W czasie mojej nieobecności, tuż przed wybuchem wojny, otrzymali



wszyscy przydział ziemniaków. Były one rozmiękłe i wyrosnięte i zapewne groźba, że ulegną całkowitemu zepsuciu spowodowała ich rozdzielenie między nas, ale od biedy można je było zjeść. Najlepiej jednak nadawały się do sadzenia. Wiele osób, a wśród nich moja matka wspólnie ze Szwarzuchami postanowiło wykorzystać je właśnie w ten sposób, mając nadzieję, że plony stanowiąc będą tak bardzo potrzebne uzupełnienie naszego zimowego "menu".

Skopano więc w pobliżu domków skrawki ziemi i kartofle posadzono. Ja po powrocie zastałem już kwitnące krzaczki.

Właśnie zaczął się sezon sianokosów i spora liczba ludzi, głównie młodzieży skierowana została do tej pracy. Ja zostałem także przyłączony do tej grupy i to wprawiło mnie w pewną rozterkę.

Z jednej bowiem strony cieszył mnie fakt, że znajdę się tam razem z również wydelegowaną do tej pracy Alą, która nadal wzbudzała moje młodzieńcze pożądanie i która teraz, po powrocie z więzienia okazywała mi o wiele więcej względów. Z drugiej strony pozostawała na posiołku dawno poznana, ale teraz dopiero na serio zauważona dziewczyna, imieniem Grażyna, do której nagle poczułem sympatię zupełnie innego charakteru, niż do Ali. W ciągu niewielu razem spędzonych dni bardzośmy się do siebie zbliżyli i szukaliśmy stale okazji do przebywania razem. Ale wyboru nie było i trzeba się było na jakiś czas rozstać.

Tereny sianokosów leżały około trzydziści kilometrów od posiołka. Były to przepięknie położone na łagodnych zboczach syberyjskie hale. Widok, jaki rozciągał się ze wzgórz był niezwykle malowniczy, tym bardziej, że trawa na halach poprzątykana była bardzo gęsto niezwykle barwnymi kwiatami.

O głódzie nie było mowy, bo jagód, grzybów i dziko rosnącego zielonego groszku były nieprzebrane ilości. Nic więc dziwnego, że nastroj był doskonały.

Mieszkaliśmy w zbudowanych przez nas samych z gałęzi szałasach, a za postanie służyła gruba podściółka z siana. Ja manewrowałem tak, by wylądować w tym samym szałasie co Ala i to mi się udało.

Zaraz na drugi dzień okazało się także, że w pobliżu płynęła idealnie czysta rzeczka, rozlewająca się w pewnym miejscu tak, że tworzyła świetne miejsce do kąpieli.

Wszystko to razem stwarzało wrażenie, jakgdybysmy się nagle znaleźli na jakimś obozie harcerskim. A do tego praca nie była ciężka. Najtrudniejsze było koszenie trawy. W naszych nienawykłych do tej pracy rękach kosy albo brały zbyt wysoko, co złościło nie wiadomo dlaczego naszego brygadzystę - sympatycznego skądinąd Tatara - albo wrzynały się w ziemię. Brygadzystę złościła chyba poprostu nasza nieporadność, bo trawy w okolicy było tyle, że cała armia ludzi nie była w stanie jej wykosić.

Koszenie, grabienie i ustawianie siana w małe stóżki odbywało się tak, jak to się działo i na polskich wsiach. Mnie jednakże przypadło zwożenie lekko już przeschniętego w kopcach siana w dół, gdzie wzdłuż jedynej, prowadzącej do tatarskiej wsi drogi ustawialiśmy wielkie kopce.

Zwózka ta odbywała się w specyficzny sposób. Konia zaprzęgało się bowiem nie do jakiegokolwiek pojazdu, ale do...wielkiej, rozłożystej świerkowej gałęzi. Na wleczoną po ziemi gałąź ukladało się jeden, albo więcej kopczyków siana i potem zjeżdżało to wszystko z góry przy małej pomocy konia, jak po maśle. Gdy gałąź była już mocno zużyta, scinało się poprostu nową.

Wieczorami rozpalaliśmy ognisko i długo siedzieliśmy przy nim śpiewając i opowiadając swoje przedwojenne, niezbyt naogół bogate przeżycia.

Okoliczności spowodowały, że towarzystwo dzieliło się na coraz to nowe pary. Stale też rosły nowe szataśy, do których przenosili się zakochani. Ja, zgodnie z przewidywaniami zbliżyłem się do Ali, ale napewno nie odważyłbym się zaproponować jej przeniesienia do osobnego szataśu. Zrobili to za mnie inni. Nagle bowiem okazało się pewnego wieczoru, że z naszego, zamieszkałego dotąd przez sześć osób szataśu, cztery wyniosły się do własnych "apartamentów". Nawiasem warto chyba wspomnieć, że obie pary, które nas wtedy opuściły są do dnia w którym piszę te słowa szczęśliwymi małżeństwami.

Nagle więc spełniło się moje marzenie i zostałem z Alą sam na sam. I wtedy właśnie ogarnęło mnie przerażenie. Kiedy oboje ułożyliśmy się w szataśie, bałem się nawet, czy ona nie usłyszy łomotu mego serca, tak mocno waliło mi ono w piersi. Czułem, że za żadne skarby nie odważę się przejawiać inicjatywy i choć wstydzilem się ogromnie, leżałem jak mysz pod miotłą, udając, że zasnąłem.

No i zdarzyło się to, co ponoć zawsze zdarza się w takich wypadkach. O wiele bardziej, mimo niemal równego wieku ode mnie doświadczona Ala parsknęła nagle śmiechem i objęła komendę.

- No chodźże tu głupi - powiedziała swoim miękim, niemieckim akcentem - i nie udawaj że śpisz, bo wiem, że tam leżysz i dygoczesz.

Idylla trwała trzy tygodnie. Żałowałem bardzo, że sianokosy się skończyły i trzeba było wracać na posiołek, z którym przez ten czas nie mieliśmy kontaktu.

Dziwny jest jednak charakter człowieka, a może tylko takiego młodego chłopaka, który właśnie został mężczyzną. Bo oto, mimo wielkich uniesień zmysłowych, jakich doznawałem we współżyciu z Alą, coraz częściej myślałem i tęskniłem do ponownego spotkania z Grażyną, z którą się chyba nawet ani razu nie pocałowałem. Pewnie wynikało to trochę z lekko ironicznego sposobu traktowania mnie przez Alę, dla której przygoda ze mną była tylko jeszcze jednym epizodem w jej już mimo młodego wieku doświadczonym życiu.

Tymczasem na posiołku czekały na nas wielkie nowiny. Po raz pierwszy od przybycia na Syberię komendant rozdzielił między mieszkanców kilka gazet z wiadomością, że podpisana została umowa pomiędzy sowieckim ambasadorem w Londynie i premierem rządu polskiego na wychodźctwie, na mocy której w ZSRR powstać miała armia polska, a wszyscy byli obywatele państwa polskiego, przebywający w "miejscach odosobnienia" powinni zostać zwolnieni.

Oczywiście rozgorzały natychmiast dyskusje odnośnie tego kiedy

nas zwolnią i co w takim przypadku dalej robić.

Równocześnie jednak doszły nas i złe wieści. Oto armie hitlerowskie dawno już zajęły rdzenne tereny polskie i wdarły się w głąb Związku Radzieckiego. Z gazety nie wynikało wyraźnie jak głęboko, lecz można się było zorientować, że sytuacja była groźna.

Byli chyba i tacy, którzy się z tego cieszyli, ale zdecydowana większość była posuwaniem się Niemców na wschód bardzo zmartwiona. Nieznany los pozostałych na okupowanych obecnie przez faszystów terenach krewnych i przyjaciół stanowił główną przyczynę zmartwienia. Ale i sukcesy wojenne hitlerowców nie przysparzały dobrego humoru. Perspektywa opanowanej przez nazistowskie hordy Europy wydawała się, nawet nam, doświadczonym przecież ciężko przez władze kraju, który zwał się socjalistycznym, okropna. Ale spory na temat tego co lepsze były zazarte i stanowiły najpowszechniejszy chyba temat rozmów.

Innym tematem były rozważania - dokąd się udać w przypadku ewentualnego zwolnienia ze zsyłki. Powrót na zachód był przecież niemożliwy.

Co do jednego wszyscy niemal byli zgodni. Trzeba się po pierwsze udać w takie strony, do których nie dotrze front, a po wtóre zmienić szerokość geograficzną na taką, w której było ciepło. Po przebytej na Syberii zimie marzyły się ludziom kraje, gdzie panuje wieczne lato.

W naszym "czerwonym kąci" wisiał jakiś stary afisz z mapą ZSRR. Każdego wieczoru po pracy gromadziły się teraz przed tym afiszem gromadki ludzi zawzięcie dyskutujących o zaletach i wadach różnych południowych republik, wchodzących w skład Związku Radzieckiego, jak Uzbekistan, Tadżykistan, Kirgizja i t.p. Padały nazwy miast jak Aszchabad, Fergana, Ałma-Ata i mnóstwo innych, choć Bogiem a prawdą nikt chyba nigdy niczego o miastach w Azji Środkowej, poza Taszkientem, Bucharą i Samarkandem nie słyszał.

Przez parę tygodni były to jednak tylko ciche dyskusje. Nikt bowiem o zwolnieniu nas nie wspominał, a jedyne, co się zmieniło, to był nieco, a może nawet wyraźnie lepszy stosunek do nas władz posiołkowych.

Robota w lesie szła normalnie, a niektórzy, bardziej zapobiegliwi i pesymistyczni zaczęli powoli przygotowywać drewno opałowe na zimę i robić zapasy suszonych grzybów, jagód, czosnku i cebuli.

Inni, licząc się z długotrwałą podróżą na południe żywili się jedynie wymienionymi wyżej darami przyrody, susząc dla odmiany całe, skąpe przydziały chleba, by mieć zapas sucharów na drogę. Do tych ostatnich należeliśmy i my.

Ja już wcześniej nauczyłem się łowić małe rybki "kilki", których sporo było w rzece i obecnie pod różnymi postaciami stanowiły one nasze główne pożywienie. Łowiło się je w następujący sposób: Umocnym w nafcie sznurkiem owijało się szyjkę butelki. Sznurek podpalało się, a gdy spłonął, na rozgrzane miejsce kapało się zimną wodę. Naogół szyjka odpadała i powstawało coś w rodzaju



niedostępnego inaczej słoika. Następnie odpadniętą szyjkę odwracało się i wkładało napowrót do butelki tak, że stanowiła jakgdyby lejek. W tej pozycji mocowało się całość sznurkiem i po wkruszeniu do środka kilku drobin drogocennego chleba, układało się tą pułapkę koło jakiegoś kamienia na dnie rzeki.

Nie wiem kto był wynalazcą systemu, ale przyznać trzeba, że pomysł był świetny i funkcjonował niezawodnie. Po mniej więcej godzinie butelka była prawie zawsze napelniona rybkami, które miały tą zaletę, że smażone puszczały własny tran, co z braku innego tłuszczu było niezwykle istotne.

Zwrot w naszej sytuacji nastąpił w końcu sierpnia. Na zwołanym przez komendanturę ogólnym meetingu oświadczone nam, że wkrótce, stopniowo wyposażeni zostaniemy w tymczasowe dowody tożsamości, w których wymieniony będzie cel naszej podróży, poczem będziemy mogli udać się do wybranych miejsc. Możemy sobie więc takie miejsca wybrać sami z "małymi" tylko - jak się komendant wyraził - ograniczeniami. Nie wolno nam będzie osiedlać się w stolicach sowieckich republik związkowych i autonomicznych, w miastach obwodowych i w strefach przygranicznych. Na podstawie naszych dokumentów otrzymamy bilety kolejowe na dojazd do celu podróży. Nawiasem mówiąc wymienione ograniczenia miejsc osiedlania się zostały później w związku z dużymi, spowodowanymi mobilizacją brakami siły roboczej, w praktyce zaniechane.

Teraz dyskusje zaczęły się na dobre. Ludzie woleliby pozostać i w czasie dalszej tułaczki w gronie tych, z którymi zaprzyjaźnili się na posiołku. Pisano też gorączkowo do krewnych i przyjaciół, siedzących w innych posiołkach, z którymi wcześniej zdołano nawiązać korespondencję, by uzgodnić cel podróży i z nimi.

Ogromna większość wybrała Uzbekistan. Wśród tej większości znaleźliśmy się także i my. Za moją namową zdecydowaliśmy się udać do leżącego na pograniczu Uzbekistanu i Kirgizji, blisko podnóża Pamiru, miasta Andżan. Powodem mojej namowy było, że miasto to wybrała za cel swojej podróży rodzina Grażyny, z którą w międzyczasie staliśmy się niemal nierozłączną parą.

W komendanturze zjawił się jakiś funkcjonariusz NKWD i zaczęło się wydawanie dokumentów tożsamości. Szło to dość powolnie.

My i wielu innych postanowiliśmy tymczasem żywić się wyrosłymi na naszym poletku, ale jeszcze nie dojrzałymi ziemniakami, by całe otrzymywane racje chleba przeznaczyć na suchary. Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Pochorowaliśmy się wszyscy na żołądki tak okropnie, że gdy przyszła nasza kolej otrzymania dokumentów i ruszenia w drogę, byliśmy tak osłabieni, że o marszu do Wilwy nie mogło być mowy. Szczególnie złożyła choroba moją matkę i panią Pollakową, a właśnie z ich rodziną razem zamierzaliśmy udać się w drogę.

Ja już nieco wydobrzałem i dziesiątnik Winogradow wysłał mi - obiecując dodatkowy przydział chleba - z innymi jeszcze chłopcami po siano dla koni, tam, gdzie byliśmy na sianokosach. Wyprawa trwała trzy dni, a gdy wróciłem, dowiedziałem się, że właśnie poprzedniego

dnia wyprawiono w drogę rodzinę Grażyny, która u matki mojej zostawiła wiadomość, że destynacja ich podróży uległa zmianie i zamiast do Uzbekistanu udają się do Baszkirii.

Matka nie była jeszcze w stanie ruszyć w drogę. I wtedy ja postanowiłem odbyć kilkudziesięciokilometrowy "spacer" do Wilwy, gdzie miałem nadzieję jeszcze zastać Grażynę, by się z nią pożegnać i jakoś tam na przyszłość umówić.

Jeszcze wieczorem ruszyłem w drogę. Do końca życia nie zapomnę tego samotnego, nocnego marszu przez syberyjskie lasy. Ale czego się nie robi dla miłości. Niestety tym razem moja ofiara okazała się bezcelowa. Bowiem po dotarciu do Wilwy dowiedziałem się, że właśnie rano cała grupa pojechała dalej do Paszyi, a teraz już pewnie siedzi w pociągu w drodze na południe.

Trzeba więc było wracać z niczem na posesję. Z Grażyną spotkaliśmy się ponownie po wojnie i aczkolwiek dobraliśmy sobie innych partnerów małżeńskich, pozostaliśmy do dziś najbliższymi przyjaciółmi.

W drodze powrotnej na posesję spotkałem dwie grupy opuszczających go ludzi.

A gdy dotarłem do miejsca, z którego roztaczał się widok na ponownie niemal zupełnie opustoszałą wieś, wzrok mój skierował się w prawo, w stronę ponad dwustu przybyłych w czasie naszego tam pobytu grobów.

Nie liczyłem ich wtedy i nie jestem w stanie odtworzyć dokładnych liczb teraz, ale takich, którzy na zawsze pozostali w syberyjskiej ziemi było wielokrotnie więcej niż mogłaby to wytłumaczyć normalna statystyka zgonów. Choć więc w naszym, posesyjnym przypadku nie można mówić o świadomej eksterminacji, jaka niewątpliwie miała miejsce w t.zw. obozach pracy o zaostrowym reżymie, to jednak bardzo wielu ludzi straciło życie przedwcześnie - wskutek niezwykle ciężkich warunków bytowania.

My wyruszyliśmy jako jedni z ostatnich, we wrześniu. Startując w drogę natknęliśmy się na komendanta, który życzył nam szczęśliwej podróży.

Wtedy idący razem z nami Aleksiejewicz zażartował:

- No to komendant został bezrobotny?
- Nie bójcie się! Dla nas robota zawsze się znajdzie - odparł komendant.

I wiedział, co mówi. Kiedy bowiem w Paszyi oczekiwaliśmy na pociąg, który miał nas zabrać na południe, na bocznicę wylądowywano właśnie z takich samych bydłocych wagonów, jakimi nas przywieziono, jakichś wyszarzających, wybiedzonych ludzi. Od miejscowych dowiedzieliśmy się, że byli to wysiedleni ze swoich miejsc zamieszkania t.zw. wołzańscy Niemcy, których przeznaczeniem było niewątpliwie zajęcie nie wystygłych jeszcze po nas chałup Korostielówki.

Wypada jeszcze dodać, że w drodze do pociągu odwiedziliśmy naszych dobroczyńców, Polkę Marię Galuzę z rodziną.

Pożegnanie było serdeczne i obiecaliśmy sobie nie zrywać kontaktu. I tak też było. Jeszcze przez wiele lat po wojnie, aż do

śmierci naszej syberyjskiej przyjaciółki utrzymywaliśmy z nią kontakt i w miarę możliwości pomagaliśmy w ich nadal bardzo ciężkim życiu.

Kiedy rozstawaliśmy się, Maria życzyła nam wszystkiego najlepszego "na wolności". Miała to być bardzo specyficzna, sowiecka wolność.



## Jedziemy do ciepłych krajów

Jaka miała być ta "wolność" mieliśmy się już wkrótce przekonać. Narazie jednak byliśmy szczęśliwi, że nie będzie już o każdym naszym kroku decydować komendant, że unikniemy codziennych porannych i wieczornych kontroli, że wreszcie przestaniemy tak okropnie marznąć zimą. Tak więc, czekając na możliwość zajęcia miejsca w pociągu, który miał zawieźć nas do pierwszego etapu podróży na południe - miasta Swierdłowska (obecnie Jekaterinburg) byliśmy pełni optymizmu. Zaopatrzone nas przecież w bilety kolejowe aż do Uzbekistanu i zaświadczenia, które upoważniać nas miały do nabywania po drodze t.zw. suchych racji żywnościowych.

Co prawda nie mieliśmy ani kopiejki na ich zakup, ale środki na to mieliśmy nadzieję zdobyć sprzedając gdzieś po drodze resztki naszych nie zniszczonych na posiołku, zabranych ze Lwowa ubrań. Już zresztą czekając na pociąg udało nam się sprzedać jakąś bluzkę mamy, co jeszcze zwiększyło nasz optymizm.

Ale ta nasza "ucieczka" z Syberii okazała się o wiele trudniejsza niż nam się wydawało. Po pierwsze sam fakt posiadania biletu nie upoważniał jeszcze do zajęcia miejsca w pociągu. Po to by się w nim znaleźć, trzeba było zdobyć stempel, t.zw. kompensówkę, a to okazało się wcale nie proste. Decydujący o tych sprawach "wojenny komendant" stacji oświadczył nam odrazu, że w ciągu najbliższych dni takiego stempla na bilecie nie dostaniemy, bo pociągi są przepelnione zdążającymi do swoich jednostek zmobilizowanymi ludźmi. Zaraz też uprzedził nas, że w przypadku dalszego koczowania w budynku stacyjnym możemy być potraktowani jako - jak się wyraził - bezdomne parazyty, a to niczego dobrego nie wróżyło. Zaraz jednak zaznaczył, że przyspieszenie załatwienia sprawy dałoby się uzyskać, gdybyśmy - oczywiście "dobrowolnie" - zgłosili się na kilka dni do pracy albo w miejscowym tartaku, albo w t.zw. fabryce węgla drzewnego. Zapewniłoby to nam tymczasowe lokum we wspólnych barakach i wyżywienie w stołówce dla robotników. Oczywiście trzeba było na to przystać, bo jasne było, że sprzeciwianie się potrzebującym siły roboczej miejscowym władzom do niczego nie doprowadzi.

Pamiętając moje smutne doświadczenia z pracy na tartaku, wybraliśmy my i jeszcze trzy razem z nami czekające rodziny zatrudnienie przy wypalaniu drewna na węgiel. Praca była brudna, ale niezbyt ciężka. Mieszkaliśmy, to znaczy spaliliśmy na podłodze we wspólnym pomieszczeniu, a wyżywienie stanowiło, podobnie jak na posiołku 400 gramów chleba i raz dziennie gorący posiłek w postaci zupy i gęstej kaszy.

Tak mijał dzień za dniem, pomimo codziennych interwencji u komendanta stacji. I kto wie jak długo by to jeszcze trwało, gdyby nie to, że któregoś dnia, po takiej właśnie interwencji,

komendant spostrzegł jak jeden z naszych współtowarzyszy niedoli pisał, siedząc na stacji list. Do pisania używał wiecznego pióra marki "Pelikan" w którym jakimś cudem zachowało się jeszcze trochę atramentu. Kiedy bardzo zainteresowany piórem komendant zaczął je oglądać, Janek Kunc, który był właścicielem "skarbu" wpadł na genialny pomysł i oświadczył, że chętnie zostawi mu przedmiot jego pożądania jako „suvenir”, jak znajdują się dla nas wszystkich miejsca w pociągu.

No i zdarzył się cud! Przepelnione w ciągu dwóch ubiegłych tygodni pociągi nagle się rozluźniły i już następnego dnia dostaliśmy upragnione pieczątki i wieczorem mogliśmy zająć miejsca w wagonach.

Była to linia transsyberyjska, zelektryfikowana, z dość przyzwoitymi wagonami. Pociąg był rzeczywiście przepelniony, ale jakoś ulokowaliśmy się. Współpasażerowie bardzo szybko zorientowali się i w tym, że byliśmy przez dłuższy czas pozbawieni wolności i w tym, że byliśmy cudzoziemcami. Charakterystyczne było jednak to, że o ile we wkrótce nawiązanych rozmowach zadawali moc pytań dotyczących naszego przedwojennego życia, o tyle nikt absolutnie nie zapytał gdzie i za co byliśmy pozbawieni wolności. Zrozumieliśmy, że był to temat tabu, o którym się nie mówi.

Trzeba przyznać, że w ciągu tego dość długiego etapu naszej podróży, widząc, że całe nasze pożywienie stanowiły wcześniej na posiołku zaoszczędzone suchary i wrzątek, który można było dostać na stacjach, niektórzy współpasażerowie dzielili się z nami swoimi bardzo skromnymi zapasami.

Tak dojechaliliśmy do Swierdłowska, gdzie trzeba było zdobyć "kompensirowkę" na następny etap podróży, do Czelabińska. Nauczenni poprzednim doświadczeniem, byliśmy przygotowani na najgorsze. Tymczasem pieczątkę uzyskaliśmy niemal natychmiast i już następnego dnia mogliśmy kontynuować wędrówkę. Dlaczego tak się stało dowiedzieliśmy się dopiero później, kiedy naszym zdziwieniem podzieliliśmy się już w pociągu z jakimś Rosjaninem. Okazało się, że do Swierdłowska ewakuowano w tym czasie dużą ilość zakładów zbrojeniowych z zachodnich, okupowanych już w tym czasie przez Niemców ziem i że miasto miało status "zamkniętego". Dlatego chciano się nas samych pozbyć jaknajszybciej. Dzięki temu stosunkowo prędko i bez przygód, jeśli nie liczyć częstych, przeprowadzanych przez NKWD kontroli, udało nam się dotrzeć do Czelabinska.

To miasto zapamiętałem sobie z dwóch powodów. Po pierwsze było to pierwsze zaciemnione z powodu wojny miasto od września 1939 roku. A po wtóre zdarzyła nam się tam niewielka przygoda, która utkwiła mi w pamięci.

Trzeba było mianowicie zdobyć trochę pieniędzy i zaopatrzyć się jakoś w żywność na dalszą drogę. Postanowiono więc, że rodziny pozostaną na przepelnionym tysiącami podróżnych skwerze przy stacji, a Janek Kunc i ja udamy się do centrum miasta żeby coś

sprzedać i za uzyskane pieniądze kupić jakiś jedzenie. Szybko udało nam się znaleźć t.zw. "tołczok", czyli bazar, gdzie nasze używane ale przecież zagraniczne ciuchy natychmiast znalazły odbiorców. Zadowoleni z udanych transakcji, na tymże bazarze kupiliśmy chleb i o ile pamiętam dawno nie jedzone ogórki i postanowiliśmy trochę zwiedzić miasto. Zeszło na tym trochę czasu, a że w międzyczasie zrobił się zmrok, postanowiliśmy wracać na stację. Nagle spostrzegliśmy jednak odcinające się od innych mrocznych bram wejście do - jak głosił szyld - Restauracji Nr.1. Czegoś takiego nie widzieliśmy od dwóch lat, to też mając w kieszeni nie wielki co prawda ale zawsze jakiś zapas gotówki, postanowiliśmy zjeść coś gotowanego, bo od tygodni naszym pożywieniem był prawie wyłącznie chleb. Trochę było rozczarowania, kiedy po zajęciu stolika kelnerka wyjaśniła nam, że większość dań otrzymać można było tylko na kupony żywnościowe. Jednakże i bez nich można się było czymś uraczyć. Tym czymś była manna kasza i szampan, które można było zamówić po t. zw. cenach komercyjnych. Te okazały się jednak dość przystępne, to też wkrótce na naszym stole pojawiła się flaszka sowieckiego szampana i dwa talerze z rozsmazaną na nich manną kaszą, bardzo oszczędnie przyprószoną cukrem. Było tego mało, ale że cena nie była wysoka, więc zamówiliśmy jeszcze dwie porcje. Szampan, jak nam się wydawało, smakował jak lemoniada, to też opróżniliśmy butelkę w parę minut. Nie wiem, czy przyczyną były nasze puste żołądki, czy brak nawyku do napojów alko holowych, dość że wkrótce, chcąc zaimponować siedzącemu przy sąsiednim stoliku rozśpiewanemu rosyjskiemu towarzystwu, zaintonowaliśmy z Jankiem to, co ja, któremu - jak to się mówi - słoń nastąpił na ucho - potrafiłem zaśpiewać, to jest "Jeszcze Polska...".

Początkowo wszystko zapowiadało się pięknie i nawet sąsiedzi zaprosili nas do swojego stolika. Tylko że ktoś z obecnych, zorientowawszy się, że śpiewaliśmy hymn państwa, które według oficjalnej sowieckiej wersji skończyło swoje istnienie, chcąc okazać swoją czujność zadzwonił do odpowiednich władz. Skutek był taki, że jak zawsze szybko reagująca na przejawy "politycznych prowokacji" milicja, już w ciągu paru minut znalazła się w naszym lokalu, a w ciągu następnych paru Janek i ja zaczęliśmy być przesłuchiwanymi na okoliczność tego czynu w dwóch oddzielnych pokojach posterunku władzy ludowej.

Na szczęście bełkotaliśmy chyba to samo i mieliśmy przy sobie nasze zaświadczenia o zwolnieniu ze zsyłki. Prawdopodobnie jednak dlatego, że byliśmy obaj potwornie wymizerowani i chyba z uwagi na to, że w oczach milicjantów nasze silne podchmielenie stanowiło okoliczność łagodzącą, dość, że po godzinnym przesłuchaniu i dwukrotnie dłuższym oczekiwaniu w celi na decyzję jakiegoś wyższego naczelnika, zostaliśmy wypuszczeni.

Tym razem już bez przygód, choć z wielkim trudem, dotarliśmy do stacji, gdzie oczekiwały na nas porządnie już wystraszone



rodziny.

Po dwóch chyba dniach udało nam się dostać do pociągu, którym dojechaliśmy do następnej stacji przesiadkowej, Orienburga. Tutaj mieliśmy się dostać do dalekobieżnego, bo idącego aż do głównego miasta sowieckiej Azji Środkowej - Taszcentu.

Dziwnym warunkiem otrzymania wyżej opisanej kompensacji na ten pociąg było wylegitymowanie się dowodem przejścia tak zwanej „obróbki sanitarnej”, czyli poprostu odwszenia. Dziwnym dlatego, że pomagało to oczywiście tyle co umarłemu kadzidło. Ale zarządzenie było bezwarunkowe i trzeba się było z tym pogodzić.

Ośrodek sanitarny znajdował się tuż obok stacji. Były to dwa długie namioty, nad którymi stale wznosiły się kłęby pary. Jeden był przeznaczony dla mężczyzn, a drugi dla kobiet.

Ja przeszedłem już raz taką procedurę, kiedy po „sabotażu” na tartaku zostałem wysłany do więzienia, to też opowiedziałem pozostałym jak to się odbywa. Mimo to nie obyło się bez hecy. Kiedy bowiem po zdeponowaniu ubrań w jednym końcu namiotu weszliśmy do łazni gdzie działały „fryzjerki”, młody Aszer, który widocznie przypuszczał, że moje opowiadanie było zmyślane, zawrócił nagle i zaczął się cofać w kierunku wejścia. Ale już po paru krokach zatrzymał go głos „fryzjerki”, która zrozumiała co się dzieje:

- Tak, tak bratku, idź spowrotem, ale ubrania tam nie dostaniesz, tylko przy wyjściu!

Oczy wszystkich zwróciły się oczywiście ku biednemu Aszerowi, który nagle zrozumiał, że operacji wygalania pod pachami i w pachwinach nie uniknie. Odwrócił się więc powoli i czerwony jak burak zbliżył się do roześmianej kobiety. A ta, chcąc jego kosztem zabawić stojących w kolejkach do zabiegu mężczyzn, zajęła się Aszerem ze szczególną gorliwością, co ku ogólnej uciechu widzów spowodowało rezultat, jaki ja sam, wcześniej przeżyłem przy takiej samej operacji w więzieniu. Dlatego współczułem bardzo koledze, który wyrwawszy się wreszcie z rąk złośliwej sanitariuszki pobiegł szybko pod prysznic, gdzie strumień zimnej wody pozwoliły mu wkrótce powrócić do równowagi.

Jeszcze jeden szok przeżyłem po zakończeniu procedury, kiedy w drugim końcu namiotu otrzymaliśmy spowrotem nasze rzeczy. które w międzyczasie przeszły proces odwszenia przy pomocy gorącej pary.

Moja odzież była już przedtem dla mnie, szybko rosnącego chłopca za ciasna. A teraz, po obróbce parą skurczyła się ona tak, że wyglądałem zaiste pajacowato. Ale rady na to nie było i ważniejsze było zdobycie stempelka na bilecie upoważniającego do zajęcia miejsca w pociągu.

Na szczęście strumień uchodźców z terenów okupowanych przez Niemców, których większość kierowano właśnie do Azji Środkowej, nie był w tym czasie jeszcze zbyt duży. Po dość krótkim koczowaniu na stacji udało nam się więc dostać do pociągu zmierzającego do celu naszej podróży - Taszcentu. Podróż rozpoczęliśmy razem z jeszcze kilkoma rodzinami, w tym także z Pollakami, którzy jednak po drodze wysiedli w

Kazachstanie, w mieście Aktiubińsk, gdzie - jak się od kogoś spotkanego po drodze dowiedzieli - wcześniej już osiedlili się jacyś ich krewni. Byliśmy z sobą bardzo życzliwi i bardzo żałowaliśmy rozstania ale nie ulegliśmy ich namowom i postanowiliśmy kontynuować podróż aż do Uzbekistanu. Wiedzieliśmy, że zimy w kontynentalnym klimacie Kazachstanu potrafiły być bardzo surowe, a nas już strasznie ciągnęło do ciepła. Rozstanie to nastąpiło po dwóch dniach podróży. Narazie jednak próbowaliśmy ulokować się jaknajwygodniej wobec czekających nas kilku dni jazdy.

Wagony rosyjskie zbudowane były tak, że w każdym przedziale były miejsca do leżenia dla dziewięciu osób na trzech 3-pietrowych przyczepach, z których jedna ustawiona była wzdłuż korytarza. Dla mojej matki udało się zdobyć miejsce na jednej z półek, ale dla mnie już takiego miejsca nie było. Pierwszą noc spędziłem więc leżąc na podłodze między ławkami i w ciągu nocy byłem wielokrotnie deptany przez udających się do ubikacji pasażerów. Dlatego następnego dnia urządziłem się już inaczej. Nad półkami (rosyjskie wagony są szersze i wyższe od używanych w Europie) znajdowała się jeszcze jedna, wąska, przeznaczona na bagaże. Za zgodą współpasażerów poutykałem jakoś leżące na nich tobołki i w ten sposób zwolniłem miejsce, na którym z biedą mogłem się pomieścić leżąc na boku. O przewróceniu się na drugi bok nie było mowy, ale był to i tak luksus w porównaniu z leżeniem na podłodze.

To moje miejsce stało się później przyczyną tragicomicznego wydarzenia, ale do tego powrócę.

W ciągu tak długich przejazdów pociągami, a szczególnie w Rosji szybko rozwiązują się języki. Byliśmy zaskoczeni tym, jak otwarcie niektórzy pasażerowie wyrażali swoją dezaprobatę wobec tego, co działo się w tym czasie w Związku Radzieckim. Był to czwarty miesiąc wojny i wśród podróżnych wielu było ze stref już okupowanych przez hitlerowców. My właściwie wiedzieliśmy bardzo niewiele o przebiegu pierwszych miesięcy wojny. Z czytanych dorywczo komunikatów oficjalnych w gazetach można się było zorientować, że Armia Czerwona zmuszona była do odwrotu na całej szerokości frontu, ale szczegółów oczywiście nie znaliśmy. Dopiero z opowiadań uciekinierów można się było zorientować o rozmiarach klęski wojsk sowieckich w tym początkowym etapie wojny. Mówiono więc o tym, że dosłownie miliony zaskoczonych nagłym wybuchem wojny żołnierzy wpadały do niemieckiej niewoli. Opowiadano o całkowitym chaosie towarzyszącym ewakuacji, o fabrykach sprzętu wojennego i składach wojskowych, które w nie naruszonym stanie dostawały się w ręce przeciwnika. Mówiono także o istnieniu wielkiej niemieckiej sieci szpiegowskiej, która ułatwiała napastnikom ofensywę, a ludzie, szczególnie ci zbiegli z terenów tak zwanej Zachodniej Ukrainy, to znaczy ziem przyłączonych do ZSRR we wrześniu 1939 roku, dawniej należących do Polski, opowiadali o bestialskich mordach dokonywanych na Polakach, Rosjanach i Żydach, którzy nie zdążyli się wyewakuować. Dowiedzieliśmy się też że Lwów, w którym przebywał mój ojciec, został okupowany już w pierwszych dniach wojny. To zwróciło oczywiście ku niemu nasze myśli



i poderwało dotychczasową wiarę w to, że się jednak kiedyś połączymy.

Równocześnie fakt, że oddalaliśmy się od terenów działań wojennych wywołał odmienne uczucia u matki i u mnie. Jej biednej wydawało się że w ten sposób ja, który zbliżałem się do wieku poborowego uniknę bezpośredniego udziału w wojnie. U mnie natomiast opowiadania współpodróżnych zaczęły wywoływać uczucia diametralnie odmienne, to znaczy właśnie chęć dobrowolnego zgłoszenia się do wojska. Wydawało mi się to moralnym obowiązkiem wobec znajdującego się pod wrogą władzą ojca. Zdawałem sobie jednak sprawę i z tego, że po pierwsze nie mogłem zostawić matki samej w tym otaczającym nas chaosie, a po drugie, że wiek nie kwalifikował mnie jeszcze do przyjęcia do wojska.

Pamiętam, że marzyliśmy wówczas z Romkiem Fikiem o tym, by na terenie Rosji powstała armia polska i żebyśmy w jej szeregach wyzwolali nasz kraj. Te nasze marzenia miały się po pewnym czasie spełnić. Powstały jak wiadomo nawet dwie takie armie i Romkowi <sup>zypadło</sup> w udziale walczyć w szeregach pierwszej z nich, znanej jako Armia gen. Andersa, a mnie, którego do niej z powodu - jak mi wówczas wyjaśniono - wycieńczenia i młodego wieku nie przyjęto - w szeregach tej drugiej, która wkroczyła do Polski razem z armią sowiecką.

Smutny nastrój panował właściwie wśród wszystkich pasażerów pociągu. Poprawiały go jedynie długie postoje na stacjach, w czasie których perony roily się od pasażerów, ale w miarę posuwania się na południe, także i od handlujących żywnością sprzedawców.

Jakiś kolejarz kupił od nas zabraną jeszcze ze Lwowa skórzaną torebkę mamy i zapłacił tyle, że mogliśmy sobie pozwolić na kupno oferowanych na stacjach jarzyn, owoców, a nawet gorących pierogów. Byliśmy tych rzeczy tak złaknieni, że jedliśmy je bez umiaru. No i skutki tego braku wstrzemięźliwości nie dały na siebie długo czekać, co stało się przyczyną wspomnianego uprzednio tragicomicznego wydarzenia.

Ja spałem, jak wiadomo, na najwyższej, przeznaczonej właściwie na bagaże półce. Ażeby się z niej w czasie snu nie zsunąć, wpadłem na pomysł przyczepiania się na wysokości bioder, przy pomocy paska do spodni, do biegnących wzdłuż sciany rór. Skutkiem nadmiernego spożycia jarzyn i owoców była gwałtowna reakcja naszych nie przyzwyczajonych do takiego pożywienia żołądków, wyrażająca się w silnej bieguncie. I oto kiedy pierwszej nocy po uczcie owocowej spałem zabezpieczony paskiem na swojej półce, obudziła mnie nagła, gwałtowna potrzeba odwiedzenia ubikacji. Zapomniawszy o pasku, próbowałem szybko zeskoczyć z mojego legowiska. Skutek był taki, że zawisłem, wymachując rękami i nogami na pasku, który jako że był solidnej, przedwojennej, rzemieślniczej produkcji, bez trudu wytrzymał niewielki ciężar mojego wychudzonego ciała. Próbowałem się z tej pułapki wyzwolić sam, ale ani o odpięciu się, ani tym bardziej o ponownym wdrapaniu się na półkę nie było nawet mowy.

Pałac się więc ze wstydu zacząłem wzywać pomocy, której mi w końcu wśród huraganów śmiechu udzielono. Jak szalony dopadłem wolnej najszcześnie ubikacji i długo, długo, nie wiem dlaczego w niej siedziałem, wstydząc się wrócić do przedziału. W końcu jednak wrócić



trzeba było i oto ku memu wielkiemu zdziwieniu, wszyscy udawali że śpią i nikt nie odezwał się ani słowem. Potem dowiedziałem się, że stało się tak dzięki zakłębom mojej matki, by sobie ze mnie nie żartowali. Ale lojalność współpasażerów nie była aż tak wielka by następnego dnia o mojej przygodzie nie wiedział cały wagon, o czym mogłem się zorientować widząc rozbawione, skierowane ku mnie spojrzenia przechodzących pasażerów innych przedziałów.

Po dwóch chyba dniach podróży pożegnaliśmy się z żalem z Pollakami którzy wysiedli na stacji Aktiubińsk. Dopiero po wojnie nawiązaliśmy z nimi kontakt listowny. Wyjechali oni najpierw z Armią Andersa na Bliski Wschód, a potem cała rodzina osiedliła się w Australii.

Z pozostałych, spędzonych w tym pociągu dni wryły mi się w pamięć dwa wydarzenia.

Wśród jadących w naszym przedziale podróżnych znajdowało się dwoje młodych ludzi, którzy niemal natychmiast zapawali sympatią do siebie. Ponieważ wszyscy opowiadali o sobie i swoich przeżyciach, dowiedzieliśmy się, że chłopak, nie wiele starszy ode mnie, był wychowanym w sierocińcu porzuconym dzieckiem, i że po ukończeniu szkoły elektrycznej dostał skierowanie do pracy w taszkenckiej elektrowni. Dziewczyna jechała z siedzącym w sąsiednim przedziale ojcem. Uciekli oni z jakiegoś białoruskiego miasta, po drodze zgubili się z matką dziewczyny, którą teraz mieli nadzieję spotkać w leżącej w Turkmenii miejscowości, do jakiej, wyewakuowana została fabryka, w której oboje pracowali do wybuchu wojny.

Zauważyłem już wcześniej, że rodzic patrzył nieprzychylnie na tułącą się do siebie w korytarzu parkę. Szybko też przekonałem się, że podejrzania starego nie były nieuzasadnione. Intymne zbliżenie nastąpiło bardzo szybko. Korzystając z tego, że wagony nie były oświetlone, młodzi zaczęli już drugiej czy trzeciej nocy uprawiać igraszki miłosne, nie przejmując się zupełnie tym, że pozostali pasażerowie przedziału nie widzieli co prawda, ale słyszeli co było na rzeczy. I może skończyłoby się na moich słuchowych torturach, gdyby nie to, że wiedziony widać rodzicielskim instynktem ojciec wszedł w środku nocy do naszego przedziału i przy pomocy światła zapałki stwierdził, że jego córka nie była już takim niewiniątkiem, za jakie ją pewnie uważał. Całą złość rodzica skupiła się jednak na biednym amancie, a że tata był i silniejszy i wściekły, przeto twarz chłopca przekształciła się w ciągu paru sekund w krwawiącą masę.

Wszyscy rzuciliśmy się na kottująca się trójke i w końcu udało nam się ich rozdzielić, poczym ojciec wyciągnął córeczkę dosłownie za warkocz do swojego przedziału, obiecując młodzieńcowi, że się z nim jeszcze rozprawi. Tym ostatnim zajęła się moja matka i po jakimś czasie udało jej się doprowadzić twarz pobitego do jakotakiego stanu, czym zaskarbiła sobie wielką wdzięczność Wasi, bo tak się chłopak nazywał. Wdzięczność tą okazał on nam potem w czasie dalszej drogi i jeszcze później w Taszkencie.

Pierwszą okazją do przejawienia tej wdzięczności było zbliżanie się do stacji Aralsk, położonej nad wysychającym Jeziorem Aralskim. Z tym właśnie miastem związana była nasza następna przygoda. Wasia

poinformował nas mianowicie, że tuż przy stacji w Aralsku leżą całe pagórki, usypane z wydobytej ze słonego jeziora, skryształizowanej soli. A ta stała się już w tym czasie artykułem niezwykle deficytowym. Zdaniem Wasi można było łatwo zaopatrzyć się w czasie postoju w Aralsku w zapas soli, którą następnie bez trudu można było sprzedać w Taszkencie po kilka rubli za szklankę. Zapewnił przy tym moją ostrożną matkę, że samo zdobycie soli nie wiąże się z jakimkolwiek niebezpieczeństwem.

W końcu udało mu się ją przekonać, Ale powstał problem - do czego soli nabrać. I tu matka sama poddała pomysł, ażeby do tego celu użyć jej jakoś zachowanej nocnej koszuli, która zawiązana na węzeł u dołu stanowiła całkiem przyzwoity worek.

Plan Wasi w swojej pierwszej fazie udał się znakomicie. Kopce soli widoczne były już w czasie zbliżania się pociągu do stacji. Nie były one prawie wcale strzeżone. Jedyne uzbrojony w pałkę stary dozorca nie mógł oczywiście nic wskórać wobec kilkudziesięciu nacierających z różnych stron amatorów soli. Ja nabrałem chyba z dziesięć kilo a Wasia drugie tyle do swojej zapasowej koszuli, poczym tryumfalnie powróciliśmy do pociągu, który po chwili ruszył spokojnie dalej na południe. Wydawało się, że nasze pierwsze kroki w Taszkencie mieć będą solidną bazę finansową.

Bardzo szybko jednak mieliśmy się z tymi złudzeniami rozstać.

Pociąg zatrzymał się przed następną dużą stacją Kzyl-Orda, w odległości około jednego kilometra od zabudowań stacyjnych. Odrazu zauważyliśmy, że cały skład pociągu otoczony był przez stojących co kilka metrów żołnierzy.

- O cholera! Będzie sprawdzanie dokumentów i szukanie soli - skonstataował Wasia - Trzeba ją jakoś schować, bo z tymi sukinsynami nie ma żartów - dodał.

Moja matka wpadła odrazu w panikę. Złapała ciężki worek z solą i chciała go wyrzucić przez okno. Ledwo ją od tego powstrzymałem, bo odbyłoby się to przecież na oczach otaczających pociąg żołnierzy. Próbowałem ją też jakoś uspokoić, ale mi się to nie udało.

- Do klozetu! Szybko do klozetu! Wysypiemy sól do ubikacji - komenderowała mama.

Widocznie nikt inny nie miał takich zamiarów, bo bez trudu dostaliśmy się do najbliższego położonego klozetu i po chwili nasz niedoszły biały skarb znalazł się w muszli. Było to o tyle idiotyczne, że w tych ubikacjach był bezpośredni otwór, przez który odchody natychmiast wydostawały się na tory kolejowe. Żołnierze widzieli więc z zewnątrz jak sól wylatywała z tych otworów. Ale jakoś nikt nie wpadł do wagonu żeby sprawdzić kto się tego corpus delicti pozbywał. Wytrzepawszy jeszcze koszulę dla pewności z resztek soli wróciliśmy do przedziału właśnie w chwili, gdy zaczęła się kontrola.

Odbывała się ona w ten sposób, że do wagonów wkroczyli z obu stron żołnierze i pasażerowie musieli opuszczać kolejne przedziały, do których następnie wzywano ich pojedynczo w celu wylegitymowania się i wskazania swoich bagaży.

Kiedy kolej przysłała na nas byliśmy spokojni, bo nasze papiery by-

ty w porządku i niczego "trefnego" już nie mieliśmy. I rzeczywiście, po obejrzeniu naszego dokumentu o zwolnieniu ze zsyłki i naszych skromnych tobołków, żołnierze pozwolili nam przejść na drugą, już skontrolowaną stronę wagonu. Mama zdążyła mi właśnie szepnąć:

- Widzisz jakie to szczęście, żeśmy się pozbyli soli - gdy do przedziału wzięto Wasię. Nigdy nie dowiemy się jak by się jego losy potoczyły, bo właśnie w tym momencie rozpętała się burza.

Przez zagradzających korytarz żołnierzy przerwał się ojciec będącej przedmiotem miłosnych zabiegów dziewczyny, krzyząc:

- Zaaresztujcie tego bandytę! On tu na oczach wszystkich zgwałcił moje dziecko! Chodź tu córeczko i powiedz, że to prawda!

Ale czerwona jak burak dziewczyna wołała chyba nie robić z tego co się przydarzyło zbyt wielkiej sprawy. Zamiast więc, by na wezwanie ojca dać świadectwo oskarżeniu o gwałt, cofnęła się w najdalszy kąt przedziału i wybuchła płaczem.

- O, widzicie? Ona nawet mówić o tym nie może - krzyczał biedny, próbujący ratować honor córki ojciec.

Kontrolujący dokumenty oficer popatrzył najpierw z ciekawością na poszkodowane "dziecko", którego kobiecie wdzięki świadczyły o niewątpliwym przekroczeniu wieku, w którym dziewczynie uważa się za dorosłą i jakoś nie kwapił się do dalszego roztrząsania sprawy. Kazał więc ojcu wrócić na swoje miejsce i poradził:

- My się takimi sprawami nie zajmujemy. Jak dojedziecie do Taszkontu to zawołaj patrol kolejowej milicji i zamelduj. Oni się tym napewno zajmą.

Rozbawione twarze pasażerów świadczyły o tym, jak niewiele realizmu było w tej radzie.

Kontrola trwała parę godzin i widzieliśmy przez okna, że kilka osób zostało pod strażą żołnierzy wyprowadzonych z pociągu, ale nie dowiedzieliśmy się dlaczego.

Pod wieczór pociąg ruszył dalej. A kiedy stukot jego kół pozwolił na rozmowę tak aby inni nie słyszeli, Wasia przysiadł się do nas i powiedział:

- Ech wy durnie! Po co było pozbywać się soli. Trzeba było ją dać mnie, tobyście coś mieli, a tak...- tu wykonał wymowny gest pukania się w czoło.

- No tak, Bogu dzięki, że ci się udało. Ale mogło się skończyć biedą - stwierdziła matka. - To chyba zawdzięczasz temu zamieszaniu z dziewczyną, że oficerowi już nie wpadło do głowy twoich rzeczy kontrolować.

- Ale skąd! On już wcześniej, razem z moimi papierami dostał dziesięć rubli. Przecież przy tych kontrolach tylko o to chodzi - stwierdził śmiejąc się Wasia i ucząc nas jeszcze jednej mądrości o funkcjonowaniu sowieckiego systemu.

Wkrótce potem nauczył nas jeszcze innej rzeczy, a mianowicie tego, że zdeprawowani już mocno ponad czterdziestolecie działania tego systemu ludzie zachowali przecież jakąś uczciwość i solidarność wobec innych, podobnie jak oni sami zgnębionych bliźnich.

A było to tak: Do Taszkontu dotarliśmy wczesnym rankiem. Pomimo



że był to już październik, pogoda była piękna, a temperatura taka, o jakiej od dawna marzyliśmy. Jak we wszystkich większych miastach po drodze, tak i tu dworzec i jego okolice oblężone były przez tłumy wędrowców. My z matką nie mieliśmy pojęcia ani jak znaleźć jakieś mieszkanie, ani jak zabrać się do szukania pracy. Wasia, który wysiadł z pociągu z nami miał adres hotelu robotniczego elektrowni, w której miał pracować. Sądziliśmy, że od tej chwili drogi nasze się rozejdą i chcieliśmy się z nim pożegnać. Już wcześniej postanowiliśmy że dopytamy się o miejscowy bazar i udamy się tam by spieniężyć ostatnie dwie wartościowe rzeczy, jakie nam jeszcze zostały, a mianowicie mały, platynowy, wysadzany brylancikami zegarek mamy i moje prawie nowe, bo nie używane na posiołku sportowe półbuty "Bata".

Ale Wasia poprosił żebyśmy przez jakiś czas popilnowali jego rzeczy, podczas gdy on zorientuje się w sytuacji i dowie się o adres bazaru. Uzyskawszy naszą zgodę wziął swoją koszulę-worek z solą i znikł. Pojawił się ponownie po jakiejś godzinie, już uwolniony od swojego towaru i z dumą pokazał nam uzyskany zań plik rubli. Zaraz też oświadczył, że połowa tych pieniędzy należy do nas. Kiedy zaczęliśmy się wzdragać, powiedział, że go obrażamy, bo interes był wspólny, a zresztą on od jutra zacznie zarabiać, a nas czeka nieznana przyszłość. Potem wetknął nam pieniądze, napisał na kartce adres swego robotniczego hotelu, uscisnął nas i tyleśmy go widzieli. Kiedy po pół roku napisaliśmy do niego z Kirgizji, list wrócił z adnotacją, że adresat został zmobilizowany.

Ponieważ już wcześniej zauważyliśmy, że na dworcu była przechowalnia bagażu, zostawiliśmy nasze tobołki i ruszyliśmy na podbój celu naszej podróży.

## Taszkent - miasto chleba

Już zaraz na wstępie okazało się, że dla nas nazwa stolicy Uzbekistanu stała się "nomen omen". Wychodząc ze stacji zauważyliśmy kiosk z napisem "chleb", w którym - jak się okazało - można było zrealizować nasze podróżne kupony żywnościowe, co nam się dotychczas ani razu nie udało. Było tego chleba tyle, że po raz pierwszy od półtora roku mogliśmy, a szczególnie ja, najeść się do syta. Tylko ten, kto przeżył głód wie, jak bardzo tęskni się za chlebem. Duże wrażenie zrobiły na nas także stragany uliczne, na których rozłożone były różne rodzaje żywności. Nie orientowaliśmy się jeszcze wtedy w wartości pieniądza, więc trudno nam było określić czy towary te były drogie, czy tanie. Ale były i to nas szokowało.

Następnym szokiem były nie widziane od Lwowa tramwaje. Jakoś wydawało nam się, że tu, w dalekiej egzotycznej Azji, takich rzeczy nie będzie.

Właśnie tramwajem - jak nas poinformowano - dotrzeć mieliśmy do bazaru, na którym mimo niespodziewanej gotówki od Wasi, postanowiliśmy spieniężyć jeden przynajmniej z naszych dwóch "skarbów", by powiększyć naszą kasę. Bazar wydawał nam się także - z uwagi na duże zgromadzenie miejscowej ludności - odpowiednim miejscem do szukania jakiegoś locum.

Stojąc na przystanku tramwajowym nagle zdębieliśmy, bo tuż przed nami zobaczyliśmy dwie postacie przykryte od czubków głów do pięt czarnymi pelerynami, które z przodu uzupełniały gęste siatki z końskiego włosia.

Matka zareagowała na ten widok szybkim odciągnięciem mnie o kilka kroków od tych dziwnych postaci. Także w tramwaju manewrowała tak, by nie znaleźć się w ich bezpośredniej bliskości. Po dotarciu na bazar zobaczyliśmy takich zjaw mnóstwo i dopiero wtedy ze wstydem uświadomiliśmy sobie, że ubiór ten był uzbecką odmianą kwefów, czy czarczafów, o których oczywiście wiedzieliśmy, ale początkowo nie skojarzyliśmy. Potem okazało się, że na prowincji ubiór ten był niemalże powszechnym strojem zamężnych kobiet.

Spostrzegliśmy, że od pewnego czasu przygląda nam się i przysłuchuje naszej rozmowie jakaś siwa pani, której aparycja wyraźnie różniła się od otoczenia. Widząc, że zauważyliśmy jej zainteresowanie, kobieta zbliżyła się do nas i powiedziała:

- Słyszę, że mówicie po polsku. Ja także jestem Polka, ale już od trzydziestu lat po polsku nie mówiłam.

W jej mowie słychać było lekki, jakby wschodnio-kresowy akcent, ale to, co powiedziała, wysłowiła bezbłędnie. Zapytała kim jesteśmy i co robimy w Taszkencie. Kiedy zaspokoiliśmy jej ciekawość wspomnieliśmy że szukamy jakiegoś locum do tymczasowego zamieszkania, w oczach kobiety dostrzegliśmy krótkie wahanie, które jednak bardzo szybko znikło.

- No cóż, jeśli chcecie, to możecie zatrzymać się u mnie. Mieszkanko

mam małe i napewno nie takie, do jakich byliście przyzwyczajeni w domu, ale, jak to mówią Rosjanie, "w ciasnocie ale w zgodzie".

Propozycja była tak nagła i szczęście tak niespodziewane, że matka rzuciła się nieznanej przed chwilą kobiecie na szyję dziękując jej ze łzami w oczach za to wielkoduszne zaproszenie. A że było ono naprawdę wielkoduszne, to nie żadna przesada. Wystarczyło przecież na nas popatrzeć, żeby się zorientować, że po paru tygodniach tułaczki po stacjach i pociągach byliśmy nie tylko brudni, ale i zawszeni.

Powiedzieliśmy naszej dobrodziejce o zamiarze spieniężenia zegarka i butów. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu oświadczyła ona odrazu, że sprzedaż takiego zegarka na bazarze nie ma sensu, bo fakt że jest on platynowy i wysadzany brylancikami nie ma tam żadnego znaczenia, a ewentualnie uzyskana zań gotówka nie będzie większa niż gdyby to był zwyczajny, stalowy zegarek. I miała rację. Kiedy bowiem w ciągu najbliższej godziny pokazaliśmy zegarek na wszelki wypadek kilku potencjalnym kupcom, okazało się, że suma jaką mogliśmy osiągnąć za moje sportowe półbuty była wyższa, niż oferowane za zegarek. W końcu więc buty stały się źródłem naszej "kasy na przetrwanie".

Z bazaru udaliśmy się jeszcze na stację po nasze bagaże, a potem do mieszkania pani Anny Zamiatanej, bo tak nazywała się nasza gospodyni. Jej panięskie nazwisko <sup>była</sup> Tarnowska.

Mieszkanko było rzeczywiście małe. Składało się z dwóch małych pokoików, w jednym z których zainstalowana była kuchenka. Wspólny dla czterech mieszkań zlew z bieżącą wodą znajdował się w korytarzu. Wspólne było również zastępujące łazienkę pomieszczenie obstawione ławkami, na których stały cynowe lub emaliowane miednice, będące własnością lokatorów mieszkań i mnóstwo wiader. Za ubikację służyła ustawiona w podwórzu latryna.

Ponieważ nie chcieliśmy rozgościć się u Anny nie doprowadziwszy do porządku swojej osobistej higieny, przeto za zgodą innych współlokatorów okupowaliśmy na parę godzin "łazienkę", gdzie odbyło się gruntowne szorowanie naszych pokrytych skorupą brudu ciał i prasowanie gorącym żelazkiem naszej bardzo już skromnej garderoby. Ta ostatnia czynność miała na celu pozbycie się wszy i gnieźdzących się szczególnie w szwach odzieży gnid. I widocznie zrobiliśmy to dokładnie, bo ku naszej ogromnej radości wszy znikły i o ile pamiętam, potem już aż do końca wojny nigdyśmy ich już nie złapali.

Zaraz w pierwszy wieczór opowiedzieliśmy o sobie i o naszych przeżyciach i wysłuchaliśmy tragicznej historii życia Anny. Przytoczę jej opowieść tak, jak ją zapamiętałem:

" Pochodzę z rodziny hrabiowskiej, która posiadała wiele dóbr ziemskich. Lata spędzałam w jednym z naszych majątków, a jesienią wracałam do intrnatu dla panien w Warszawie, która, jak wiecie znajdowała się od rozbiorów pod zaborem rosyjskim. Pomimo bardzo patriotycznego polskiego wychowania, jakie starano się nam wszczepić na t.zw. pensji, jej wychowanki brały udział w niektórych imprezach i balach, na których nie brakowało także przedstawicieli władz rosyjskich, a głównie młodych, stacjonowanych w Warszawie oficerów carskiej armii. Traf chciał, że w czasie jednego z balów



poprosił mnie do tańca kapitan, którego już wcześniej dostrzegłam, bo wyróżniał się urodą i dobrą umiejętnością tańca. Jak się to mówi - miłość zapłonęła od pierwszego wejrzenia i już po dwóch czy trzech bardziej albo mniej jawnie przeprowadzonych spotkaniach, wszystko potoczyło się jak w starych, miłosnych powieściach.

Alosza zapytał, czy może zwrócić się do mojego ojca z prośbą o moją rękę. Pragnęłam tego jak niczego innego na świecie, bo byłam w nim zakochana tak, jak to tylko potrafi młoda, niedoświadczona dziewczyna.

Zdawałam sobie jednak sprawę z tego, że dla rodziców moje zamążpójście za Rosjanina byłoby absolutnie niemożliwe do zaakceptowania i powiedziałam to Aloszy. On jednak, mimo moich prośb zgłosił się do mego ojca, czego rezultat był dokładnie taki jakiego oczekiwałam, to znaczy kategoryczna odmowa. Również następny krok rodziców był do przewidzenia. Powiedziano mi, że zaraz po zakończeniu roku szkolnego zostaną przeniesiona do innej pensji, położonej pod zaborem austriackim.

Ale Alosza nie zrezygnował. Napisał raport o przeniesieniu do jakiegoś garnizonu na terenie Rosji i błagał mnie, ażebym zaraz po osiągnięciu pełnoletności do której się właśnie zbliżałam, pojechała z nim razem do miejsca jego przyszłego stacjonowania i została jego żoną.

Prawdę mówiąc, to nie bardzo musiał mnie błagać, tak bardzo byłam zakochana. I tak się też stało. Alosza miał widocznie u swoich przełożonych dobrą opinię, bo wkrótce przyszła wiadomość, że przeniesiony zostaje do Petersburga. Dla mnie zaś obchody moich oznaczających osiągnięcie pełnoletności urodzin były ostatnim spotkaniem z rodzicami. Wkrótce potem, jak to bywa w klasycznych romanсах, wyjechałam z Aloszą, żegnając się z rodziną tylko listownie. Potem były jeszcze jakieś kłopoty ze zgodą na ślub, ale i te Alosza, który w międzyczasie został majorem, pokonał.

Byliśmy naprawdę bardzo szczęśliwi, ale był to już rok 1913. Nasze szczęście miało więc trwać tylko rok. A potem wybuchła wojna i Alosza pojechał na front. I wtedy ja zrobiłam niestety ogromne głupstwo. Zaraz po wyjeździe Aloszy zorientowałam się, że byłam w ciąży. Wpadłam w panikę. Wokół siebie nie miałam nikogo naprawdę bliskiego. Wojna mnie przerażała i czas wydawał mi się zupełnie nie odpowiedni do rodzenia dzieci. To też szybko i nie powiadamiając o tym nawet męża, przerwałam ciążę. Powiedziałam przedtem, że było to wielkie głupstwo i tak było naprawdę, bo przeprowadzenie tego zabiegu pozbawiło mnie na całe życie możliwości urodzenia dziecka.

W 1917 roku, po rewolucji, jakimś cudem nie dotknęły nas represje, które stały się udziałem ogromnej większości byłych carskich oficerów, pomimo, że Aloszka z wojny wrócił w stopniu pułkownika. Może dlatego, że był on inżynierem, specjalistą od łączności i dość szybko został zatrudniony przez urząd telefonów.

Staraliśmy się żyć cicho i spokojnie. Przez jakieś okrzęzne drogi dotarła do mnie wiadomość, że oboje moi rodzice umarli, a że nie miałam rodzeństwa, mój kontakt z Polską nie odżył.

Niestety po kilku latach ktoś przypomniał sobie o wojskowej specjalności Aloszy, a że wówczas organizowano Wyższą Szkołę Łączności w Leningradzie, został on powołany do służby i skierowany do tej właśnie uczelni. Z czasem został w niej nawet szefem katedry. Ale przyszły straszne lata czystek. W 1937 roku Aloszę aresztowano pod zarzutem współpracy z obcym wywiadem. Podobno była też mowa o moich kontaktach z - jak to nazwano - polskim arystokratycznym podziemiem. Oczywiście oba zarzuty były kompletną bzdurą, ale wtedy montowano je "pół człowieka", w myśl zasady: jak jest oskarżony, to i paragraf się znajdzie. W rok później przyszła wiadomość, że Alosza został stracony jako zdrajca ojczyzny, a jeszcze dwa miesiące później, bez jakiegokolwiek uprzedzenia, mnie przesiedlono do kolchozu w Uzbekistanie.

Byłam tak na wszystko zobojętniała, że przyjmę i to bez najmniejszej reakcji. W kolchozie przepracowałam sześć lat, najpierw jako robotnica rolna, a potem jako nauczycielka w miejscowej szkole. Potem wieść, że biegle władam językami francuskim i niemieckim, co było zasługą mojej matki i nauki na pensji w Warszawie, dotarła jakimś cudem do władz szkolnych w Taszkencie i znów bez pytania zostałam przeniesiona do tego miasta i dostałam paszport, którego poprzednio jako kolchoźnica byłam pozbawiona. A to, jak pewnie wiecie oznaczało, że z własnej woli nie wolno mi było opuścić kolchozu. No i teraz dalej pracuję jako nauczycielka, wykładając języki w kilku szkołach".

Zyciorys pani Anny był typowy dla setek tysięcy ludzi w tym kraju, chociaż my wówczas jeszcze nie zupełnie zdawaliśmy sobie sprawę z tego jakie ogromne ilości obywateli ZSRR przeżyły podobne, albo jeszcze cięższe prześladowania. Na podstawie opowiadania nie trudno było wyliczyć, że nasza gospodyni miała 47-48 lat. A przecież przy spotkaniu wydała mi się ona starą kobietą.

Następnego dnia trzeba się było zabrać do szukania pracy.

Anna słyszała coś o wakującym stanowisku bibliotekarza w jakiejś międzyszkolnej bibliotece i zabrała ze sobą matkę, żeby w przerwie między lekcjami pójść z nią do kierownika biblioteki.

Ja natomiast udałem się do miejskiego urzędu zatrudnienia. Kiedy tam dotarłem, zostałem mile zaskoczony ilością porozwieszanych na tablicach informacyjnych i ścianach ogłoszeń zakładów pracy o zapotrzebowaniu na różnego rodzaju pracowników. Już wtedy bowiem, po przeprowadzonej pierwszej mobilizacji, dawał się widocznie odczuć brak siły roboczej, a głównie mężczyzn.

Długo studiowałem ogłoszenia, aż dotarłem do zawiadomienia zakładów zaopatrywania sieci handlowej, że poszukują kierowców ciężarówek do rozwożenia artykułów żywnościowych do sklepów.

Perspektywa takiej pracy od razu bardzo mi się spodobała. Po pierwsze, jak każdy młody chłopak marzyłem o prowadzeniu samochodu. Prawa jazdy oczywiście nie miałem, ale jeździć potrafiłem zupełnie dobrze już jako 14-letni chłopiec. Nauczył mnie tego ojciec, który przed samym wybuchem wojny pozwalał mi nawet na wakacjach jeździć po pustych zamiejskich drogach. Po wtóre nęciła perspektywa przewożenia dużych

ilości artykułów żywnościowych, co stwarzało nadzieję, jeśli nie na zwędzenie czegoś, to przynajmniej na możliwość najedzenia się. Nie muszę chyba wyjaśniać, że chodziłem bez przerwy piekielnie głodny. Pamiętam, że na którejś stacji po drodze zważyłem się na wadze towarowej, która pokazała, że przy wzroście przekraczającym 180 cm ważyłem 49 kilo.

Zapisałem więc adres i szybko udałem się na poszukiwanie przedsiębiorstwa.

Szef bazy, który mnie przyjął, najpierw zapytał ile mam lat. Dodając sobie dwa odpowiedziałem, że dziewiętnaście. Widziałem, że mi nie wierzył, ale o dokumenty nie zapytał.

- A masz skierowanie z urzędu zatrudnienia?

- Nie, bo nie wiedziałem, że jest potrzebne. Jak tylko przeczytałem ogłoszenie, zaraz tu przyjechałem.

- A kiedy i jak długo pracowałeś jako szofer?

- Przez rok na Syberii przy zwózce drewna z lasu - odpowiedziałem szybko, bo sobie tą odpowiedź już wcześniej przygotowałem.

Na szczęście mój rozmówca nie mógł wiedzieć, że tam, gdzie spędziłyśmy ostatnie półtora roku jedyną siłą pociagową były konie, a gdyby nawet przydzielono naszemu "Punktowi wyrębu lasu" jakieś ciężarówki, to by i tak nigdy tam z braku dróg nie dojechały.

- A na jakich maszynach jeździcie?

- Na trzytonówkach ZIL 5- odpaliłem, bo wiedziałem, że były to najczęściej występujące samochody ciężarowe.

- My mamy głównie GAZ-iki - powiedział szef - Ale to przecież wszystko jedno, nie?

- Oczywiście - odparłem nonszalancko, mimo że za kierownicą samochodu ciężarowego w życiu nie siedziałem. Wiedziałem tylko, że ciężarówki GAZ produkowane były na starej licencji amerykańskiej i że ich nośność wynosiła 1,5 tony.

- No to chodź! Zobaczmy, co potrafisz.

Pamiętam, że kiedy zbliżaliśmy się do samochodu, nogi się lekko pod mną uginały. Szybko odtwarzałem sobie w pamięci kolejność czynności towarzyszącą uruchamianiu i prowadzeniu samochodu. Doszedłszy do wehikułu chciałem wdrapać się do szoferki od strony kierownicy.

- Zaraz, zaraz - zatrzymał mnie głos szefa - A kto będzie krecić?

Ja? Czy może tam na Syberii mieliście działające akumulatory?

Domyśliłem się, że korba leży na podłodze szoferki, a że nie raz zdarzyło mi się widzieć startowanie samochodów przy pomocy tego narzędzia - udało mi się wetknąć je we właściwe miejsce. I w tym momencie przyszło oświecenie, że trzeba przecież włączyć stacyjkę i przestawić dzwignię biegów na pozycję jałową.

- No, byłem bardzo ciekawy, czy chociaż o tym będziesz wiedział - pokiwiał głową szef.

Po kilku szarpnięciach silnik ruszył. Wsiadając do szoferki myślałem intensywnie, czy w tej machinie biegi funkcjonują tak, jak w ojca przedwojennym Chevrolecie. Przypominałem sobie także, że nasz znajomy inżynier, któremu już przed deportacją udało się zetknąć z sowieckimi ciężarówkami, opowiadał, że w związku z tym iż nie



wszystkie tryby były skoordynowane, w samochodach tych trzeba było często wyciskać sprzęgło dwukrotnie przy przełączaniu biegów. Ta zasłyszana informacja miała się okazać bezcenna.

Udało mi się chyba ruszyć dość płynnie, a kiedy wyjechaliśmy za bramę bazy, skonstatowałem ze zdziwieniem, że szło mi zupełnie nieźle i że prowadzenie takiego samochodu nie było trudniejsze niż osobowego. Na szczęście ruch samochodowy był wówczas w Taszkencie minimalny. Jakoś się więc jechało. Cały czas męczyła mnie tylko myśl - jak, kiedy okaże się to potrzebne, włączyć wsteczny bieg. Ale mój egzaminator zadowolił się zrobieniem kółka wokół kilku bloków, po czym wróciliśmy na bazę.

- Dobrze, przychodź jutro do roboty - powiedział.

Biegłem uszczęśliwiony do domu, rozmyślając, czy był on aż tak naiwny, żeby uwierzyć w moje szoferskie kwalifikacje. Potem zorientowałem się, że tak oczywiście nie było. Prostu brak wykwalifikowanych kierowców był taki, że szef bazy wolał wziąć na siebie ryzyko zatrudnienia żółtodzioba, niż nie wykonać planów przewozów, co napewno groziło poważnymi konsekwencjami.

Wracając do naszego tymczasowego schronienia oglądałem miasto. Taszkent był mieszaniną wschodu i zachodu, ze zdecydowaną przewagą tego pierwszego. Tylko w centrum miasta było trochę europejsko wyglądających budynków mieszkalnych i trochę monumentalnych budowli, będących siedzibami różnych władz. Swoją okazałością wyróżniały się dwa budynki - gmach republikańskiego komitetu partii i drugi, w którym siedzibę miało miejscowe NKWD. Wokół tego gmachu przechodniom nie wolno było nawet używać chodników.

Uderzająco dużo było w centrum zieleni. Wiele ulic wysadzonych było po obu stronach wysokimi topolami, których korony zbiegały się ponad jezdniami, sprawiając wrażenie zielonych tuneli, dających dużo upragnionego w tym gorącym klimacie cienia.

Bardziej oddalone od centrum dzielnice zabudowane były typowymi uzbeckimi glinianymi kibitkami, do których jeszcze powrócę.

W domu oczekiwała mnie jeszcze jedna radosna wiadomość, a mianowicie, że matka przyjęta została do pracy w bibliotece. Zapanował iście świąteczny nastrój. Urządziliśmy, jak na ówczesne warunki wystawną kolację, w czasie której pozwoliłem sobie na stwierdzenie, że i sowieckie przepisy daje się przecieżyć obejść, bo jednak dostaliśmy pracę w mieście, w którym nie wolno nam było mieszkać, a w moim przypadku stało się to nawet mimo braku formalnych kwalifikacji. Niestety przyszłość pokazała, że się myliłem.

Idylla trwała około miesiąca. Ja dość szybko nabyłem wprawę w prowadzeniu ciężarówki. Była ona pokryta budą i służyła głównie do rozwożenia chleba. Razem ze mną jeździł ekspedytor, młody, ale bardzo cwany Uzbek, który miał wszędzie dobre stosunki, a co najważniejsze prowadził jakieś konszachty z kicrownictwem piekarni, dzięki którym dostawaliśmy zawsze o kilka kilo chleba więcej, niż to wskazywały papiery. Mój "udział" w tym interesie stanowił codziennie bochenek chleba, który zabierałem do domu i możliwość najedzenia się nim w czasie pracy.

Mama też była zadowolona ze swojego zajęcia. Postanowiliśmy zacząć poszukiwania jakiegoś pokoju, żeby nie nadużywać gościnności Anny, chociaż ta zapewniała, że było jej z nami bardzo dobrze.

Ale pewnego wieczoru, kiedy odpoczywaliśmy po pracy, w mieszkaniu pojawił się będący członkiem t.zw. komitetu domowego Uzbek i zapytał, dlaczego mieszkamy tak długo niezameldowani. Anna powiedziała, że zupełnie o tej formalności zapomniła i że zaraz następnego dnia pójdziemy do "uprawdoma", czyli administratora i dopełnimy tego wymogu.

Zastanawialiśmy się potem, czy fakt, że mamy pracę i odczuwa się brak ludzi do niej potrzebnych zrównoważy wymóg wpisano do naszych papierów paragrafu 11-go i doszliśmy do wniosku, że szanse były 50-cio procentowe.

Kiedy jednak następnego dnia zjawiliśmy się u administratorki, którą była typowa "ciotka rewolucji", będąca z pewnością jak wszyscy inni pracujący na takich funkcjach, donosicielką NKWD, ta oświadczyła nam, że musimy natychmiast opuścić Taszkent. Jeśli tego nie zrobimy dobrowolnie, to zostaniemy deportowani przez milicję.

Zrozumieliśmy, że idylla się skończyła o trzeba wędrować dalej. Żebyśmy zaś nie mieli żadnych wątpliwości, to po paru dniach zjawił się u nas wieczorem milicjant, który dał nam tydzień czasu na ulotnienie się.

Z żalem pożegnałem się z moim szefem, który z własnej inicjatywy, niewątpliwie narażając się, dał mi zaświadczenie, że przepracowałem na ich bazie rok w charakterze kierowcy trzeciej kategorii i że z moich obowiązków wywiązywałem się bardzo dobrze. Powiedział przy tym: - Ty nie myśl, że ja nie wiedziałem, że nie masz prawa jazdy jak cię przyjmowałem, albo że nigdy nie jeździłeś ciężarówką. Ale jakoś się udało, a ten papierek może ci w przyszłości pomóc.

I miał rację. Papierek się przydał. Ale o tym potem.

Z jeszcze większym żalem rozstawaliśmy się z Anną. Ta kobieta, z którą matka jeszcze przez kilka lat utrzymywała listowny kontakt aż do jej śmierci, na zawsze pozostała w naszej pamięci jako wzór dobroci i gościnności.

Postanowiliśmy udać się do mniejszego miasta i wybór padł na leżące w odległości około 200 kilometrów od Taszkentu, w północnej części Doliny Fergańskiej miasto Andżan.

Tak więc pewnego ranka, po serdecznym pożegnaniu z Anną udaliśmy się na dalszą tulaczkę.

## Wędrowki po "Dachu Świata" - Pamirze

Wiedzeni doświadczeniem, zwróciliśmy się po przybyciu do Andiżanu najpierw do milicji z pytaniem, czy możemy się tam osiedlić. Powiedziano nam, że jeśli znajdziemy pracę, to tak.

I bylibyśmy się tam pewnie na dobre osiedlić, gdyby nie to, że po paru tygodniach, w ciągu których urządziliśmy się już jako tako, spotkałiśmy znajomego moich rodziców z Polski, którego losy były identyczne z naszymi i od niego dowiedzieliśmy się, że w niedaleko położonym mieście Osz przebywa przyjaciółka matki, lekarka-dentystka Halina. Ponieważ znał jej adres, nawiązaliśmy wkrótce kontakt i pod wpływem wiadomości, że osiedliło się tam jeszcze sporo rodzin uchodźców z Polski i namów Haliny, postanowiliśmy przenieść się tam.

Kiedy pociąg zbliżał się do Osz, olśniła nas widoczna z okien wagonu panorama. Miasto, które administracyjnie należy do Kirgizji, leży na wyżynie otoczonej od północy i wschodu górami Tian-Szań, a od południa górami Altajskimi, stanowiącymi północną część Pamiru.

Widok Isniących w słońcu szczytów górskich zapierał dech w piersiach.

Halina już wcześniej wyszukała nam lokum tuż obok siebie. Była to kibitka, to jest zbudowana z glinianych, nieforemnych brył chatka z klepiskiem, jednym oknem i dachem pokrytym gęsto ułożonymi gałęziami krzaków bawełny, spojonymi jakąś masą. Dowiedzieliśmy się później, że masa ta, to była glina, do której (podobnie zresztą jak do formowania brył, z których budowano ściany) używano osłego, końskiego lub wielbłądziego łajna, tak zwanego kiziaku. Materiał ten zastępował zresztą nie tylko cement, ale i węgiel. Był on więc cenny i dlatego zwierzęta podwiązane miały z tyłu płachty w które zbierano odchody.

Przy pomocy Haliny i innych członków polskiej kolonii szybkośmy się zagospodarowali, to znaczy zbiliśmy ze zdobytych kawałków desek prycze do spania i stolik. Siana ani słomy nie było, więc prycze pokryliśmy wysuszonymi badyłami kukurydzy. Wygodne to nie było, ale byliśmy już przyzwyczajeni do spania i na samych deskach.

Poznaliśmy rodzinę naszych gospodarzy. Pan domu był ważną figurą, bo sprawował funkcję drugiego sekretarza komitetu partii i mówił niezłe po rosyjsku. Ku naszemu zaskoczeniu jego żona i zamieszkała u nich zamężna córka, której mąż był w wojsku, nosiły parandze, to jest opisane już poprzednio siatki z końskiego włosia, szczelnie zakrywające twarze i długie peleryny. Była jeszcze matka gospodarza, która jako wdowa nie musiała już nosić zastrony i dwoje młodszych dzieci, 10-letnia córka oraz 6-letni syn.

Muszę powiedzieć, że cała rodzina odniosła się do nas bardzo przychylnie. Uzgodniony czynsz był naprawdę bardzo skromny. Wogóle stosunek miejscowej ludności do tak zwanych bieżenców, czyli uciekinierów z ziem objętych działaniami wojennymi, był początkowo bardzo dobry. Z czasem miało się to zmienić.

Pierwsze dni, w czasie których poszukiwałem pracy pozwoliły mi się



zapoznać z miastem. Było ono - jak już wcześniej wspomniałem - pięknie położone. Składało się z dwóch, zupełnie odmiennych części, zwanych starym, względnie nowym miastem. Nowe przypominało prowincjonalne miasteczka wschodnioeuropejskie. Zabudowa była niska i jak wszędzie w ZSRR najokazalsze były budynki partii i władz terenowych. Dużo było wszędzie zieleni. W tej części miasta ulice były zabrukowane.

W odległości 2-3 kilometrów leżało stare miasto. Obie części oddzielała od siebie niezwykle malownicza, wyglądająca trochę jak ogromna piramida, góra z białego wapienia. Jedna jej strona była częściowo zazieloniona, a po drugiej leżał mużuhński cmentarz. Fantastyczne wrażenie robił wykuty w białym kamieniu meczet na szczycie góry. Nosiła ona nazwę Góry Sulejmana, a popularnie nazywano ją Sulejmanką.

Stare miasto było już typowo azjatyckie. Niemal całą zabudowę stanowiły kibitki, stojące wzdłuż wąskich, niezabrukowanych ulic. Ściany kibitek zwrócone ku ulicy pozbawione były okien, a pozostałe części posesji oddzielały od ulic wysokie, również z glinianych brył zbudowane płoty. Wszystko po to, by nie noszące w domu zasłon kobiety nie mogły być widziane z ulicy.

Całe stare miasto pokryte było siecią kanałów, t. zw. aryków z bieżącą wodą. Była ona rozbudowana tak przemyślnie, że aryki te przepływały przez niemal wszystkie posesje. Woda z nich służyła do mycia i nawadniania. Pochodziła ona z przepływającej przez środek starego miasta bystrej, czystej, górskiej rzeki. Wodę do picia brało się z zainstalowanych na ulicach studni.

Centralnym punktem starego miasta był bazar. Był to duży, zabudowany długimi stoiskami plac, otoczony ze wszystkich stron "czajchanami", to jest herbaciarniami. Bazar był nie tylko centrum handlu, ale też miejscem spotkań towarzyskich, to też było na nim ludno i gwarno od rana do wieczora.

Był to jeszcze okres, w którym napływ ludzi z europejskiej części ZSRR był niewielki i dawna uczciwość wciąż jeszcze panowała. Handel odbywał się tak, że przyjeżdżający tu z towarem kołchoźnicy rozkładali go na stołach, zawieszali dwuramienną wagę, stawiali miseczki na pieniądze, a sami często przesiadywali w czajchanach, popijając zieloną herbatę i gawędząc. Kupujący sami ważyli sobie towar i zostawiali należność w miseczkach, zwanych pijałkami.

Każdy mógł też - oczywiście bezpłatnie - kosztować wszystkiego, co leżało na przyławkach. Oczywiście wraz z napływem ludzi z zachodu ta idylla się skończyła. Najpierw znikła samoobsługa, a że Uzbekom, którzy stanowili gros ludności, choć miasto należy do Kirgizji, trudno było zrezygnować z odwiedzania czajchan, przeto nawiązała się współpraca i odtąd kilka stoisk obsługiwał uzbrojony w długi kij Uzbek. Kije te miały specjalne przeznaczenie. Wytworzyła się bowiem wśród nowoprzybyłych grupa ludzi, którzy wykorzystując zwyczaj zezwalający na kosztowanie produktów, przychodziła po parę razy dziennie na bazar, by skosztować tu tego, a tu tamtego, zaspokoić bezpłatnie głód. Z czasem więc obsługujący stoiska Uzbeki, widząc wyciągnięte po "próbki" ręce, tłukli po nich tymi długimi kijami.

Muszę przyznać, że i dla mnie, szczególnie w pierwszym okresie, ba-

zar stanowił nieodparty magnes. Obfitość, barwy i zapachy rozłożonych owoców i jarzyn stanowiły rozkosz dla wzroku i powonienia.

Na stołach pyszniły się arbuzy i pachnące ananasem dynie, czerwone granaty i różnobarwne winogrona. Były tam też brzoskwinie i morele, a także odmiana tych ostatnich, zwana uriukiem, który sprzedawano w suszonej formie przez cały rok. Świetne, napółwysuszone rodzynki, zwane kisz-misz służyły zamiast deficytowego cukru jako środek zastępczy, który zagryzało się przy picciu herbaty.

Cały ten towar zachwalany był gromko przez sprzedawców. Zachowałem mi się w pamięci sposób zachwalania arbuzów przez jednego z Uzbeków. Wołał on:

- Kupujcie wspaniałe arbuzy! Połowa ich to cukier, a druga połowa to miód! Za jednego rubla możesz się najieść, napić i umyć!

Oprócz części owocowo-warzywnej, była też część, na której targowano płaskimi, zwanymi lepioszkami plackami, serami, mięsem - głównie baranin i wyrobami garmazeryjnymi. W parujących kotłach pachniała zabójczo tradycyjna potrawa, pilaw, stanowiąca stale moje niedościgłe w tym okresie marzenie.

Bardziej dostępne, choć również drogie były pierożki z mięsem i cebulą - samsa. Technika wypieku tych bułek-pierogów była bardzo specyficzna. W gospodarstwach uzbeckich używano do gotowania i pieczenia pieców, zbudowanych z gliny w formie leżącego, dużego dzbana. Palono w nich gałęzi bawełny, dającymi dość długo zarzające się węgle. Otóż kiedy ściany pieca były już dostatecznie nagrzane, wciągano na jedną z rąk długą, watowaną rekawicę, na dłoń kładziono wcześniej przygotowane pierogi, wsuwano rękę do pieca i silnie podrzucając, przyklejano pieróg do nagrzanej ściany. Tak oblepiano całe wnętrze pieca. Kiedy pierogi były gotowe, odpadały one od ścianek i spadały na podstawione tacki. Najlepsze były oczywiście świeże, to też na bazarze ustawionych było mnóstwo takich pieców, a także rynien z żarzącym się węglem drzewnym, nad którym pieczono szaszłyki.

Dla nas, wygłodzonych, były to niesamowite pokusy. A tymczasem o pracę nie było łatwo. Szybciej udało się mamie. Została ona przyjęta do spółdzielni tkackiej, która systemem nakładczym produkowała robione na drutach swetry z grubej, domowym sposobem przędzonej wełny. Do obowiązków matki należało pobieranie i magazynowanie wełny, wydawanie jej robiącym swetry kobietom i przyjmowanie gotowych wyrobów. Głównym jednak jej zadaniem była pomoc w komponowaniu wzorów. Początkowo wszystko szło dobrze, ale potem przyszły komplikacje, do których powrócę.

Ja nie mogłem grymasić i wybierać, bo brak gotówki dawał się we znaki, to też zmuszony byłem przyjmując taką pracę, jaka się nadarzyła. Zostałem więc pomocnikiem zatrudnionego przez spółdzielnię zduna.

Moim majstrem okazał się bucharski Żyd. Nigdy wcześniej o istnieniu takich nie słyszałem, to też początkowo pewny byłem, że moim bossem był Uzbek, bo ani wyglądem, ani odzieżą, ani mową Żydzi bucharscy się od tych pierwszych nie różnili. Dopiero, kiedy po jakimś czasie znalazłem się w mieszkaniu Eliego, zauważyłem najpierw typową żydowską menurę, a potem stare księgi z hebrajskimi napisami na grzbietach okładek.



Kiedy zdziwiony zapytałem, skąd się te przedmioty wzięły u niego, Eli wyjaśnił mi kim oni byli. Dowiedziałem się więc, że zachowali oni wszystkie tradycje religii mojrzeszowej i że nauka języka hebrajskiego była absolutnie obowiązującym atrybutem wychowania dzieci.

Eli był człowiekiem niezwykle pracowitym i wymagającym. Pracować musiał dużo by zaspokoić potrzeby składającej się z niego, żony i ośmiorga dzieci rodziny. Toteż pracowaliśmy bez wytchnienia. A robota była nie łatwa. Do moich obowiązków należało zwożenie taczka cegły i gliny, rozrabianie tej gliny wodą i podawanie materiału majstrowi. Dla spółdzielni pracowaliśmy osiem godzin, a potem chodziliśmy na "chałturkę", to znaczy na prywatne, oczywiście wykonywane poza spółdzielczą kolejką roboty. A że te były lepiej płatne, więc Eli starał się wykonywać je jaknajszybciej. Zaczęło mi się więc odrazu dość dobrze powodzić.

Tak przepracowałem kilka miesięcy. I wtedy nawinęła mi się inna praca. Dowiedziałem się jakoś, że w przedsiębiorstwie transportowym Szlaku Pamirskiego poszukują kierowców. O Szlaku Pamirskim słyszałem już wówczas wiele. Zbudował go - jak mówiono - w końcu 14-go wieku Tamerlan (znany też jako Timur Kulawy) w czasie swoich zaborczych wojen, a budowa ta kosztować miała życie dziesiątków tysięcy niewolników.

Miasto Osz jest początkiem tego wykutego w skałach szlaku, który ma dwa rozgałęzienia, dłuższe, biegnące przez wysokie partie Gór Ałtajskich i Pamiru aż do leżącego przy granicy z Afganistanem Chorogu i krótsze, prowadzące do leżącego w chińskiej prowincji Sinkiang, miasta Kaszgar.

Jasne, że perspektywa możliwości wędrowania po takich miejscach zadziałała w sposób gwałtowny na moją młodzieńczą fantazję. Matce natomiast pomysł ten zupełnie nie przypadł do gustu, bo to i drogi niebezpieczne i ciągle mówiło się o mających miejsce napadach "basmaczów", (których wówczas uważano za bandytów, a którzy dziś są zapewne obywatelami narodowymi bohaterami niepodległego Uzbekistanu), na poruszające się po Szlaku Pamirskim transporty.

Ja postanowiłem jednak spróbować. I tu pomogło mi wystawione w Taszkencie przez szefa bazy transportowej zaświadczenie. Po kilku dniach zostałem przyjęty. Pożegnałem się serdecznie z Elim i już wkrótce ruszyłem jako drugi kierowca w podróż do Kaszgaru.

Odległość między tym miastem i Osz nie przekraczała w linii prostej trzystu kilometrów, ale serpentyn było tyle, że aby tam dojechać, trzeba było pokonać kilka razy dłuższą drogę. Kolumna składała się z 30 ciężarówek. Na pierwszej i ostatniej zainstalowane były, obsługiwane przez żołnierzy służby pogranicznej, dwa ciężkie karabiny maszynowe dla ochrony przed "basmaczami".

Samochody załadowane były dwustulitrowymi beczkami z naftą i jakimiś skrzyniami. Początkowo posuwaliśmy się dość szybko, ale w miarę wspinać się w górę, tempo jazdy obniżyło się znacznie. Droga była fascynująca. Zastanawiałem się ciągle, jak mogli ludzie przy pomocy ówczesnych, prymitywnych narzędzi, wykuć ją pięćset lat wcześniej. Jechaliśmy wąskimi wąwozami, leżącymi między wysokimi, pokrytymi wiecznym śniegiem górami.



Po pewnym czasie droga stała się tak stroma, że kolumna, by nie przejechać silników, robiła częste przystanki. Było nas w każdym samochodzie po dwóch kierowców i prowadziliśmy na zmianę.

W wielu miejscach przez szosę przewalały się strumienie sciekającej z gór wody i trzeba było brnąć przez nie bardzo wolno. Parę razy zdarzyło się, że całą kolumnę zatrzymywano wskutek defektu w jakimś samochodzie. Defekty te usuwali mechanicy, jadący w specjalnej ciężarówce-warsztacie. Dwa razy mijaliśmy strażnice wojsk ochrony pogranicza, w których dostaliśmy gorące posiłki. W pozostałe dni karmiono nas zupą i kaszą, ugotowanymi w ciągniętej przez jeden z samochodów kuchni polowej. Spaliśmy na siedząco na zmianę, a myśleliśmy się w przydrożnych potokach. Raz tylko przenocowaliśmy w specjalnie w tym celu zbudowanych przy stacji pograniczników barakach.

Tam właśnie przeżyłem kolosalne zaskoczenie.

Część jednego z baraków była wygrodzona, a na drzwiach prowadzących do niej widniał napis "Ambulatorium". W pewnej chwili w drzwiach ukazała się ubrana w biały fartuch postać młodej kobiety, na którą zwróciły się oczywiście natychmiast oczy wszystkich znajdujących się w baraku kierowców. Dziewczyna, przedefilowawszy przez barak otworzyła drzwi do następnego pomieszczenia, którym była stołówka i zawołała w najczystszej polszczyźnie:

- Mamo! Można już wpuszczać szoferów do stołówki?

- Jeszcze nie. Niech się najpierw unyją - odpowiedział głos, widocznie z kuchni.

Nie wytrzymałem, podbiegłem do dziewczyny, objąłem ją i wykrzyknąłem:

- Boże świąty! Wszystkiego się mogłem spodziewać, tylko nie tego, że tu, na końcu świata usłyszę język polski!

Dziewczyna była równie zaskoczona, jak przed chwilą ja i trochę nielogicznie zapytała:

- To pan Polak? A skąd się pan tu wziął?

Otoczyła nas cała gromada kierowców, rozumiejących, że spotkałem rodaczkę. Po chwili pojawili się też wezwani przez dziewczynę jej rodzice.

A potem już siedzieliśmy prawie całą noc, opowiadając sobie nawzajem swoje dzieje. Okazało się, że Szczepanikowie zostali wysiedleni z Wołynia zaraz w pierwszej fali wywózek, bo pan Józef, który był ojcem rodziny sprawował funkcję wójta, a więc jako reprezentant burżuazyjnych władz państwowych został uznany za "niebezpieczny element".

Najpierw siedzieli w jakimś zapadłym sowchozie, gdzie pracowali na plantacji bawełny. Praca w tych warunkach klimatycznych była tak ciężka, że zdrowie Józefa odmówiło postuszeństwa. Kiedy więc dowiedzieli się, że poszukiwano rodziny, która zajęłaby się prowadzeniem stacji etapowej na Szlaku Pamirskim, przy czym warunkiem było żeby ktoś w rodzinie potrafił udzielać pierwszej pomocy medycznej, to zaraz się zgłosili.

W normalnych sowieckich warunkach byłiby napewno, jako niepewni cudzoziemcy zdyskwalifikowani jako kandydaci do pracy w strefie przygranicznej i do tego jeszcze na wojskowej strażnicy. Ale córka Szczepanika Jadzia ukończyła przed wojną kurs położnych, miała dyplom, a o

takich ludzi nie było łatwo. Nie każdy chciał również zaszyć się na oddalonej od świata i ludzi górskiej stacji.

I tak oto od przeszło roku pracowali wszyscy troje jako jedyna rodzina w kilkunastoosobowej załodze stacji.

Potem jeszcze wielokrotnie spotykałem się z nimi w czasie postojów na - jak to się wśród szoferów nazywało - czwartym etapie. Wiem, że wrocili do Polski w ramach akcji repatriacyjnej, równocześnie z moją matką.

Dalej droga wiodła obok nieprawdopodobnie malowniczego jeziora Czatykol, w którym, mimo że woda była dosłownie lodowata, wszyscyśmy się wykąпали, a potem wspięliśmy się na leżącą na wysokości 3750 metrów między masywami Altajskim i Koksaał Tan przełęcz Tuługar. Powietrze było tu tak rozrzedzone, że trzeba było w samochodach pozdejnować filtry powietrzne. Po przebyciu przełęczy jechało się już do samego Kaszgaru w dół. Nie mieliśmy nawet pojęcia kiedy przekroczyliśmy granicę sowiecko-chińską. Raz tylko widzieliśmy konny patrol wojsk pogranicznych.

Miasto Kaszgar, leżące w prowincji Sinkiang robiło bardzo dziwne wrażenie. Pomimo administracyjnej przynależności do Chin, prowincja, jak się zdołałem zorientować, nie utrzymywała w tym czasie z centrum żadnych, albo tylko bardzo luźne kontakty. Handel odbywał się głównie na warunkach wymiany towarowej. Waluty chińskiej w obiegu nie było. Można było natomiast czasami płacić innymi walutami, przyczym obowiązywał bardzo swoisty kurs. Był on mianowicie absolutnie ujednolicony. Oznaczało to, że jeden dolar, frank (jaki by on nie był), funt, czy inny banknot, reprezentowały dokładnie taką samą siłę nabywczą. Ale płacenie pieniędzmi należało do zjawisk wyjątkowych.

Zamieszkujący prowincję Ujgurzy nie różnili się od naszych gospodarzy z drugiej strony gór. Chińczyków widziałem tylko raz czy dwa.

W czasie pierwszego pobytu w Kaszgarze nie byłem przygotowany "ekonomicznie", to znaczy nie miałem ze sobą towaru, który można byłoby wymienić na jakiś miejscowy, mający większą wartość w Osz. Potem nauczyłem się brać ze sobą naftę albo samogon, które bardzo korzystnie wymieniało się na piękne, ręcznie tkane, wełniane, lub przetykane miejscowym jedwabiem dywaniki. To, co za nie otrzymywałem w Osz starczało na spędzenie wolnych dni między rejsami w sposób hulawczy z poznanymi w międzyczasie rówieśnikami z polskiej kolonii. Mogłem też wzmocnić skromną kasę matki.

Kilka razy przejechałem także Wielki Szlak Pamirski, to jest drogę do turkmeńskiego miasta Chorog. Wita się ona między jeszcze wyższymi górami Grzbietu Zaałtajskiego, przez leżącą na wysokości 4280 metrów przełęcz Merkansu, mijając górskie jezioro Karakuł, poczym wspinając się na najwyższą na trasie przełęcz Akbajtał (4650 m), żeby potem przez jeszcze dwa, leżące na ponad 4000-metrowej wysokości przesmyki w północnym i południowym Grzbietach Aliczurskich, dotrzeć do Chorogu.

Niestety nie byłem wówczas usposobiony do podziwiania niebywałego piękna dzikiej, groźnej, przyrody. Jestem jednak pewny, że z czasem droga ta stanie się jedną z największych atrakcji turystycznych świata.

W PATU, jak nazywało się moje przedsiębiorstwo transportowe przepra-

cowalem ponad pół roku. I gdyby to ode mnie zależało, pracowałbym tam jeszcze długo. Ale pewnego razu, po powrocie z kolejnego rejsu wezwał mnie naczelnik bazy i zarządał paszportu i prawa jazdy. Nie miałem ani jednego ani drugiego. Naczelnik powiedział mi, że milicja kontroluje wszystkich kierowców. A kiedy zobaczył mój dokument z wpisanym doń paragrafem 11, zrozumiał, iż to że pozwolił mi poruszać się w strefie granicznej narażało nie tylko mnie, ale i jego. O prawo jazdy już nawet nie pytał.

Zrozumiałem, że dla nas obu najlepiej będzie jeśli natychmiast zniknę z bazy. Poprosiłem więc o zwolnienie z pracy, pożegnałem się z kolegami i zjawiłem się u uradowanej moją decyzją matki, która stale się bała czyhających w Pamirze niebezpieczeństw.

Zacząłem szukać nowego zajęcia.



## Dziwne spotkania

Rozglądając się za pracą, odwiedzałem od czasu do czasu bazar, żeby za pozostałe z kaszgarskiego handlu pieniądze kupić coś do zjedzenia, bo głodny byłem permanentnie.

Któregoś dnia, idąc w towarzystwie znajomego w stronę bazaru, zauważyłem stojącą przy wejściu parę młodych ludzi. Kiedy zbliżyliśmy się do nich, usłyszeli prawdopodobnie, że rozmawialiśmy po polsku i chłopak podszedł do nas i zapytał czy nie wiemy, gdzie by tu można było dostać jakąś pracę i czy w tym mieście istnieje możliwość znalezienia jakiegoś mieszkania.

Oczywiście zainteresowaliśmy się z jakiego miasta pochodzili. Ale już od pierwszej chwili twarze obojga wydawały mi się dziwnie znajome. Z wyjaśnień - jak się okazało - rodzeństwa zorientowałem się szybko, że byli dziećmi serdecznych przyjaciół moich rodziców. Zostali oni zesłani ze Lwowa tak jak my i także po zwolnieniu z Syberii udali się do Azji Środkowej. Tu jednak nie mieli szczęścia. Trafili do jakiegoś zabiedzonego kołchozu, w którym warunki pracy i bytowania były tak podłe, że doprowadziły rodziców do psychicznego załamania. Ostatnio byli już tak wyczerpani, że nie mieli siły podnieść się ze swoich postoi.

Rodzeństwo - Alek i Hela postanowili zorientować się w możliwościach urzędzenia się w Osz, ale na razie im się to nie udało.

Zabrałem ich zaraz do domu i postanowiliśmy z matką, że trzeba natychmiast sciągnąć ich rodziców. Jeden z chłopców, z którymi się w międzyczasie zaprzyjaźniłem, nota bene mój późniejszy szwagier, pomógł nam wynająć u swego gospodarza zaprzężoną w osiołka dwukołową platformę-arbę i następnego dnia wyruszyliśmy do kołchozu.

Lepianka, w której biwakowali nasi przyjaciele przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, a oni sami znajdowali się w stanie ostatecznego załamania. Załadowaliśmy ich na arbę i wróciliśmy do Osz.

Doprowadzenie ich higieny do normalnego stanu było wyczynem gigantycznym. Młodzi otrząsnęli się ze stanu apatii szybko. Dłużej trwało to u ich matki. Ojciec był niestety w takim stanie wyczerpania, że po dwóch tygodniach zmarł w nocy tak cichutko, że nikt z nas tego nie zauważył.

Po pogrzebie zaczęliśmy szukać dla nich jakiegoś mieszkania. W czasie tych poszukiwań przydarzyła mi się następująca przygoda. Zapukałem do furtki jakiejś posesji, zapominając o miejscowych zwyczajach i o tym, że obcemu mężczyźnie nie wolno patrzeć na kobietę z niezastkniętą twarzą, wszedłem na podwórze, na którym oboje gospodarze zajęci byli jakąś pracą. I tu spotkał mnie podwójny pech. Po pierwsze naruszyłem wyżej wspomniany zwyczaj. Po wtóre, gdy tylko gospodarz zwrócił ku mnie twarz, poznałem w nim człowieka od którego kiedyś zmuszony byłem uciekać na złamanie karku w takich oto okolicznościach.

Pracując jeszcze jako szofer, poszedłem w wolny dzień z kolegą do jedyne miejsce, gdzie można się było porządnie wyszorować, to jest

do miejskiej łaźni. Była tam bania, czyli sauna i pomieszczenie z natryskami i długimi ławami, na których stały miednice. Po wyjściu spod natrysku zobaczyłem stojącego tyłem do mnie, pochylonego nad miednicą mojego kolegę. Nie długo się namyślając podszedłem i wymierzyłem mu solidnego klapsa w mokre siedzenie. Łatwo sobie wyobrazić jakie było moje przerażenie, kiedy zamiast kolegi odwrócił się do mnie piekielnie rozwścieczony, atletycznie zbudowany Uzbek. Odrazu się zorientowałem, że przeprosiny na nic się tu nie zdadzą i zacząłem wiać, słysząc za sobą cały czas kroki goniącego. Doszedłem do wniosku, że jedynym ratunkiem będzie wyskoczenie w adamowym stroju na ciemną już na szczęście ulicę. Tak też zrobiłem i nago przebiegłem kilkaset metrów, dzielącymi mnie od mieszkania znajomych, gdzie moje pojawienie wzbudziło zrozumiałą sensację. Potem, późnym wieczorem syn znajomych poszedł po moje ubranie ale uprzedziliśmy go żeby się nie zbliżał, jeśli zobaczy, że ktoś jeszcze jest w szatni. I rzeczywiście - mój prześladowca siedział tam i czekał, tak że ubranie odzyskałem dopiero następnego dnia.

I właśnie na tego "poszkodowanego" musiałem się narwać w poszukiwaniu mieszkania dla przyjaciół. Znowu trzeba było szybko się zmywać. Zatrzasnąłem za sobą furtkę i zacząłem uciekać wzdłuż ulicy. Nie byłem zbyt wystraszony, bo zdawałem sobie sprawę z tego, że byłem dużo młodszy i zapewne sprawniejszy fizycznie od prześladowcy. Ale już po paru sekundach zorientowałem się, że mogło być gorzej, niż myślałem, bo usłyszałem wściekłe ujadanie psów, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem wypadające z furtki dwa duże brytany. Długo się nie namyślając wdrapałem się na gliniany płot, z niego na dach jakiejś kibitki, po którym przedostałem się na biegnącą równolegle po drugiej stronie posesji uliczkę. Na szczęście psy zatrzymały się w miejscu, w którym wspiąłem się na płot.

Po tej przygodzie przez długi jeszcze czas wpatrywałem się w twarze idących naprzeciw mnie ulicą Uzbeków, ale jakoś do spotkania z tym moim więcej nie doszło.

Warto tu chyba opisać jeszcze jedno dziwne spotkanie.

W tym czasie powstała już w Osz delegatura emigracyjnego rządu londyńskiego. Zadaniem tej delegatury była opieka nad zwolnionymi z obozów i miejsc zsyłki polskimi obywatelami. Delegatem rządu na nasz teren był inżynier Aleksandrowicz. W tym czasie władze sowieckie były tej akcji dosyć przychylnie, to też przydzieliły pomieszczenia na samą delegaturę, na magazyny i na dom starców. Magazyny były potrzebne do przechowywania przeznaczonych do rozdziału między potrzebujących, darów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Moja matka, która wciąż jeszcze pracowała w cechu tkackim, chciała zmienić pracę, bo stale traciła nerwy spowodowane niemożnością rozliczenia się z powierzonych wełny. Było to skutkiem tego, że wykonujące nakładczą pracę kobiety zwilżały lekko gotowe swetry przed zdaniem ich, a kiedy matka potem przekazywała je dalej do spółdzielni, te dążyły już wyschnąć i ważyły mniej.

Dlatego z radością przyjęła propozycję pracy w domu starców. Od matki właśnie dowiedziałem się, że Delegaturze przydzielono dwa wagony z ubraniami i żywnością, które trzeba było odebrać w punkcie rozdzielczym w Samarkandzie i że rozglądano się właśnie za kims, kto mógłby po nie pojechać. Odrazu mnie to zainteresowało, a że byłem właśnie bez pracy,

zgłosiłem się do Delegata.

Ponieważ znał on dobrze mamę, a mnie znał także jego zastępca, moja kandydatura została zaakceptowana i po kilku dniach, zaopatrzone w niezbędne papiery pojechałem do Samarkandy. Zdażyłem tam jeszcze obejrzeć przepiękny, pokryty kolorową mozaiką, znany meczet i zaraz zgłosiłem się do punktu rozdzielczego.

Procedura odbioru wagonów odbyła się szybko, bo miały one lakowe pieczęcie władz celnych i na drzwiach i na okienkach, a dokładne specyfikacje mówiły o ich zawartości. Po kilku godzinach byłem więc załatwiony. Udałem się zaraz do dyspozytora ruch towarowego na stacji, który obiecał, że wagony moje zostaną podłączone do idącego w pożądanym kierunku pociągu następnego dnia.

Zaopatrzyłem się w coś do jedzenia na drogę, a że wagony były solidnie odrutowane i - jak wspomniałem - opieczętowane, postanowiłem ich nie otwierać, a drogę przebyć w znajdującej się na jednym z nich budce hamulcowej, choć było to pomieszczenie bardzo ciasne i niewygodne.

Szykowałem się właśnie do spędzenia w nim nocy, kiedy obok wagonu pojawił się łysawy, nieco kulejący człowiek, którego twarz wydała mi się odrazu znajoma. Spojrzał na mnie, pokiwał głową i powiedział:

- No patrz pan jaki świat jest mały. Ze też musieliśmy się tu spotkać! - a spostrzegłszy, że nadal nie mogę go sobie umiejscowić, dodał -

Co pan starego znajomego z posiołka nie poznajesz? A ja pańską mamę ogromnie szanuję, bo to bardzo zacna kobieta. Łagojda jestem. Teraz już pan wiesz?

Wówczas uświadomiłem sobie, że był to facet, który na posiołku szeroko się chwalił tym, że przed wojną był najbardziej w Warszawie znanym doliniarzem, który prowadził słynną w półświatku szkołę kieszonkowców na Kiercelaku.

- Dokąd ty z tymi wagonami będziesz jechał? -zapytał.

- Do Kirgizji, do Osz.

- Ty, słuchaj, zabierz mnie z sobą. Ja muszę stąd wyjechać, a chwilowo jestem goły i nie mam na bilet. Ja ci się odwdzięczę!

- Niestety panie Łagojda - powiedziałem, bo rozumiałem, że mojemu rozmówcy ziemia paliła się pod nogami w Samarkandzie, a nie miałem ochoty popadać w konflikt z władzami. - Choćbym chciał, to nie mogę pana zabrać, bo wagony są jak pan widzi odrutowane i zalakowane i nie będę ich otwierał. Sam będę jechał w tej budce hamulcowej.

- Odrutowane! Zalakowane! - Łagojda przedrzeźnił, patrząc na mnie z politowaniem. - I ty frajerze wierzysz w taki bajer, że one tutaj tak stały nieruszone od czasu jak przyszły? Toż z nich już połowa rzeczy poszła na bazar. To tyś nawet nie sprawdził, co tam jest w środku?

- Jak mogło coś zniknąć, jeśli plomby są nieruszone - powiedziałem żeby uspokoić siebie samego, choć serce od tych wiadomości zaczęło mi bić szybciej.

- Ze też oni takiego żółtodzioba posyłają po taki cenny ładunek - Łagojda ze zdziwieniem pokiwał głową. - Ty bracie wal prędko do składów i zażądaj żeby komisyjnie sprawdzić co tam jeszcze zostało. Ja się boję, że nie wiele - dodał ze śmiechem. - Jeszcze podziękujesz staremu Łagojdzie za dobrą radę.



Postanowiłem z tej rady skorzystać. Pobiegłem spowrotem do składów i zażądałem otwarcia wagonów i sprawdzenia zawartości. Początkowo nie chcieli ze mną wogóle rozmawiać, ale kiedy zagroziłem, że zwrócę się do prokuratora, wydelegowano dwóch pracowników do kontroli.

Informacje Łagojdy, choć nieco przesadzone, były zgodne z prawdą. Po porównaniu specyfikacji z faktyczną zawartością wagonów okazało się, że brakowało sporo konserw, mleka skondensowanego, spodni, kurtek, butów i koców. Teraz już bez sprzeciwu zgodzili się braki uzupełnić. Z ich reakcji zorientowałem się, że nie byli wynikami kontroli zaskoczeni. Kiedy mi to wszystko przywieźli i zacząłem ponownie zabezpieczać wagony, doszedłem do wniosku, że teraz już mogłem jechać wygodnie w jednym z nich.

Wkrótce potem pojawił się uśmiechnięty Łagojda.

- No co, nie miałem racji? Takie plomby to się tu podrabia masowo. I dużo takich jak ty frajerów daje się nabrać. To co? Zabierzesz mnie teraz?

Już wcześniej pomyślałem sobie, że będzie i raźniej i bezpieczniej jechać we dwójkę. Wyraziłem więc zgodę.

- Dzięki! Łagojda - stary mówił o sobie zawsze w trzeciej osobie - nigdy ci tego nie zapomni!

Muszę powiedzieć, że obietnicy tej dotrzymał i aż trzy razy wybawił moją matkę i mnie z dużych kłopotów. Ponieważ człowiek ten zginął w ostatnich dniach wojny jako żołnierz, chcę tu uczcić jego pamięć wspomnieniem o tych trzech przypadkach

Ale najpierw o tym, czym Łagojda się trudnił po osiedleniu się w Osz. Został on, niegdyś zawodowy złodziej - o ironio losu! - nocnym dozorcą magazynów Delegatury. I nie słyszałem nigdy żeby coś z nich zginęło. A że od czasu do czasu trenował swój dawny kunszt, świadczyć może następująca historyjka.

Stałem kiedyś na bazarze z moim przyszłym teściem i spotkałem tam Łagojdę. W pewnej chwili przeszedł koło nas Uzbek z podwiniętymi rękawami barwnego, pasiatego kaftana, stanowiącego powszechny ubiór miejscowych mężczyzn. Na przegubie ręki miał on duży, wyposażony w sztoper zegarek. Zauważywszy to, Łagojda powiedział:

- Popatrzcie, ten Azjata ma taki świetny zegarek, a Łagojda nie ma żadnego!

Nie zwróciłem wówczas uwagi na to, co powiedział. Ale po kilku dniach kiedy spotkałem go znowu, odciągnął mnie na bok i pokazał zegarek, który miał na ręce.

- Ładny - skomentowałem - ile pan za niego dał?

- Coś ty zgłupiał chłopie! Za zegarki to Łagojda jak żyje nie płacił - roześmiał się - Nie pamiętasz tego Uzbeka na bazarze?

Wtedy dopiero zrozumiałem, że zew krwi niekiedy odzywał się w starym "fachowcu".

Ale wróćmy do trzech przypadków, kiedy Łagojda pomógł nam bezpośrednio.

Latem ja nabawiłem się malarii. Ataki powtarzały się regularnie i były piekielnie męczące. Póki można było dostać jedyne wówczas skuteczne lekarstwa chininę i akrychinę, to było jeszcze pół-biedy. W pew-

nym okresie jednak zabrakło tych specyfików w aptekach. Można je było nadal nabyć na bazarze, ale po bardzo wygórowanej cenie, która w końcu osiągnęła taki poziom, że w moim przypadku wykluczała możliwość ich nabycia.

W tym czasie spotkałem Łagojdę i na jego pytanie - dlaczego jestem taki wyniszczony, opowiedziałem mu o męczącej mnie chorobie. I oto po kilku dniach zjawił się on u nas i przekazał mi jakiś pakunek powiedział

- Na zdrowie - poczem znikł.

Paczuszka zawierała porcję chininy, która starczyła na bardzo długo. Jak ją zdobył, nigdy się nie dowiedziałem.

Drugi raz zwróciliśmy się do Łagojdy sami, w następujących okolicznościach.

Kibitka, w której mieszkaliśmy z matką nie miała zamka, poza zwykłą, ręcznie kutą klamką. Była to pozostałość z tych czasów, kiedy Uzbeki zamków wogóle nie używali. Z czasem, po napływie dużej ilości "bieżenców", stały się wiszące kłódki bardzo potrzebnym i poszukiwanym przedmiotem. My jednak, wobec niemalże całkowitego braku jalichkolwiek wartościowych rzeczy (wspomniany poprzednio platynowy zegarek mamy został już w Andżanie sprzedany za równowartość trzech bochenków chleba), nie dorobiliśmy się zamka.

A jednak i na nasze skromne ciuchy znalazł się amator. Kiedyś, gdy byliśmy w pracy, ktoś wlaźł do naszej kibitki i ukradł niemal wszystkie ubrania mamy. Byliśmy zrozpaczeni, bo zbliżała się właśnie łagodna co prawda na tych szerokościach, ale jednak mokra i chłodna zima.

Domyślaliśmy się, że kradzież nie była najprawdopodobniej robotą Uzbeków, tylko kogoś z naszych. Wpadłem więc na pomysł, by poprosić Łagojdę, żeby rozejrzał się wśród znanych mu potencjalnych sprawców i pomógł nam odkupić przynajmniej ciepły płaszcz i buty matki. Wystuchawszy naszego opowiadania, Łagojda pokiwał głową i stwierdził:

- Ten, co panią, biedną, samotną kobietę okradł, to nie był złodziej, to był skurwysyn! No ale nic, spróbujemy - obiecał.

Próbował widać dobrze, bo po kilku dniach przyniósł nam nie wszystkie wprawdzie, ale najważniejsze części garderoby. Ogromnie wdzięczni, zapyaliśmy go, jakie poniósł w związku z odzyskaniem tych rzeczy koszty.

- Komu miałem płacić? A ten cham wam zapłacił, jak brał?

Trzeci raz wyratował mnie Łagojda z dużej opresji, kiedy spotkałem go poraz ostatni.

Było to już w czasie, kiedy po ochotniczym zgłoszeniu się do wojska przybyłem do miejsca formowania armii w Sielcach nad Oką. Zostałem początkowo umieszczony w dużym namiocie, w którym co wieczór zasiadało kilku nowoprzybyłych do gry w pokera. Miałem wtedy około dwóch tysięcy rubli, bo po drodze zaopatrzyłem się w poprzednio opisanym Aktiubińsku w sól, którą potem sprzedałem w Riazaniu, gdzie pozbyłem się również zabranej cywilnej odzieży. Uzyskane pieniądze wystarczały mi na wyjazd, która pozostała w Azji Środkowej.

Ale diabeł mnie skusił, a rezultat był taki, że kiedy późno w nocy gra się zakończyła, z moich dwóch tysięcy zostało mi czterysta rubli.

Byłem zrozpaczony i miałem wyrzuty sumienia. Postanowiłem resztę pie-

niędzy natychmiast wysłać matce i udałem się na poszukiwanie poczty polowej. Idąc w jej kierunku, nagle usłyszałem:

- Cześć panie Julek! Znowu się spotykamy!

Przede mną stał Łagojda w mundurze, z naszywkami starszego sierżanta na naramiennikach.

- Dzieńdobry. Już pan zdążył zaawansować na starszego sierżanta?

- E, to jeszcze z carskiej armii - wyjaśnił Łagojda i dodał - Na szeregowca to ja się z moją kulawą nogą nie nadaję.

Zaproponowałem mu żeby mi towarzyszył na pocztę i opowiedziałem o swojej lekkomyślności.

- A oni tam w namiocie codziennie grają? - zapytał stary.

- Tak.

- To wiesz pan co, panie Julek. Zaczekaj pan z tą pocztą. Ja tam przyjdę dziś wieczorem i my tą forszę odegramy. Tylko musisz mi pan pożyczyć te czterysta rubli. Grałbym za swoje, ale chwilowo jestem goły.

- Nie. Dziękuję, ale wolę wysłać matce przynajmniej to co zostało.

- Panie Julek! Chyba pan wiesz, że na Łagojdę można liczyć. Te czterysta rubli to pan masz u mnie gwarantowane. A jak wygram, to się podzielimy.

No i w końcu mnie przekonał. Wieczorem zjawił się w namiocie. Wkrótce towarzystwo zasiadło do gry, a kiedy i ja zamierzałem zostać jednym z grających, skomenderował:

- Jazda na pryczę i spać! Nagrałeś się już wczoraj.

Posłuchałem go, położyłem się i wkrótce zasnąłem. Obudził mnie, kiedy na dworze było już szaro. Siedział na mojej pryczy z paczką banknotów w garści.

- To ileś ty miał tych pieniędzy jak zacząłeś grać wczoraj? - zapytał.

- Około dwóch tysięcy.

- Masz tu dwa tysiące. Wyślij matce. I pamiętaj! Żebyś mi więcej w życiu nie grał w pokera - tu pogroził mi palcem prawej ręki, potrząsając równocześnie lewą, w której trzymał wciąż jeszcze sporą paczkę rubli.

- Jak pan to zrobił?

- Mój kochany! Oni są cwaniaki, ale Łagojda jest jeszcze lepszy cwaniak.

Raz jeszcze o nim usłyszałem. Opowiadał mi kolega, który był oficerem wydziału organizacyjno-mobilizacyjnego, że kiedy pierwsza dywizja po uformowaniu i przeszkoleniu ruszała na front, a na tym miejscu miała się formować następna, zgłosił się do niego znany mi z posesiołka Łagojda i poprosił żeby go nie wysłać na front, tylko zostawić dla formowania nowej jednostki. Motywował to swoim kalectwem. Spotkawszy się z odmową, zaproponował:

- Panie poruczniku, zrób pan coś. Dostaniesz pan od Łagojdy brylant.

A widząc reakcję porucznika, który sięgnął po telefon, mówiąc, że zamierza poinformować prokuratora o próbie przekupstwa, dorzucił:

- Pan porucznik może myśli, że to mały brylant, a to naprawdę duża sztuka!

Jak widać, kilka miesięcy, które dzieliły to zdarzenie od mojego z nim spotkania, potrafił należycie wykorzystać.



Na front jednak pojechał i jak już wyżej wspomniałem, zginął gdzieś pod Berlinem. W ten sposób zeszła z areny ta napewno kontrowersyjna, ale barwna i posiadająca swoisty, złodziejski honor postać.

Rozdział niniejszy zatytułowany jest "Dziwne spotkania". Poza dwoma opisanymi, których byłem uczestnikiem, chcę tu zapoznać czytelnika z jeszcze jednym, przy którym sam nie byłem, ale które z uwagi na swoją fantastyczność zasługuje na opowiedzenie.

Przed moim wyjazdem do wojska, po to, by nie mieszkać samotnie, matka zaproponowała poznaną w międzyczasie, rozchodzącą się właśnie z mężem pani Adzie, żeby ta przenieśli się do nas. Od niej to dowiedzieliśmy się fantastycznej historii, która, gdyby nie to, że wydarzyła się naprawdę, mogła się wydawać zupełnie nie realna.

Ada przebywała wiosną 1940 roku wraz z mężem w Białymstoku. Męża wywieziono już w czasie jednej z pierwszych fal deportacyjnych i dostał się on do obozu pracy gdzieś na dalekiej Syberii. Po kilku miesiącach kolej przyszła i na Adę, która podobnie jak my wylądowała na przesiedleńczym posiołku. Przez cały czas przebywania tam nie miała żadnych wiadomości o mężu.

Po zwolnieniu ze zsyłki, żeby dostać się do mającej ją przetransportować na południe kolei, trzeba było najpierw płynąć kilka dni statkiem po jednej z wielkich rzek syberyjskich. Statek był po brzegi wypełniony podróżnymi, którzy koczowali na każdym skrawku pokładu. W którymś dniu podróży do uszu Ady dotarły krzyki, że ktoś z pasażerów zasnął i że poszukiwano lekarza. Ada lekarzem co prawda nie była, ale do wybuchu wojny zdążyła ukończyć cztery lata medycyny, kiedy więc nikt inny się nie zgłosił, pośpieszyła w stronę skąd dobiegały nawoływania.

Na pokładzie leżał zarośnięty, brudny i wynędzniały mężczyzna, otoczony bezradnymi ludźmi. Ada zorientowała się odrazu, że przyczyną omdlenia był głód i wyczerpanie. Poprosiła, żeby ktoś zaczerpnął wiadro wody, sądząc, że zimna woda ocuci zemdłego. Kiedy zaczęła zmywać jego twarz, doznała nagle ogromnego szoku. W wyłaniających się spod warstwy brudu rysach zaczęła nagle rozróżniać tak bardzo dobrze jej znaną, chociaż ogromnie postarzałą i zmienioną wycieńczeniem twarz swego męża. Początkowo myślała, że sama doznaje będących wynikiem zmęczenia halucynacji, ale kiedy "pacjent" otworzył oczy, nie miała już najmniejszych wątpliwości.

- Edek! Edek! To ja Ada! Obudź się! - zaczęła wołać, bijąc leżącego lekko po policzkach, by go ocucić.

Opowiadała nam potem, że na zmianę płakała i mówiła do półprzytomnego męża, podczas gdy otaczający ich ludzie, nie rozumiejący tego co mówiła po polsku - jak sądziła - myśleli, że teraz z nią samą coś się stało.

Po chwili Edek powrócił do przytomności, ale i on początkowo nie zdawał sobie sprawy z tego, że żona, którą widział pochyloną nad sobą, nie była wytworem jego fantazji. Dopiero kiedy Ada, żeby zaspokoić ciekawość współpasażerów statku zaczęła im po rosyjsku opowiadać o ich losach i o tym zupełnie nieprawdopodobnym przypadku, który pozwolił im się ponownie połączyć, uwierzył, że siedząca obok niego kobieta nie jest zjawą, tylko jego dawno nie widzianą żoną, o której kolejach od

momentu aresztowania nic nie wiedział.

Ada, która sama nie miała niczego, czym można byłoby podtrzymać siły kompletnie wyczerpanego męża, zwróciła się do otaczających z prośbą o podzielenie się z nią czymś nadającym się do tego celu. I tu jeszcze raz okazało się, że ludzie cierpiący biedę łatwiej dzielą się z będącymi w jeszcze większej potrzebie, niż ci, którzy sami biedy nie zaznali. Ada opowiadała nam, że w ciągu kilku minut w jej rozłożonej na pokładzie chustce na głowę, znalazło się sporo różnych wiktuałów, z których co prawda tylko niektóre odważyła się dać wyczerpanemu Edkowi, ale i te niektóre wystarczyły, by jego mocno nadszarpnięte siły nieco podtrzymać.

Po różnych tarapatach znaleźli się oni oboje w Osz. I zdawałoby się, że po takim cudownym połączeniu powinni pozostać nierozłącznym małżeństwem do końca życia. To jednak lubi widocznie płatać figle, to też w czasie gdy poznaliśmy Adę, postanowili się oni właśnie, już tym razem zupełnie dobrowolnie rozłączyć. Wiem jednak, że pozostali najlepszymi przyjaciółmi.

---

## Nasi gospodarze

Mieszkaliśmy z matką nadal u naszego sekretarza partii. Jak już wspominałem poprzednio, stosunki między nami układały się zupełnie dobrze. Pomimo wielkiego prymitywu naszego lokum, nie zamierzaliśmy się nigdzie przeprowadzać, bo z czasem, z pojawieniem się większej ilości uciekinierów z europejskiej części ZSRR, zrobiło się w Osz bardzo ciasno i o lepsze mieszkanie było bardzo trudno, a jeśli nawet były, to tak drogie, że nie pasowały zupełnie do naszych możliwości finansowych.

Z czasem zżyliśmy się z gospodarzami, choć trudności językowe uniemożliwiały dłuższe konwersacje. Oni, poza ojcem rodziny, bardzo słabo władali językiem rosyjskim, a my nauczyliśmy się co prawda trochę słów i zwrotów uzbeckich, ale nie tyle, by pozwalało to prowadzić dłuższe rozmowy.

Najlepsze stosunki, choć odbywające się niemal na migi, mieliśmy z babcią, która szczególnie upodobała sobie mnie. Starła się swoją sympatię okazać różnymi sposobami. Jednym z nich było "dokarmianie" mnie. Odbywało się to tak: W domach uzbeckich nie było takich jak u nas stołów i krzesel. Zamiast tego w centrum klepiska kibitki znajdował się czworokątny, głęboki na 50-60 cm otwór, nad którym stał niziutki stolik. Latem siedziło się w kucki dookoła innego stolika, albo po prostu na dywanie, dookoła tacy z jedzeniem. Zimą natomiast stolik nad otworem w podłodze pokrywano kołdrą, a na dnie otworu stawiano naczynie z żarzącym się węglem z krzaków bawełny. Siedziło się ze spuszczonej nogami, wsuniętymi pod kołdrę. Było to jedyne źródło ciepła, więc babcia spędzała w tej pozycji całe dni.

Kiedy ja wracałem z pracy, babcia, u której widocznie moje obciążone skórą kości wywoływały uczucie litości, wołała mnie nieodmiennie i wyciągała gdzieś głęboko pod kołdrę i spódnicą ukrytą miskę z zupą. Ja, równie nieodmiennie okazywałem jej moją wdzięczność i zabierałem zupę "na potem". Mimo, że często głód mi naprawdę dokuczał, nigdy z tych darów nie korzystałem. Po pierwsze odstraszał mnie sposób ich przechowania, a po drugie zupy były obficie nasycone czosnkiem, co wobec mojej wrodzonej awersji do tej pożytecznej przyprawy, uniemożliwiało mi konsumpcję darowanej zupy. Widocznie głód w tym okresie nie był już taki silny jak na Syberii, gdzie z pewnością zjadłbym zupę do ostatniej kropli. By zakończyć z babcią, wybiegnę nieco naprzód w czasie do okresu, kiedy byłem już na froncie, a matka przeniosła się do innego mieszkania. Kiedyś odnalazła ją tam wnuczka gospodarza i powiedziała, że babcia była bardzo chora i że koniecznie chciałaby zobaczyć mamę. Oczywiście matka udała się tam niezwłocznie i zastała babcię już bardzo słabą i z trudem mówiącą. Zapytała ona matkę, czy ja nadal jestem na froncie, czy nie byłem ranny i czy mama dostaje ode mnie listy. Otrzymawszy na wszystkie pytania pozytywne odpowiedzi, położyła mamie rękę na głowę i coś - prawdopodobnie jakieś błogosławieństwo - wyszeptowała.



Wieczorem tego samego dnia wnuczka zawiadomiła mamę, że babcia zmarła.

Z żoną gospodarza nie mieliśmy częstych kontaktów. Jednak i jej zawdzięczaliśmy udzielenie pomocy w sytuacji, kiedy bardzośmy jej potrzebowali.

Jak już poprzednio wspomniałem, dachy naszych kibitek pokryte były chrustem bawełnianym z warstwą gliny na wierzchu. Słyszeliśmy, że w chruście znajdują sobie schronienie skorpiony, ale bardzo długo nie zdarzyło nam się natknąć na takiego jadowitego krewniaka naszych pajaków. Dopiero niedługo przed moim odjazdem do wojska, w nocy obudziła mnie matka, której wydawało się, że myszy dobierały się do naszego skarbu - chleba, który wieszaliśmy w woreczku na ścianie, właśnie by go od nieproszonych gości uchronić. Zapaliłem więc lampę naftową, ale niczego podejrzanego nie wykryłem. Ale kilka minut po tym, kiedy znów ułożyliśmy się do snu, matka ponownie usłyszała jakiś chrobot. Ja natomiast nie słyszałem nic. Sądziłem więc, że matce się tylko wydawało. Kiedy jednak po chwili mama kategorycznie stwierdziła, że znów słyszała chrobot, zapaliłem lampę ponownie i zaczęliśmy uważnie przeglądać całą kibitkę.

W pewnej chwili mama uniosła swoją wypchaną sianem poduszkę, w którą od spodu wczepiony był skorpion. Niestety zauważyła go zbyt późno i odrzuciła poduszkę już po tym, jak ten, odczepiwszy się, wylądował na jej ramieniu, po czym natychmiast wbił stanowiący zakończenie odwłoku kolec i wpuścił jad. Ból był tak silny, że matka krzyknęła głośno, co zbudziło gospodarzy. Przybiegli oni zaraz, a zorientowawszy się co się stało, gospodyni przyniosła przedmiot z domu ostry nóż i butelkę z jakimś płynem. Następnie nacięła nieprzytomnej niemal z bólu matce skórę w miejscu użądlenia i kilkakrotnie mocno wyssała ranę, a potem zaczęła ją nawilżać umoczoną w przyniesionym płynie watką. Już wkrótce mieliśmy się przekonać, że kuracja była skuteczna, bo ból zaczął przechodzić i spuchlizna się zmniejszała. Po kilku godzinach wszystko wróciło do normy. Dowiedzieliśmy się potem, że płyn, jakiego użyła to był amoniak do którego wrzucono poprzednio schwytanego na żywo skorpiona. W takiej sytuacji skorpiony wypuszczają jad, który zmieszany z amoniakiem stanowi skuteczne antidotum w przypadkach użądleń przez te miłe "pajączki".

Byliśmy więc ogromnie wdzięczni gospodyni, której szybka interwencja tak skutecznie zmniejszyła cierpienia matki.

Jak wspomniałem - była w rodzinie gospodarzy jeszcze jedna kobieta, ich starsza córka, której twarzy nigdy nie widziałem, bo zawsze zasłonięta była parandżą. Wiedzieliśmy o niej, że jako trzynastoletnia dziewczyna, uzbeckim zwyczajem wydana została zamąż i że jej mąż był już od roku zmobilizowany. Kiedyś, gdy już pracowałem na fermie zwierzęcej, spałem po powrocie z gór w cieniu pod winogradnikiem. Zbudziwszy się zobaczyłem myjącą się nieopodal w aryku zupełnie rozebraną dziewczynę. Zastanawiałem się kim ta bardzo ładna i niezwykle zgrabna dziewczyna może być i dopiero rozwieszona obok części stroju, naprowadziły mnie na to, że była to córka gospodarzy.

Bąłem się poruszyć, by nie wystraszyć dziewczyny, która nie zauważyła mojej obecności. Udawałem więc że śpię i obserwowałem, jak dziewczyna po zakończeniu oblucji w aryku, umyła włosy w misce, do której

nalata "katyk", czyli zsiadłe mleko, a potem zaczęła zaplatać - zgodnie z uzbeckim zwyczajem - czterdzieści osiem warkoczyków ze swoich kruczoczarnych włosów.

Musiąłem się chyba jednak w pewnej chwili poruszyć, bo dziewczyna nagle mnie odkryła i przerażona skoczyła do swego ubrania. W jej reakcji zadziwiło mnie głównie to, że przede wszystkim zastoniła pierwszą dosięgniętą częścią swego stroju - twarz.

By jej do reszty nie skonfundować, udawałem, że się właśnie w tym momencie przebudziłem. Dziewczyna znikła w kubitce i myślałem, że się już nie pokaże. Ale omyliłem się. Po pewnym czasie, już zupełnie ubrana, wyszła znowu na podwórze i wtedy zagadnąłem ją po raz pierwszy od zamieszkania tam. Okazało się, że mówiła niezle po rosyjsku, chociaż do szkoły po zamążpójściu - jak mi opowiedziała - przestała chodzić.

Tak nawiązała się nasza zupełnie niewinna znajomość, której konsekwencje, mimo dużych perypetii, były chyba w końcu pozytywne.

A perypetie wynikły z tego, że Bibichan, jak się nazywała, wskutek moich namów by zdjęła parandzę i poszła do szkoły, postanowiła tak zrobić. Zdaje się, że nie bez znaczenia były moje zapewnienia, że była ona jedną z najpiękniejszych kobiet jakie w życiu widziałem, a dodać należy, że komplementy te nie były wcale przesadzone.

W każdym razie, gdy pewnej soboty, jak zwykle przyjechałem z fermy do domu, opowiedziała mi matka, że Bibi któregoś dnia poszła do miasta bez parandży i zapisała się do szkoły. Skutek był taki, że jej partyjny ojciec zbił ją batem na wielbłądy do krwi i zakazał wychodzenia z domu.

Kiedy to usłyszałem, opanowała mnie młodzieńcza wściekłość i pobiegłem na posterunek milicji by złożyć skargę. Już jednak z reakcji dyżurnego oficera, Uzbeka, który mnie wysłuchał, zrozumiałem, że oni reagować nie będą. I kiedy po odczekaniu kilku dni przekonałem się, że miałem rację, postanowiłem zwrócić się do prokuratora.

Zostałem przyjęty przez jednego z zastępców okręgowego prokuratora, Rosjanina, co jak mi się zdawało, powinno stanowić rękojmię, że coś się będzie działo. W rozmowie ze mną bąknął on jednak coś na temat tego, że trzeba szanować miejscowe zwyczaje. Wydało mi się to dziwne, bo miejscowa propaganda nawoływała uzbeckie kobiety do pozbywania się będących religijnym zabobonem parandży. A na mój argument, że Mimi zgodnie z prawem powinna chodzić do szkoły, zapewnił mnie, że nikt jej w tym nie przeszkodzi.

O tej rozmowie opowiedziałem Mimi, która postanowiła wrócić do szkoły. I tak się też stało. Tata więcej nie reagował. Chyba coś mu tam ktoś powiedział, bo od tego czasu mnie już nie zauważał.

Wszystko to zdażyło się jednak już później. A przedtem, kiedy jeszcze stosunki między nami i gospodarzami nie uległy pogorszeniu, zostaliśmy przez nich zaproszeni na uroczystość obrzezania ich syna, który właśnie kończył siedem lat. Ze odbywa się to u Uzbeków w tym wieku, a nie natychmiast po urodzeniu, jak u Żydów, nie wiedzieliśmy. Ale sposób dokonania zabiegu zaszokował moją matkę. Okazja ta jest dużym wydarzeniem w rodzinie, to też zaproszono na nią sporo gości. Gospodyni przez kilka dni przygotowywała stopy placków-lepioszek

i różnych smakołyków, wśród których powonienie drażnił szczególnie duszący się w wielkich, półkulistych, żeliwnych naczyniach tradycyjny pilaw. Jest to potrawa z ryżu i baraniego mięsa z dużą ilością jarzyn i ostrych przypraw.

Kiedy nadszedł uroczysty dzień i goście się zebrali, nie mogłem się już doczekać, kiedy zaserwowany będzie pilaw. Tylko że kiedy przyszła nań kolej, doznaliśmy z matką dwóch szoków.

Pilaw gotowy do spożycia wyjmuje się z żeliwnych naczyń przez odwrócenie ich do góry nogami nad wielkimi tacami, na których wygląda on jak wielka, parująca i pachnąca półkula. Biesiadnicy siadają po turecku wokół tac i... tu nastąpił pierwszy szok. Oto bowiem uprzejmość wymaga by pierwszy kęs włożył gościom do ust własnoręcznie gospodarz. I to dosłownie własnoręcznie. A tymczasem my z matką od dawna - nie wiem czy słusznie - byliśmy przekonani, że cierpiał on na bardzo tam w tym czasie rozpowszechniony syfilis. Symptomem i to zaawansowanym tej choroby był w naszych oczach jego zniekształcony nos z nigdy nie gojącą się raną. Być może, że myliliśmy się, a nawet gdybyśmy mieli rację, to skonsumowanie podanego nam do ust kęsu pilawu nie mogło przecież być groźne, ale w takich chwilach człowiek nie reaguje racjonalnie. Jakoś nie daliśmy po sobie poznać tego co odczuwaliśmy.

Drugim szokiem było to, że żadnych sztuczków nie było. Pilaw trzeba było jeść nabierając trochę potrawy na cztery palce, sformować z tego kulkę, a potem przy pomocy kciuka zgarnąć ten kęs do ust. Nie muszę chyba tłumaczyć, jak się to nam, zupełnie nie mającym wprawy udawało.

A potem przyszedł trzeci szok, kiedy rozpoczęła się ceremonia obrzezania. Chłopca przywiązano do drzewa i kiedy zbliżył się do niego mułła z dużym nożem w ręku, moja matka nie wytrzymała i uciekła do naszej kibitki. Ja zostałem i muszę powiedzieć, że delikwent zniósł tę napewno bardzo bolesną operację naprawdę po męsku.

Jak z opisanych tu wypadków widać, naszemu gospodarzowi sprawowanie stosunkowo wysokiej funkcji partyjnej zupełnie nie przeszkadzało w przestrzeganiu islamskich tradycji. Choć i te traktował chyba selektywnie. Nieraz bowiem, wbrew nakazom jego religii, widziałem go pijącego alkohol.

Wydaje mi się, że jego postawa była całkiem typowa dla tamtejszej ludności ówczesnego okresu.



## Liczenie owiec nie na sen

Po szybkim odejściu z przedsiębiorstwa transportowego szukałem przez kilka dni pracy. Znalezienie jej nie było już wówczas takie łatwe. Najpierw zacząłem się na jakiś czas w jedynej miejscowej restauracji w charakterze kalkulatora. Praca w takiej instytucji była chyba marzeniem każdego, bo można się tam było porządnie najieść. Personelowi przysługiwał obiad w postaci jednego dania dziennie. Ale ja i wielu innych nigdy nie konsumowaliśmy tego dania na talerzach. Zamiast tego byliśmy wyposażeni w dwulitrowe żołnierskie menażki, do których brało się swój obiad bezpośrednio z kuchni. Ponieważ daniem, którego nie można było dokładnie policzyć były flaki, przeto ja zjawiałem się codziennie po przysługujący mi obiad z moją menażką, do której kucharz wlewał mi chociaż pełne dwa litry tej potrawy. Starczało więc dla mnie i dla matki. Nie mogę pojąć, dlaczego pomimo tej istnej flakowej orgii, nie znudziły mi się one do końca życia.

Niestety ta idylla nie trwała długo. Już kiedy rozpocząłem pracować w restauracji, dziwiło mię, że pracę tą wogóle dostałem, bo była ona tak atrakcyjna, że napewno pełno było chętnych na nią. Poza tym spostrzegłem szybko, że niemal cały personel stanowili ludzie ze sobą spokrewnieni. Ze zatrudnienie właśnie mnie miało swój cel przekonałem się, kiedy szef zakomunikował mi po pewnym czasie, że do Osz powraca zdemobilizowany z wojska po ranienu, poprzedni kalkulator i że jest on, to znaczy szef, zobowiązany przyjąć tamtego na dawne stanowisko. Później dowiedziałem się, że tym demobilizowanym był jego własny zięć. Szef wiedział już wcześniej, że przebywający w szpitalu dla rekonwalescentów zięć zostanie prawdopodobnie zwolniony z wojska i przyjął na okres przejściowy mnie, którego jako wciąż jeszcze niepełnoletniego i cudzoziemca można się było łatwo pozbyć.

Zal mi było tego "ciepłego gniazdka", ale zrozumiałem, że niczego nie zwojuję i zacząłem szukać innej pracy. Naraził mi ją mój dotychczasowy szef. Powiedział, że jego znajomy, który jest dyrektorem fermy hodowli owiec, leżącej tuż pod miastem, potrzebuje rachmistrza i że on może mnie tam zarekomendować. I tak się też stało.

Mój młody wiek spowodował, że gdy zgłosiłem się na fermę, dyrektor urządził mi najpierw egzamin ze znajomości matematyki, a właściwie arytmetyki. Ale że moje trzyklasowe wykształcenie gimnazjalne okazało się wystarczające do tego ażeby przedstawione mi - zresztą bardzo proste - zadania rozwiązać w tempie dużo szybszym, niż robił to sam egzaminujący, przeto przeszkód spowodowanych brakami w znajomości "teorii" nie było i zostałem zaakceptowany.

Wyjaśniono mi, że należące do fermy stada owiec przez cały niemal rok przebywają na podgórskich pastwiskach i że do moich obowiązków należeć będzie ich inwentaryzowanie, to znaczy poprostu liczenie pogłowia.

Do pastwisk docierać miałem konno, przy pomocy przewodnika.

W pierwszą taką wyprawę wybrałem się po kilku dniach. Zaraz na wstę-

pie okazało się, że ferma chwilowo nie dysponowała wolnymi końmi, to też tą pierwszą podróż odbyć mieliśmy - przewodnik i ja - na grzbietach osiołków. Przyznam, że wobec całkowitego braku umiejętności jazdy konnej, osiołek, z którego grzbietu było przecież dużo bliżej do ziemi, wydał mi się bardzo dobrą alternatywą.

Przewodnik, chłopak w moim wieku imieniem Mamadżan szybko wprowadził mnie w tajniki sztuki jazdy na osła. Nie były one skomplikowane. Wystarczyło "zastartować" zwierzę głośnym prychnięciem pch...pch..., a potem sterować nim przy pomocy lekkich uderzeń w szyję iszaka, jak osiołek nazywał się po uzbecku, odwrotną stroną trzonka bata. Najczęściej osiołek posuwał się naprzód lekkim truchtem, co po pewnym czasie wywoływało ból w nieprzyzwyczajonej do twardego siodła tylnej części ciała. To też początkowo sam hamowałem zwierzę, bo gdy posuwało się ono zwykłym, marszowym krokiem zamiast truchtu, moja pupa nie była narażona na dotkliwie "odsiedziny".

Większość pastwisk leżała w odległości jednodniowej wędrówki, na niebywale malowniczo położonych wyżynach u stóp Tian-Szaniu. Mój Mamadżan orientował się w tych okolicach doskonale, bo sam był synem czabana, czyli pasterza owiec i całe swoje dzieciństwo spędził z ojcem na pastwiskach. Ani razu nie zdarzyło się byśmy nie trafili do stada, mimo, że żadnych dróg tam nie było.

Po drodze, w czasie tej pierwszej eskapady, opowiedział mi Mamadżan, jak liczenie owiec się odbywa. Ja już od początku się nad tym zastanawiałem, ale nie chcąc zdradzić swojej kompletnej ignorancji, nie pytałem. Okazało się, że technika była taka, jaką później nieraz widywałem na filmach cowboyskich.

W pewnych miejscach na pastwiskach przygotowane były, zbudowane w formie dużego półkola ogrodzenia, w środkowym punkcie których zostawiona była przerwa o szerokości około 70-80 centymetrów. Wobec braku drewna, ogrodzenia te zbudowane były z kamieni. Jak mi powiedział Mamadżan, mimo pracowitości wykonania wielu takich ogrodzeń, które później odwiedziłem, władza sowiecka poradziła sobie z tym w sposób prosty i tani. Do pracy tej odkomenderowano mianowicie w latach trzydziestych masę więźniów.

Do pierwszego, wyposażonego w takie urządzenie pastwiska dotarliśmy późnym wieczorem. Stado, które miałem przeliczać dozorowane było przez chyba dziesięciu czabanów i dwa razy tyle psów. W odróżnieniu od większości mieszkańców miasta Osz, którzy byli Uzbekami, zespół pasterzy składał się wyłącznie z Kirgizów. Okazali się oni ludźmi niezwykle gościnnymi i sympatycznymi. Wiedzieli już, że przyjedziemy i na nasze powitanie przygotowali kolację.

Dla tuzina osób, które zasiąść miały do wieczery, piekły się na wielkich, metalowych rożnach dwa duże barany. Zapytałem zdziwiony poco aż tyle mięsa, na co nasi gospodarze, równie zdziwieni odparli, że nie będzie go wcale za dużo. I mieli rację. Smakowało to wspaniale, a w czystym, górskim, chłodnym powietrzu apetyt dopisywał że hej.

Mnie uhonorowano ważącym co najmniej dwa kilo udźcem, fantastycznie upieczonym na przesyconym jakimś roślinnym zapachem ognisku. Zapijało się to jakimś dziwnie smakującym mlekiem. Potem dowiedziałem się, że

był to kumys.

Pasterze mieszkali w pomieszczeniach będących na pół ziemiankami, a na pół szałasami. Rano, kiedy myśliśmy się w pobliskim, lodowatym potoku, stwierdziłem, że choć nie wysocy, byli oni wszyscy atletycznie zbudowani. Całe ich ciało, to był jeden wielki kłęb mięśni. Był to zapewne rezultat prostego, zdrowego pożywienia i ciągłego przebywania na świeżym, doskonałym powietrzu.

Stada, którymi czabani się opiekowali liczyły wiele tysięcy owiec, głównie należących do rasy która w tylnej części grzbietu miała duże, półkoliste wałki tłuszczu, których waga dochodziła do kilku kilogramów. Nazywano je kurdiukami. Dostrzegłem potem, że kiedy owce zarzynano na żywność, kurdiuki składano na przechowanie w specjalnie wykopanych, głębokich ziemiankach. Wystarczyło bowiem na tych wysokościach wykopać dół o głębokości dwóch metrów, by dotrzeć do wiecznej zmarzliny.

Następnego dnia po przybyciu rozpoczęliśmy liczenie stada. Odbywało się to w ten sposób, że czabani przy pomocy psów zaganiaли owce do ogrodzenia, a ja stojąc na nim tuż przy przerwie-furtce, miałem przeliczać przeciskające się przez nią zwierzęta. Oczywiście policzyć ich dokładnie nie było można i z tego zapewne wszyscy zdawali sobie sprawę. Ta tak zwana inwentaryzacja była też nieadekwatna i z tego względu, że ciągle jedne owce zabijano, inne ginęły, a jeszcze inne się rodziły. Ale nie było to i tak zbyt istotne, bo jak się o tym miałem później przekonać, wyniki moich inwentaryzacji były przez kierownictwo fermy "fryzowane" w im pasujący sposób.

Liczenie stada musiało być wykonane w ciągu jednego dnia, bo utrzymanie oddzielnie owiec już policzonych od pozostałych przez noc było niemożliwe. Dlatego na pastwiskach, na których przebywały duże stada dostawałem po takim dniu pracy halucynacji, a obraz przeciskających się przez otwór w ogrodzeniu owiec prześladował mnie nawet we śnie, co stało w sprzeczności ze znaną metodą liczenia owiec jako środkiem na zaśnięcie.

W ciągu kilku miesięcy pracy na fermie moja kondycja fizyczna poprawiła się znacznie i zwiedziłem tyle przepięknych zakątków podgórskich, że ich obrazy do dziś tkwią mi żywo w pamięci. Jestem pewny, że i te okolice, podobnie jak i Szlak Pamirski staną się kiedyś obiektem turystycznym dla miłośników pięknych krajobrazów.



## Koniec niewoli i początek dojrzałości

Pominałem w tych wspomnieniach przykre przeżycie, jakiego doznałem nieco wcześniej, kiedy to na wieść o tworzeniu w ZSRR wojska polskiego, znanego później jako Armia gen. Andersa, wiedziony młodzieńczym entuzjazmem i patriotycznymi uczuciami, postanowiłem się do niej zgłosić.

Pomimo sprzeciwów matki i wyrzutów sumienia, że zostawiam ją samą, pojechałem do miejscowości Jangi-Jul, by się zgłosić na ochotnika. Razem ze mną jechał przedwojenny znajomy moich rodziców, inżynier Higier, który był oficerem rezerwy. Zgłosiliśmy się razem do punktu dla poborowych i razem przeszliśmy badania lekarskie. Ale w kilka godzin później, gdy wywoływano nazwiska ochotników, okazało się, że Higier został przyjęty, podczas gdy mnie oświadczono, że po pierwsze nie jestem jeszcze pełnoletni, a po wtóre, że mój stan fizyczny nie kwalifikuje mnie do służby wojskowej.

Jednym słowem dostałem tak zwaną kategorię D. Probowałem jeszcze się odwoływać, ale na nic się to nie zdało. Potem zorientowałem się, że przyczyną najistotniejszą było moje żydowskie pochodzenie. Ponoc według uzgodnień z władzami sowieckimi, przyjmowano tylko tych ludzi pochodzenia żydowskiego, którzy mieli stopnie oficerów albo podoficerów rezerwy.

Do Osz wróciłem ogromnie rozczarowany. Za to szczęśliwa była moja matka. Ale szybko miałem się pocieszyć.

Jedną z osób z mojego kręgu wiekowego, z którą utrzymywałem stosunki towarzyskie była córka znajomej mojej matki, lekarki. Dziewczyna ta imieniem Łucja bardzo mi się podobała, to też ucieszyło mnie jej zaproszenie na mające się wkrótce odbyć przyjęcie z okazji jej urodzin. Jako córka wziętej lekarki mogła sobie pozwolić na luksus urządzenia czegoś takiego dla kilkunastu rówieśników.

Większość obecnych znałem z widzenia albo z poprzednich kontaktów. Wkrótce jednak uwagę moją zwróciła przystojna, zgrabna dziewczyna w moim wieku. Siedziała trochę odseparowana od reszty towarzystwa i od razu wydało mi się, że jest cicha i skromna. A że w dodatku jej powierzchowność była w moim typie, postanowiłem nawiązać rozmowę.

Edyta była jedną z czterech siostr, które przybyły do Osz ze swoim ojcem, podobnie jak my, z syberyjskiego posiołka. Jej matka zmarła na północy z wycieńczenia. Najstarsza z siostr była zamężna, a jej mąż po wyjeździe poprzedniego pełnomocnika rządu londyńskiego na nasz rejon, przejął jego funkcje.

Rodzina utrzymywała się z robienia swetrów na drutach. Praca była podzielona tak, że każda z siostr i zamieszkała z nimi bliska przyjaciółka, którą uważano za piątą siostrę, robiły każdą swoją określoną część swetra. Do zadań Edyty należało robienie pleców i rękawów. Ponadto pełniła ona w rodzinie funkcję kucharki.

Powstała od pierwszego zetknięcia sympatia była chyba obopólna, bo od tego dnia stałem się częstym gościem w kibitce rodziny Edyty.

Ponieważ wszystkie siostry były urodziwe, to nic dziwnego, że dwie średnie, niezamężne, miały już swoich kawalerów, chłopców nieco ode mnie starszych, których znałem już uprzednio i bardzo lubiłem. Oczywiście cała nasza niezamężna szóstka starała się spędzać jaknajwięcej czasu ze swoimi partnerami. Ale najstarsza siostra pilnowała dyscypliny pracy. Dopiero po wykonaniu dziennej normy dzianiny mogły młodsze panny spotykać się ze swoimi kawalerami. Nabyta w rodzinnym domu śląska akuratność obowiązywała także w środkowoazjatyckiej kibitce. Ta akuratność prowadziła czasem do paradoksalnych sytuacji. Opowiem o jednej.

Mnie wykończyły się w tym czasie jedyne spodnie, jakie posiadałem. A nabycie nowych było marzeniem ściętej głowy. Tymczasem wtedy właśnie Delegatura otrzymała transport darów z Czerwonego Krzyża, wśród których była też pewna ilość żółtych, sztruksowych spodni. Ponieważ ja paradowałem dosłownie w spodniach uszytych z worka przez matkę, przeto wydawać by się mogło, że byłem petentem dla którego przydział spodni był w pełni uzasadniony. Ale tak nie uważał szwagier Edyty, do którego prerogatyw należał rozdział otrzymywanych darów. Doszedł on do przekonania, że przydzielenie spodni mnie, który już w tym czasie przez bliskie stosunki z Edytą mogłem być uznany w oczach opinii publicznej za w pewnej mierze powiązanego z nim, byłoby odebrane jako przejaw kumoterstwa.

To też mimo nalegań spodni nie dostałem. Ale Edyta zaakceptowała mnie szczęśliwie i w spodniach z worka.

Zrozumiałe jest, że zakochani chcą spędzać jaknajwięcej czasu tylko ze sobą. A o ustronne miejsca w ogromnie już wówczas przeludnionym mieście nie było łatwo. Jednym z takich miejsc, które nas przyciągało była "tanczosczaadka", czyli podium taneczne, gdzie za niewielką opłatą można było potańczyć. Trudność polegała na tym, że leżała ona w oddalonym o trzy kilometry od naszego miejsca zamieszkania parku w Nowym Mieście. Pomijając już sam marsz, powracanie późnym wieczorem pustą drogą łączącą obie części miasta było niebezpieczne.

W tym czasie wzmogła się jeszcze stara nienawiść między Uzbekami i Rosjanami i przy różnego rodzaju okazjach wynikały ogólne bójki. Sam byłem świadkiem kilku takich epizodów, jak na przykład ten: Jak już chyba wspominałem, ulice starego miasta nie były wybrukowane, to też ich nawierzchnia po ulewnych tamtejszych deszczach zamieniała się w błotne grzęzawisko. Kiedyś taka rozmokła ulicą szedł Uzbek, niosący dwa wiadra wody. W pewnej chwili poślizgnął się on i upadł, przyczym oczywiście zawartość obu wiader wylała się. Widząc to, podążający naprzeciw, lekko podchlmielony, podpierający się kulą, wojskowy kuracjusz pobliskiego szpitala dla rekonwalescentów, dopadł gramolącego się z błota nieszczęśnika i ze słowami:

- Ach ty draniu, sabotażysto! Umyślnie wodę wylewasz żeby jeszcze więcej błota narobić! - zaczął okładać nic nie rozumiejącego Uzbeka swoją kulą. Dopiero nasza interwencja przerwała ten samosąd.

Innym razem widziałem, jak koło kiosku z popularnym napojem, kwasem chlebowym, wynikło jakieś nieporozumienie między kilkoma Rosjanami i Uzbekami. Na gwizdek jednego z tych ostatnich, jak z pod ziemi pojawiło się kilkunastu jego rodaków i nie wiem czym by się ta rozprawa skończyła, gdyby nie szczęśliwy dla Rosjan przypadek, że wówczas właśnie nad-

jechała ciężarówka z żołnierzami, którzy widząc co się dzieje, wybawili swoich z opresji.

A ponieważ Uzbegy nie odróżniali nas od Rosjan, przeto nic dziwnego, że rodziny były przeciwne naszym wieczornym wycieczkom na tańce do Nowego Miasta.

Ja, chcąc dodać sobie samemu animuszu, zaopatrzyłem się w piękny nóż uzbecki z rękojeścią zrobioną z wysadzanego srebrem rogu. Nie sądziłem prawdę mówiąc, bym miał go kiedykolwiek użyć w innym celu niż do krajania chleba.

Ale rzeczywistość miała być inna. Kiedy bowiem któreś nocy wracaliśmy z kolejnego tanecznego wieczoru, zostaliśmy, to znaczy Edyta, nasza przyjaciółka Hanka i ja napadnięci przez dwóch, na szczęście mocno podchmielonych Uzbeków. Obiektami napadu były oczywiście dziewczyny. Mnie "poradzili" napastnicy szybko się stamtąd zmyć. Ale mnie ogarnęła wściekłość. Wyciągnąłem więc nóż i dziabnąłem najbliższego napastnika w ramię. Ten zaczął wyc z bólu tak głośno, że wystraszył swego kompana który rzucił się do ucieczki. To samo zrobiliśmy i my.

Kiedy klucząc bocznymi uliczkami dla uniknięcia ewntualnej pogoni wróciliśmy do domu i Edyta opowiedziała mojej matce co zaszło, pierwszą jej czynnością było wrzucenie stanowiącego przedmiot mojej dumy noża do latryny.

Trochę później wpadliśmy na to, że stosunkowo odludnym miejscem były zbocza opisanej poprzednio góry Sulejmanki i tam, przytuleni, spędzaliśmy często wieczorne godziny. Ale i ta idylla wkrótce się skończyła. Nie wiedzieliśmy bowiem, że leżący na zboczu góry cmentarz i cała góra były miejscami, do których innowiercom wstęp był zabroniony. A grupa Uzbeków, która nas tam kiedyś zauważyła nie miała zamiaru nas o tym informować. Zamiast tego obrzucili nas z góry taką ilością kamieni, że tylko naszym młodym nogom zawdżeczaliśmy fakt, że wyszliśmy z opresji z kilkoma jedynie siniakami.

Minęły trzy miesiące od poznania Edyty. Staliśmy się sobie bardzo bliscy.

W międzyczasie odbył się ślub jednej i szykował ślub drugiej z jej siostr. I pewnie odbyły się i trzeci, gdyby nie ogłoszona wówczas wiadomość, że znów tworzona będzie armia polska, tym razem pod auspicjami komunistów.

Ja popadłem w straszną rozterkę. Z jednej strony odczuwałem ogromną chęć wzięcia udziału w akcji wyzwolenia Polski i odemszczenia nazistom za wszystko, co stało się skutkiem wszczętej przez nich wojny.

Z drugiej strony żal mi było ogromnie rozstawać się z matką i Edytą. Sam nie rozumię, jak to się stało, ale w końcu mój młodzieńczy entuzjazm wziął górę nad sentymentami i po kilku tygodniach wewnętrznej szamotaniny, zgłosiłem się ochotniczo do wojska. Właśnie ukończyłem osiemnascie lat i przeszkód formalnych nie było.

A potem przelało się morze łez. Obiecaliśmy sobie uroczystie z Edytą połączyć się natychmiast, gdy tylko okoliczności na to pozwolą.

Spotkaliśmy się ponownie po trzech latach, kiedy ona i moja matka wróciły do Polski w ramach akcji repatriacyjnej.

A teraz, gdy piszę te słowa, o pięćdziesiąt lat starsi, jesteśmy



rodzicami dwojga wspaniałych dzieci i czworga cudownych wnuków. Wypadki marcowe 1968 roku sprawiły, że nie żyjemy w naszym kraju ojczystym, który z takim entuzjazmem pojechałem wówczas wyzwalać.

Ale ani przez chwilę nie żałowałem tej decyzji, która sprawiła, że odprowadzany przez dwie najbliższe mi istoty i masę przyjaciół, stałem w ten majowy dzień 1943 roku na peronie stacji w dalekim Osz w oczekiwaniu na podróż, która zakończyć miała etap tułaczki po północnej i środkowej Azji i stanowić początek nowego etapu.